

BALDWIN

**P
W**

**MÓJ
GIOVANNI**

**JAMES
BALDWIN**

**MÓJ
GIOVANNI**

Przetoczył Andrzej Selerowicz

Państwowy Instytut Wydawniczy 1991

Tytuł oryginału
«GIOVANNI'S ROOM»

Okładkę zaprojektowała
MARIA IHNATOWICZ

Copyright © 1956, 1984 by James Baldwin
Published by arrangement with the James Baldwin Estate.
All rights reserved.

© Copyright for the Polish edition by
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1991

Wydanie pierwsze.

Nakład 30 000 + 300 egz. Ark. wyd. 8,6. Ark. druk. 9,75.

Papier offsetowy kl. III, 71g. 82X104 cm.

Oddano do składania 26 stycznia 1990 r.

Podpisano do druku w maju 1990 r.

Łódzka Drukarnia Dziełowa w Łodzi

Nr zam. 65/1100/90.

ISBN 83-06-02048-0

Dla Lucien

Jestem człowiekiem, cierpiąłem,
byłem tam.

Walt Whitman

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stoję w oknie tego dużego domu w południowej Francji, a na dworze zapada noc — noc prowadząca do najstraszniejszego poranka w moim życiu. W dłoni trzymam kieliszek, butelka stoi opodal. Przypatruję się swojemu odbiciu w potyskującej ciemnawo szybie: wysoka, chuda jak tyka postać z jaśniejącymi blond włosami. Pospolita twarz, niczym nie różniąca się od innych. Moi przodkowie zdobywali kontynent, prąc przez brzemienne śmiercią równiny aż po ocean, który odwracał się od Europy ku jeszcze ciemniejszej przeszłości.

Gdy zacznie świtać, będę może pijany, ale to i tak niczego nie zmieni. Do Paryża pojadę na pewno. Pociąg będzie ten sam, ludzie, próbujący z godnością znieść niewygodę twardych drewnianych ławek trzeciej klasy, będą ci sami i ja też będę ten sam. Pojedziemy na północ przez te same zmieniające się krajobrazy, pozostawiając za sobą gaje oliwne, morze i wspaniałość burzowego południowego nieba, w mgłę i deszcz Paryża. Ktoś zaproponuje mi kanapkę, ktoś inny tyk wina, ktoś zapyta o zapatkę. Ludzie będą się kręcić po korytarzu, wyglądając z okien, zaglądać do nas. Na każdej stacye rekruci w nie dopasowanych brązowych mundurach i barwnych czapkach będą odsuwać drzwi przedziatu i pytać: — *Complet?* — Wszyscy skiniemy głowami, a kiedy odejdą, będziemy się uśmiechać do siebie jak spiskowcy. Dwóch czy trzech z nich zostanie przy drzwiach naszego przedziatu i donośnymi, ordynarnymi głosami będzie wymieniać uwagi, ćmiąc przy tym swoje okropne wojskowe papierosy. Siedząca naprzeciwko dziewczyna będzie moc-

no rozczarowana, że z nią nie flirtuję, ale na widok rekrutów nabierze nowej nadziei. Wszystko będzie takie samo, tylko ja będę cichszy.

Krajobraz dzisiejszego wieczoru też jest jakiś spokojniejszy, krajobraz, jaki widnieje za moim odbiciem w szybie. Dom stoi na wznieśieniu na skraju małego kurortu, teraz, przed rozpoczęciem sezonu, jeszcze pustego. Z okna można dostrzec świątla miasteczka i usłyszeć szum morza. Hella, moja dziewczyna, i ja wynajęliśmy ten dom kilka miesięcy temu w Paryżu na podstawie fotografii. Helli nie ma już jednak od tygodnia. Płynię statkiem z powrotem do Ameryki.

Widzę ją: bardzo elegancka, podekscytowana i promienna, w zalany światłem lamp salonie transatlantyku, pije odrobinę za szybko, śmieje się i obserwuje mężczyzn. Tak samo było wtedy, gdy ją poznałem w barze na Saint-Germain-des-Prés. Piła i obserwowała. Spodobało mi się to i pomyślałem, że musi być z nią fajnie. Tak się zaczęło i to było wszystko, czego szukałem. Teraz nie jestem całkowicie pewien, czy miało to kiedykolwiek dla mnie większe znaczenie. Wątpię nawet, czy miało także większe znaczenie dla niej — przynajmniej nie przed jej podróżą do Hiszpanii. Pozostawiona tam wyłącznie sobie i swoim rozmyślaniom, zadawała sobie zapewne pytanie, czy wieczne picie i obserwowanie mężczyzn jest właśnie tym, czego oczekuje od życia. Było już jednak za późno: związałem się wtedy z Giovannim. Przed wyjazdem do Hiszpanii poprosiłem ją, żeby wysłała za mnie za męż. Śmiała się i ja też się śmiałem, ale to akurat nadawało jakoś mojej propozycji większą wagę i nie rezygnowałem, aż stwierdziła, że musi na pewien czas wyjechać i sprawę przemyśleć. Tego ostatniego wieczoru, wtedy gdy widzieliśmy się po raz ostatni, powiedziałem do niej, zajętej pakowaniem walizki, że ją kocham. Wtedy w to wierzyłem, lecz czy tak było naprawdę? Niewątpliwie miałem na myśli nasze wspólne noce, tę osobliwą niewinność i zaufanie, wszystko, co już nigdy więcej nie powróci, a co czyniło te noce tak wspaniałymi, tak nie związanymi z tym, co było, jest i będzie, tak wreszcie nie związanymi z moim życiem, poza mechaniczną odpowiedzialnością, bowiem nie musiałem się o nic więcej

troszczyć. A były to noce pod obcym niebem — żadnych ciękawskich spojrzeń, żadnych sankcji. I to właśnie stało się naszą zgubą, bo nie ma nic gorszego do zniesienia niż wolność, jeśli się nią już dysponuje. Być może chciałem się żenić z Hella, dlatego że szukałem bezpieczeństwa, jakiejś przystani. Z pewnością dlatego też i ona zdecydowała w Hiszpanii, że za mnie wyjdzie. Niestety, ludzie nie mogą wybierać sobie przystani, kochanków i przyjaciół, tak jak nie przysługuje im prawo wyboru własnych rodziców. Życie ich daje i zabiera, a największą trudność polega na tym, by umieć to życie zaakceptować.

Kiedy tak zapewniałem Helli, że ją kocham, myślałem o dniach, gdy nie zdarzyło mi się nic strasznego, nieodwracalnego, gdy przystanęła stanowiąca po prostu przystanek. Bez względu na to, w ilu łózkach znajdę się jeszcze aż po łóżko śmierci — po dzisiejszej nocy, po poranku, który nadejdzie, skończą się dla mnie bezwrotnie te chłopięce, pikantne przygody, które, jeśli się tak dobrze zastanowić, nie są niczym innym jak tylko wyższym czy może bardziej pretensjonalnym rodzajem masturbacji. Ludzie są zbyt różnorodni, by traktować ich tak lekko. Także i ja jestem zbyt różnorodny, by mi zaufać. Inaczej nie siedziałbym teraz sam w tym domu, Hella nie znajdowałaby się na otwartym morzu, a Giovanni nie musiałby o świecie zostać zgiłoty. .

Choć to i tak niczego nie zmieni, żałuję przynajmniej jednego spośród wszystkich kłamstw, które wypowiadałem, przeżywałem czy którym wierzyłem. Mam tu na myśli kłamstwo, które powiedziałem Giovanniemu i któremu on nie dał wiary: że nigdy przedtem nie spałem z chłopakiem. Spałem i przysiągłem sobie nigdy tego więcej nie robić. W wyobrażeniu, jakie pojawia mi się teraz przed oczami, jest coś fantastycznego: uciekam hen, przed siebie, przez ocean, by ponownie znaleźć się na własnym podwórku oko w oko z buldogiem — tyle tylko że tymczasem podwórko zmałało, a buldog stał się większy.

Dawno nie myślałem o tym chłopcu, imieniem Joey, ale dziś przypominam go sobie wyraźnie. To historia sprzed kilku lat, byłem wtedy nastolatkiem, a Joey chyba moim rówieśni-

kiem, rok więcej czy mniej nie gra roli. Miły chłopak, ciemnowłosy, żywy i wiecznie skory do śmiechu. Przez jakiś czas uważałem go za swojego najlepszego przyjaciela. Fakt, że „taki” człowiek mógł kiedyś być moim najlepszym przyjacielem, stał się dla mnie później dowodem własnej okropnej skazy. Zapomniałem więc o nim. Dziś wieczorem widzę go jednak dokładnie.

Było to latem, mieliśmy wakacje. Rodzice Joeya wyjechali na weekend, więc ich dom, położony w Brooklynie, niedaleko od Coney Island, należał wyłącznie do nas. Mieszkałem wtedy też w Brooklynie, ale w lepszej okolicy. Joey i ja leżeliśmy na plaży, pływaliśmy trochę, obserwowaliśmy półnagie dziewczyny, a kiedy przechodziły obok nas, gwizdaliśmy i śmialiśmy się głośno. Jestem pewien, że gdyby któraś z nich na ten gwizd zareagowała, to ocean nie byłby na tyle głęboki, żeby pochnąć nasze przerażenie i wstyd. Ale dziewczyny jakby to wyczuwały — być może po sposobie gwizdania — i ignorowały nas. Gdy słońce zaczęło zachodzić, włożyliśmy ubrania na wilgotne kąpielówki i poszliśmy nabrzeżną promenadą w kierunku domu.

Zacząłem się to pod prysznicem. Przypominam sobie, że kiedy wyglądaliśmy się w tym małym, wypelnionym parą pomieszczeniu i okładaliśmy się mokrymi ręcznikami, opadło mnie jakieś dotychczas nie znane uczucie, które w tajemniczy, bezzasadny sposób dotyczyło Joeya. Pamiętam jeszcze, z jaką niechęcią zaczęłem ponownie się ubierać — przypisywałem to wtedy panującemu upałowi. Ubraliśmy się jednak, zjedliśmy coś zimnego z lodówki i wypiliśmy sporo piwa. Następnie wyszliśmy z domu, najprawdopodobniej do kina, gdyż nie widzę tu innego rozsądnego uzasadnienia. Pamiętam dobrze, jak wędrowaliśmy ciemnymi, skwarnymi ulicami Brooklynu, a buchający z bruku żar odbijał się z siłą, mogącą zwalić człowieka z nóg, od muru domów, pod którymi przesiadywali drośli, rodem chyba z całego świata, rozczochrani i hataśliwie rozmawiający, podczas gdy ich dzieci bawiły się na chodnikach, w rynsztokach czy na schodach przeciwożarowych. Położyłem rękę na ramieniu Joeya i byłem dumny z tego, że

głową sięga mi tylko ucha. Spacerowaliśmy sobie, a Joey opowiadał świńskie dowcipy, z których się zaśmiewaliśmy. Ciekawe, że po raz pierwszy po tak długim czasie myślałem o tym, jak doskonale się tego wieczoru czułem, jak bardzo wtedy lubiłem Joeya.

Kiedy wracaliśmy, ulice już ucichły. My także zachowaliśmy się cicho. W mieszkaniu nie hatałowaliśmy, zmęczeni rozebraliśmy się w pokoju Joeya i zaraz poszliśmy spać. Usnąłem natychmiast. Nagle — spałem już chyba dość długo — się przebudziłem. Paliło się światło, a Joey z dziką skrupulatnością oglądał poduszkę.

— Co się stało?

— Chyba ugryzła mnie pluskwa.

— Do diabła, macie tu pluskwy?

— Wydaje mi się, że mnie ugryzła.

— Ugryzła cię już kiedyś wcześniej?

— Nie.

— No, to śpij. Pewnie ci się przysniło.

Patrzył na mnie z otwartymi ustami, a jego ciemne oczy były szeroko rozwarłe, jak gdyby ku swojemu największemu zdumieniu odkrył właśnie, że jestem ekspertem od pluskw. Roześmiałem się i chwyciłem go za głowę, jak to wielokrotnie czyniłem, gdy szamotaliśmy się dla żartów czy na serio. Tym razem jednak, kiedy go dotknąłem, coś się ze mną i z nim stało, co spowodowało, że ten dotyk różnił się od wszystkich znanych nam dotychczas. Nie próbował się bronić, a tylko leżał tam, dokąd go pociągnąłem — na moich piersiach. Uświadomiłem sobie, że serce bije mi mocno, a Joey drży. W pokoju było bardzo jasno i gorąco. Próbowałem się poruszyć, powiedzieć jakiś żart, ale Joey mruknął coś niezrozumiałe, więc nachyliłem się, żeby usłyszeć, co mówi. W tym samym momencie Joey uniósł głowę i pocałował mi się całkiem przypadkowo. Po raz pierwszy w życiu czułem ciało obcej istoty, jej zapach. Trzymaliśmy się w ramionach. Wydawało mi się, że obejmuję jakiegoś rzadkiego, śmiertelnie zmęczonego ptaka, którego jakimś cudem znalazłem. Byłem przerażony, on chyba także, obaj bowiem przymknęliśmy oczy. Bolesna wyrazistość, z jaką to sobie przypominam, jest dziś dowodem, że tego

niegdy nie zapomniałem. Nawet jeszcze teraz czuję nieco z tego niesamowitego podniecenia, które mnie wtedy z taką mocą opalało: ogromny żar pragnienia, drżenie, bolesna czułość. Myślałem, że serce mi pęknie. Z tych męczarni, zupełnie nie do znieśnienia, zrodziła się jednak rozkosz, tamtej nocy obdarowywałem się rozkoszą. Zdawało mi się, że nie starczy całego życia, by kochać Joeya.

Lecz życie to było krótkie, ograniczone trwaniem nocy, i skończyło się już następnego ranka. Kiedy się obudziłem, Joey spał nadal twardo, na boku jak niemowlę, zwrócony do mnie. Wyglądał jak dzieciak z otwartymi na wpół ustami i zaróżowionymi policzkami. Jego kręcone włosy ciemniały na poduszce i zakrywały do połowy spoczone wypukłe czoło; długie rzęsy śniły lekko w letnim słońcu. Obaj byliśmy nady, prześcierało, które służyło nam za przykrycie, leżało zmięte w nogach. Ciało Joeya, brunatne i spoczone, wydało mi się najpiękniejszym zjawiskiem, jakie kiedykolwiek widziałem. Wyciągnąłem już rękę, aby go zbudzić, ale coś mnie powstrzymało. Być może zawałałem się, dlatego że leżąc koło mnie wyglądał tak niewinnie, tak ufnie, a może dlatego że był ode mnie sporo młodszy. Własne ciało wydało mi się w tym momencie grubiańskie i toporne, a rodzące się pożądanie jakieś potworne. Przede wszystkim jednak powstrzymywał mnie strach. Jak błyskawica przemknęło mi: *Przećcież Joe y t o c h ł o p i e c i !* Dostrzegłem nagle siłę drżmiącą w jego udach, ramionach, luźno zwiniętych dłoniach. Ta siła, ta obietnica, tajemnica jego ciała, napawały mnie lękiem. Jego ciało wydało mi się naraz jakby ciemnym otworem jaskini, w której będę torturowany aż do obłędu, aż do utraty męskości. A mimo to pragnąłem posiąść tę tajemnicę, poczuć siłę, doświadczyć spełnienia obietnicy. Oblał mnie zimny pot. Zawstydzilem się. Samo łóżko w swym słodkim bałaganie tchnęło zepsuciem. Co powie matka Joeya, kiedy zobaczy prześcierało? Pomyslałem też o moim ojcu, który poza mną nie ma nikogo na świecie, gdyż matka zmarła, kiedy jeszcze byłem maty. Znów pojawiła się w mojej wyobraźni pieczara, ciemna, pełna plotek i podejrzeń, brudnych słów i na wpół zastyaszanych, zapomnianych i niedokładnie rozumianych opowieści. W tej jaskini znajduje się moja przyszłość, pomysła-

łem, i ponownie zadrżałem ze strachu. Chciało mi się płakać, płakać ze wstydu i grozy, płakać z bezsilności, gdyż nie pojmowałem, jak coś takiego mogło mi się przydarzyć, właśnie mnie. Podjąłem decyzję. Wstałem z łóżka, wziąłem zimny prysznic i ubrałem się. Przygotowywałem akurat śniadanie, gdy Joey się przebudził.

Nie powiadomiłem go o swojej decyzji — to zabiłoby moją siłę woli. Zamiast usiąść razem z nim do stołu, wypiłem tylko filiżankę kawy i podawszy jakiś pretekst wyszedłem. Moja wymówka nie mogła oczywiście oszukać Joeya, ale nie protestował ani nie nalegał. Nie zdawał sobie widać sprawy, że wystarczy tylko jedno jego słowo, abym zmienił postanowienie. Tamtego lata, choć widywałem go prawie codziennie, nie odwiedziłem go już więcej. On także nie pojawił się u mnie. Gdyby przyszedł, sprawiłby mi szaloną radość, lecz sposób, w jaki się pożegnaliśmy, spowodował tańczuchową reakcję, której żaden z nas nie umiał zatrzymać. Spotkawszy go raz przyпадkiem na ulicy pod koniec lata, opowiedziałem długą i zmysłoną historijkę o dziewczynie, z którą teraz chodzę, a kiedy rozpoczął się nowy rok szkolny, przyłączyłem się do paczki starszych ordynarnych chłopaków i zachowywałem się po chamsku w stosunku do Joeya. Im bardziej był tym przygnębiony, tym bardziej mu dokuczalem. Pewnego dnia wyprowadził się, opuścił szkołę i okolicę, i już nigdy więcej go nie ujrzałem.

Może tamto lato stało się początkiem mojej samotności i ucieczki, która doprowadziła mnie do tego coraz bardziej ciemnijącego okna?

A przecież rozpoczynając poszukiwanie decydującego momentu, chwili, która wszystko zmieniła, trzeba zagłębić się w labirynt pełen fałszywych drogowskazów i gwałtownie zatrzaskujących się pułapek. Nawet jeśli moja ucieczka rzeczywiście miała się rozpocząć tamtego lata, to jeszcze nie wyjaśnia mi, gdzie leży załazek dylematu, który wspomnianego lata przerodził się w ucieczkę. Tkwi gdzieś przede mną, w zamkniętym okiennym ramami odbiciu w szybie, na które patrzę, podczas gdy na dworze zapada noc. Jest zamknięte wraz ze mną w tym pokoju, zawsze było i na-

dal będzie, i jest mi jeszcze bardziej obce niż te dalekie wzgórza za oknami.

Jak już powiedziałam, mieszkaliśmy wtedy w Brooklynie. Przedtem mieszkaliśmy w San Francisco, gdzie przyszedłem na świat i gdzie pochowano moją matkę, potem przez jakiś czas w Seattle, a jeszcze później w Nowym Jorku. Nowy Jork to dla mnie Manhattan. Z Brooklynu powróciłem znów do Nowego Jorku, a kiedy wyjeżdżałem do Francji, ojciec ze swoją drugą żoną przeprowadził się akurat do Connecticut. Wtedy byłem już oczywiście dawno samodzielny i mieszkałem na sześćdziesiątej którejś ulicy w nowojorskiej dzielnicy East Side.

„My” w czasach mojego dzieciństwa oznaczało ojca, jego niezamężną siostrę oraz mnie. Matka zmarła, gdy miałem lat pięć. Prawie w ogóle jej nie pamiętam, ale często pojawiała się w moich koszmarach, oślepią przez robaki, z włosami sztywnymi jak druty i łamliwymi jak gałązki, przyciskająca mnie do swego rozkładającego się, przerażająco miękkiego ciała, które przekształcało się w orchań zjadając się mnie żywcem pochłaniać, choć broniłem się i krzyczałem jak opętany. Kiedy ojciec lub ciocia wpadali do pokoju, by sprawdzić, co mnie tak przestraszyło, nie odważyłem się opowiedzieć im swojego snu, bo byłoby to nieojajalne wobec matki. Tłumaczyłem, że śnił mi się cmentarz, a oni wyciągali stąd wniosek, że śmierć matki zaburzyła moją równowagę i wyobraźnię i chyba ją ciągle opłakuję. Jeśli tak było — co jest zupełnie możliwe — to opłakuje jej śmierć do dzisiaj.

Ojciec i ciocia często się kłócili i choć nie potrafię tego dowieść, to wydaje mi się, że ich długotrwała wojna wiązała się z osobą matki. Z dzieciństwa przypominam sobie jej fotografie stojącą samotnie na gzymsie kominka w salonie naszego ówczesnego mieszkania w San Francisco i dominującą nad całym pomieszczeniem. To zdjęcie jakby potwierdzało, do jakiego stopnia jej duch oddziaływał nadal na atmosferę domu i władał nami wszystkimi. Pamiętam też cienie zalegające po kątach pokoju, gdzie nigdy nie czułem się zbyt pewnie, i ojca siedzącego w fotelu w złotym blasku, jaki padał ze stojącej opodal wysokiej lampy. Czytał gazetę, a ponieważ jej stronie mi go przesłaniały,

starąłem się nieraz rozpaczliwie zwrócić na siebie uwagę. Doprowadzałem go tym do złości i często kończyło się na wyniesieniu mnie zalanego łzami z pokoju. Niekiedy ojciec siedział w bezruchu, pochylony, z łokciami opartymi na kolanach i wpatrywał się w duże okno, za którym panowała czarna jak smoła noc. Dziwłem się, o czymże on tak ciągle rozmyśla. Jak sięgam pamięcią wstecz, chodził ubrany w szary bezrękawnik, miał wiecznie rozluźniony krawat, a piaskowe włosy opadały mu na szeroką, rumianą twarz. Należał do ludzi, którzy chętnie się śmieją i niełatwo wpadają w gniew, ale jeśli już, to tym bardziej gwałtownie — niczym ogień, który nieoczekiwanie wypełza z jakiejś szczeliny, aby strawić cały dom.

Jego siostra Ellen, odrobinę starsza, nieco ciemniejsza, z twarzą i figurą naznaczonymi już latami, zawsze odświeżnie ubrana, zbyt mocno wymalowana i obwieszona za dużą ilością biżuterii, pobrzękującej i skrzacej się w świetle, siedzi na kanapie i czyta. Czytała wiele, wszystkie nowości, i często chodziła do kina. Albo robiła na drutach. Wydaje mi się, że stale nosiła przy sobie duży kłębek z gróźnie sterzcącymi drutami albo książkę, albo obie te rzeczy naraz. Właściwie nie wiem nawet, co na tych drutach robiła. Przypuszczam, że czasem udziergała coś dla mnie czy dla ojca, ale nie przypominam sobie tego dokładnie, tak samo jak nie przypominam sobie książek, które czytała. W moim odczuciu przez wszystkie te lata wchodziła w grę ciągle ta sama książka, ciągle ten sam sweter, szal czy Bóg wie co. Nieraz, raczej rzadko, grała z ojcem w karty. Czasami rozmawiali w przyjacielskim tonie, przekomarzając się, ale to okazywało się niebezpieczne, gdyż kończyło się najczęściej kłótnią. Od czasu do czasu pojawiali się goście, a mnie pozwalano obserwować, jak popijają koktajle. Ojciec był wtedy w swoim żywiole. Przechadzał się, chłopiący i wylewny, ze szklanceką w ręce po salonie, nalewał gościom trunki, dużo się śmiał, mężczyzn traktował jak braci, z kobietami flirtował. Może nie, nie flirtował, a puścił się przed nimi jak kogut. Ellen nie spuszczała go z oka, jakby w obawie, że może popełnić głupstwo. Obserwowała jego i kobiety i oczywiście sama też flirtowała z mężczyznanami w dość dziwny, działający na nerwy sposób. Oto ona: ubrana wystrza-

howo, z ustami czerwieniszymi od krwi, w sukni mającej albo nieodpowiedni kolor albo zbyt młodzieżowej czy za wąskiej, trzymająca szklankę z koktajlem tak mocno, jakby miała za miar lada moment ją zmiążyć. I ten głos, przypominający zgrzyt żyłki na szkle. Jako dziecko bałem się jej, gdy obserwo- wałem ją wśród gości.

Bez względu na to, co działo się w salonie, moja matka się temu przyglądała. Patrzyła z fotografii w ramce, blada, drobna kobieta o jasnych włosach, ciemnych oczach, gładkim czole i de- likatnych, nerwowych ustach. Ale coś w sposobie osadzenia oczu i w jej spojrzeniu, ledwo dostrzegalna w układzie ust sardonicz- ność i znajomość rzeczy sugerowały, że w tej kruchej istocie drzemiała nieugięta siła, równie niebezpieczna co nieoczekiwana, podobnie jak wybuchy gniewu ojca. Ojciec rzadko mówił o niej, a jeśli już, to z dziwnie tajemniczą miną. Mówił o niej wyjącznie jako o mojej matce i takim tonem, jakby mówił o swojej. Ellen natomiast wspominała ją często i stale podkreślała, że była nadzwyczajną kobietą. Stuchając tego odczuwałem skrępo- wanie, jakbym nie był godzin być jej synem.

Po wielu latach — już jako dorosły — chciałem namówić ojca, aby opowiedział mi o matce. Ellen już nie żyła, on sam zaś miał zamiar powtórnie się ożenić. Mówił o matce tak samo, jak to kiedyś czyniła Ellen, a może miał Ellen na myśli?

Kiedy miałem prawie trzynaście lat, stałem się świadkiem jednej z ich kłótni. Kłócili się często, ale tę sprzeczkę parmię- tam szczególnie dokładnie, bo chodziło w niej o mnie.

Była noc. Leżałem na górze w łóżku i spałem. Nagle obu- dził mnie odgłos kroków ojca na ścieżce pod moim oknem. Ich odgłos i rytm zdradzały, że wracają do domu podchmielo- ny. Przypominam sobie, że ogarnęło mnie wtedy pewne roz- czarowanie, jakiś niewytłumaczalny smutek. Widziałem go pijanego wiele razy, lecz nigdy nie odczuwałem tego tak jak wtedy — wprost przeciwnie, niekiedy ojciec po pijanemu miał niezwykły urok. Tamtej nocy odniosłem jednak nagle wrażenie, że coś w nim zastępuje na pogardę.

Słyszałem, jak wszedł, i zaraz potem dobiegł mnie głos Ellen.

— Jeszcze nie jesteś w łóżku? — spytał ojciec. Próbował mówić uprzejmie, chcąc zapewne uniknąć sceny, w jego głosie jednak nie było serdeczności, tylko z trudem ukrywane roz- drażnienie.

— Uważam — odparła lodowato Ellen — że ktoś musi ci wreszcie uświadomić, co czynisz swojemu synowi.

— A co ja czynię swojemu synowi? — Miał zamiar powie- dzieć coś więcej, coś strasznego, ale opanował się i rzekł tylko zrezygnowanym, zapitym i pełnym desperacji głosem: — O czym ty właściwie mówisz, Ellen?

— Czy ty naprawdę sądzisz — spytała (jestem pewien, że sta- ła pośrodku pokoju z założonymi rękami, wyprostowana i nie- ruchoma) — że jesteś typem męczyzny, jakim on powinien być, gdy dorosnie? — I kiedy mój ojciec milczał, dodała: — On przecież staje się powoli dorosły. — A potem złośliwie: — Czego o tobie powiedzieć nie można.

— Idź spać, Ellen — odparł ojciec zmęczonym głosem.

Rozmawiali o mnie, więc chciałem zejść na dół i powiedzieć Ellen, że jeśli coś się nie układa między ojcem a mną, to może- my to sobie wyjaśnić bez jej udziału. Niewykluczone, że po- traktowałem jej słowa jako obrazę własnej osoby, gdyż nigdy nie powiedziałem jej złego słowa o ojcu.

Ustyszałem jego ciężkie, niepewne kroki, zmierzające w stro- nę schodów.

— Niech ci się nie zdaje, że nie wiem, gdzie byłeś — odezwata się ponownie.

— Wszedłem... napić się — burknął ojciec. — A teraz chcę iść spać. Masz coś przeciwko temu?

— Byłeś znów z tą Beatrice — powiedziała Ellen. — Stale chodzisz do niej, wszystkie twoje pieniądze, cała twoja mę- skość i poczucie godności tam pozostają.

Udało jej się go rozczłocić. Zaczął się jąkać.

— Jeśli uważasz... jeśli naprawdę u w a ż a s z... że mam ochotę tu stać, stać... stać... i dyskutować z t o b ą o moich pry- watnych sprawach... moich sprawach... kłócić się z tobą... to masz źle w głowie.

— Zupełnie mnie nie interesuje, co ty robisz ze sobą — od-

parła Ellen. — Wcale nie martwię się o ciebie. Chodzi mi o to, że jesteś jedynym człowiekiem, którego Dawid uważa za autorytet. Mnie nie uznaje, a matki już nie ma. Jest mi posłuszny tylko wtedy, gdy chce ci tym sprawić przyjemność. Sądziysz, że to w porządku, jeśli on stale widzi, jak wracasz pijany do domu? Nie łudź się — dodała po chwili pełnym podniecenia głosem — on doskonale wie, dokąd chodzisz. Nie myśl, że nie wie o twoich kobietach!

Myliła się. Nie sądzę, abym wtedy o nich wiedział, przynajmniej nigdy nie zaprzątałem sobie tym głowy. Ale od tej chwili robiłem to nieprzerwanie. Nie było kobiety, żebym się nie zastanawiał, czy ojciec już z nią się „zadawał”, jak to określiła Ellen.

— Jestem przekonany — powiedział ojciec — że Dawid ma do tego rozsądniejsze podejście niż ty.

Cisza, która zapanowała, gdy ojciec wchodził na górę, była najgorsza ze wszystkich przeżytych przeze mnie dotychczas. Zastanawiałem się, o czym też wtedy myśleli, jak wyglądali. I co się stanie, gdy spotkam ich oboje nazajutrz?

— Zapamiętaj sobie — krzyknął ojciec ze schodów tak głośno, że aż się przestraszyłem — moim największym pragnieniem jest to, aby Dawid wyrósł na mężczyznę. A jeśli mówię „mężczyzna”, to nie mam na myśli nauczyciela szkółki niedzielnej!

— Mężczyzna to nie to samo co byk — odcięła się Ellen. — Dobranoc!

— Dobranoc — odrzekł po chwili.

Ustyszałem, że zatoczył się pod moimi drzwiami. Od tej chwili z tajemniczą, przebiegłą, okropną żarliwością młodości gardziłem ojcem, a Ellen nienawidziłem. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego. Okazało się, że przepowiednia Ellen się sprawdziła. Powiedziała mianowicie, że któregoś dnia nikt i nie już nie będzie mieć na mnie wpływu, nawet rodzony ojciec. I taki dzień nadszedł.

Po historii z Joeym, która wstrząsnęła mną tak głęboko, stałem się w rezultacie skryty i zamknięty w sobie. O tym, co się stało, nie mogłem z nikim porozmawiać, nie mogłem na-

wet przyznać się przed samym sobą, ale choć o tym nie myślałem, tkwiło to w głębi mojej duszy, ciche i straszne jak rozkładający się trup. Dręczyło, przygniatało i zatruchiwało mój umysł. Już wkrótce to ja wracałem do domu zataczając się, to na mnie czekała Ellen, to ja się z nią wykiłotałem co noc.

Ojciec kładł to na karb okresu dojrzewania i próbował nie traktować tego poważnie. Ale za jego koleżeńską pobłażliwością kryła się bezradność i lęk. Spodziewał się może, że kiedy dorosnę, staniemy się sobie bliźsi, a teraz, gdy próbował mnie zrozumieć, uciekałem od niego. Nie chciałem wyjawiać mu swoich sekretów. Nie chciałem, żeby ktokolwiek je poznał. Nadszedł w końcu etap nieunikniony w stosunkach między dojrzewającą młodzieżą a rodzicami, gdy zacząłem krytykować postępowanie ojca. Sama surowość tego wyroku, która boleśnie zraniła mi serce, ujawniła, nawet jeśli nie potrafiłem tego wtedy wyrazić słowami, jak mocno go kochałem i jak owa miłość umierała teraz wraz z moją niewinnością.

Biedny ojciec był zagubiony i przerażony. Nie mógł uwierzyć, że między nami naprawdę coś nie gra. Owa postawa wynikała nie tylko stąd, że nie miał pojęcia, jak w tym przypadku postąpić, lecz głównie stąd, że musiałby pogodzić się z myślą, iż o czymś zapomniał, coś niezmiernie ważnego przeoczył. Ani on, ani ja zupełnie nie wiedzieliśmy, na czym to ostatnie zaniedbanie mogło polegać, a ponieważ byliśmy zdani na milczenie przymierze wobec Ellen, uciekaliśmy się do wzajemnych serdeczności. Nie byliśmy już ojcem i synem, tylko stanowiliśmy parę dobrych kumpi, co z dumą podkreślał ojciec. I rzeczywiście czasami w to wierzył. Ja nigdy. Nie pragnąłem być jego kumplem, pragnąłem być jego synem. To, co określał mianem męskiej szczerości, budziło we mnie wstręt i strach. Ojcowie nigdy nie powinni obnażać się przed synami. Nie chciałem słyszeć, przynajmniej nie z jego ust, że jego ciało jest tak samo grzeszne jak moje. Wiedząc to, w żadnym wypadku nie potrafiłem czuć się bardziej jego synem czy kolegą, raczej intruzem, przestraszonym intruzem. Myślał, że jesteśmy jednakowi, ja nie. Nie chciałem myśleć, że moje życie będzie podobne do jego, a moje poglądy tak blade, nijakie i nudne. Ojciec pragnął, żeby

nic nas nie dzieliło, chciałem, abym go traktował jak równego sobie. Ja natomiast tęskniłem do miłosiernego układu ojciec — syn, który pomógłby mi naprawdę go pokochać.

Któręś nocy — wracałem akurat z kilkoma kolegami z jakiegoś ubawu za miastem — rozbiłem samochód, prowadząc go po pijanemu. Ewentualnie moja wina. Byłem tak pijany, że ledwo się trzymałem na nogach i o prowadzeniu auta nie powinno być mowy. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy, bo należeć do ludzi, którzy sprawiają wrażenie trzeźwych nawet wtedy, gdy bliscy są utraty przytomności. Na prostej, równej drodze straciłem nagle zdolność reakcji, a tym samym kontrolę nad pojazdem. Nagle wytonił się przede mną słup telegraficzny, biały jak piana. W ciemnościach, usłyszałem krzyki, potem potężny, ogłuszający huk. Wszystko wokół mnie stało się szkarlatnoczerwone, a następnie jasne jak dzień, gdy tymczasem ja pogrążyłem się w nieprzejrzanym ciemnościach.

W drodze do szpitala odzyskałem chyba na chwilę przytomność, bo pamiętam mgliście jakieś poruszające się osoby, głosy, bardzo, bardzo oddalone, jakby nie mające związku ze mną. Obudziłem się w pomieszczeniu będącym jakby królestwem zimy: wysoki, biały sufit, białe ściany i okno, jak mi się zdawało, walące się na mnie niczym tafła lodu. Musiałem chyba próbować się podnieść, gdyż pamiętam nagły okropny łomot w głowie, ciężar na piersiach i olbrzymią twarz nad sobą. A kiedy ten ciężar i ta twarz usiłowały mnie przytłoczyć, wykrzyknąłem imię matki. Potem znów nastąpiła ciemność.

Kiedy wreszcie odzyskałem przytomność, przy moim łóżku stał ojciec. Wiedziałem, że tu jest, zanim go dojrzałem, zanim odwróciłem ostrożnie głowę. Sposstrzegłem, że się ocknąłem, zbliżył się do łóżka i skinięciem ręki nakazał, abym się nie ruszał. Wyglądał bardzo staro. Najchętniej bym się rozplakał. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

— Jak się czujesz? — wyszeptał wreszcie.

Spróbowałem odpowiedzieć, ale przeszył mnie ból i przestraszyłem się. Strach odbił się chyba w moich oczach, gdyż ojciec rzekł cicho z bolesnym napięciem w głosie:

— Nie martw się, Dawidzie. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz, wszystko będzie w porządku.

W dalszym ciągu nie mogłem mówić. Patrzyłem jedynie na niego. Zmusił się do uśmiechu.

— Mielście, chłopaki, cholerne szczęście! Ty oberwałeś najgorzej.

— Byłem pijany — wykrztusiłem. Zaprzagnąłem mu wszystko wyznać, ale mówienie sprawiło mi niewyistawiony ból.

— Nie masz już lepszych pomysłów, jak tylko po pijanemu gnać jak wariat? — spytał z wyrazem najwyższego zakłopotania. W tych okolicznościach mógł sobie pozwolić na zakłopotanie. — Co za brak rozsądku! — dodał z wyrzutem i zacisnął wargi. — Mogliście się przecież pozabijać. — Głos mu zadźgał.

— Tak mi przykro — powiedziałem nagle — tak mi przykro. — Dlaczego jednak było mi przykro, nie potrafiłem wyrazić słowami.

— W porządku już — odpart. — Bądź na drugi raz ostrożniejszy. — Rozłożył chustkę, którą przedem trzymał ściśniętą w dłoniach, wyciągnął rękę i otarł mi czoło. — Mam tylko ciebie jednego — rzekł ze wstydliwym, bolesnym uśmiechem. — Bądź ostrożny.

— Tatusiu! — Rozplakałem się. Choć mówienie było męką, to płacz jeszcze gorszy, a mimo to nie mogłem przestać płakać. Twarz ojca się zmieniła. Stała się strasznie stara, a jednocześnie bezzadnie młoda. W cichym, zimnym ośrodku burzy, jaka we mnie panowała, uzmysłowiłem sobie, ile musiał się naciępić i że cierpi nadal.

— Nie płacz — wyszeptał — nie płacz. — Gładził moje czoło tą idiotyczną chustką, jakby posiadała jakąś uzdrawiającą moc. — Nie trzeba płakać. Wszystko będzie dobrze. — Sam był bliski płaczu. — Wszystko jest przecież w porządku, nieprawda? Nie popełniłem chyba żadnego błędu, co?

Przez cały czas ocierał mi chustką twarz, aż zabrakło mi powietrza.

— Byliśmy pijani — rzekłem. — Byliśmy pijani. — To jakby miało wszystko wytłumaczyć.

— Ciocia Ellen twierdzi, że to moja wina, że cię źle wychowałem. — Schował, dzięki Bogu, chustkę do kieszeni i nieznacznie się wyprostował. — Ty przecież nie masz mi nic do zarzucenia, prawda? A może jednak?

Łzy mi obeschły, tak w oczach, jak i w sercu.

— Nie — odpartem. — Nie. Naprawdę.

— Staratem się, jak mogłem. Wierz mi, staratem się, jak mogłem — powiedział. Spojrzałem na niego. Uśmiechnął się wreszcie mówiąc: — No, jakiś czas będziesz musiał tu poleżeć, potem trochę w domu, ale kiedy cię stąd wypuszczą, to będziesz mieć przynajmniej sporo czasu, aby spokojnie pogawędzić i zastanowić się nad przyszłością, okej?

— Okej — odpartem.

Nigdy dotąd nie prowadziłem takich rozmów i doskonale się orientowałem, że nie stanie się tak i teraz. Nie chciałem jednak mu tego okazać. Kiedy wróciłem do domu, zaczął raz rozmowę o przyszłości, ale ja już wtedy podjąłem decyzję. Nie chciałem wracać do gimnazjum, nie chciałem dłużej mieszkać razem z nim i z Ellen. Tak zρέcznie manewrowałem, że naprawdę uwierzył, iż mój zamiar znalezienia sobie pracy i życia na własny rachunek jest bezpośrednim skutkiem jego własnych rad i metod wychowawczych. Kiedy opuściłem dom, nasze stosunki od razu uległy poprawie. Ojciec nie miał powodu czuć się wyobcowany z mojego życia, zawsze mogłem mu bowiem opowiedzieć to, co chciał usłyszeć. Szło nam to dobrze, naprawdę, gdyż prezentowane przeze mnie wizje mojego życia całkowicie odpowiadały temu, w co sam rozpaczliwie chciałem wierzyć.

Należę, czy może należałem, do ludzi, którzy dumni są ze swej siły charakteru, z umiejętności podejmowania i wprowadzenia w czyn decyzji. Powyższa cnota, podobnie jak wszystkie inne, kryje jednak pewne niebezpieczeństwo. Ci, którzy wierzą, że mają silną wolę i uważają się za panów swego losu, mogą się utwierdzić w tym przekonaniu dopiero wtedy, gdy staną się specjalistami od samooszukiwania. Ich decyzje nie są bowiem w gruncie rzeczy żadnymi decyzjami. Prawdziwe decydowanie jest upokorzeniem, bo wiadomo, że zależy od wielu czynników.

Są to więc systemy wykrętów, iluzji, służące do ukazywania siebie i świata takimi, jakimi nie są w rzeczywistości. Podobnie było bez wątpienia i z moją decyzją, którą podjąłem przed laty w łóżku Joeeya. Postanowiłem wtedy, że nigdy nie pozwolę na to, aby coś na świecie napelnilo mnie wstydem czy bojaźnią. Wyboru tego dokonałem tym łatwiej, że nie oglądałem się wówczas ani na świat, ani na siebie samego, a tylko pozostałem w wiecznym ruchu. Lecz nawet wieczny ruch nie chroni przed przypadkowym zamieraniem w bezruchu, jak to bywa z samolotem, który natrafia na powietrzną dziurę. Takich chwil upadku miałem sporo, wszystkie pijane i brudne, raz nawet przerażające. Będąc w wojsku zetknąłem się z jednym pedalem, którego później postawiono przed sąd wojenny. Panika, wywołana wyrokiem na niego, była mi tak samo bliska jak przerażenie malujące się niekiedy w oczach innych.

Z biegiem czasu, zupełnie nieświadom, co oznacza to znużenie, miałem dość tego nieustannego ruchu. Dość tych wszystkich żąłosnych popijaw, beceremonialnych, obcesowych, gwałtownych i całkiem bezsensownych przyjaźni, dość wędrowania przez mrowie zdesperowanych kobiet, dość pracy, która mnie żywiła w najbardziej dostojnym sensie tego słowa. Pragnąłem się odnaleźć, jak to mówimy w Ameryce. Tego ciekawego określenia, które, o ile wiem, nie istnieje w innych językach, nie należy jednak brać zbyt dosłownie. Potwierdza ono jedynie dręczące podejrzenie, że coś jest nie w porządku. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem dzisiaj, a mianowicie, że „ja”, którego szukałem, jest dokładnie takie samo jak to, od którego próbowałem tak długo uciekać, pozostałbym w domu. A jednak — w głębi duszy wiedziałem przecież, co czynię, gdy pewnego dnia wyruszyłem statkiem do Francji.

ROZDZIAŁ DRUGI

Giovaniego poznałem w okresie, gdy nie miałem grosza przy duszy. Było to w drugim roku mojego pobytu w Paryżu. W dniu, w którym się poznaliśmy, rankiem, zostałem wyrzucony z miesz-

kania na bruk. Nie byłem winien wiele, wszystkiego ze sześć tysięcy franków, paryscy hotelarze jednak umieją wyczuć ubóstwo i postępują jak każdy, kto się brzydzi smrodem — natychmiast usuwają jego przychylnie.

Ojciec miał na koncie pieniądze będące moją własnością, ale zwlekał wyraźnie z ich przestaniem, gdyż pragnął mojego wrotu do domu. Wrócić do domu i zacząć pędzić osiadłe życie — przemowy w podobnym stylu kojarzyły mi się zawsze z mulistym dniem nieruchomego bajora. Nie miałem wtedy w Paryżu wielu znajomych, a Hella przebywała w Hiszpanii. Większość z nich należała do tak zwanego *milieu*, jak to czasami określają paryżanie, lecz równolegle do zabiegów wspomnianego *milieu*, aby mnie wciągnąć do swego kręgu, ja starałem się udowodnić sobie i im, że doń nie należę. Choć często przebywałem w ich towarzystwie, traktowałem wszystkich z pewną pobłażliwością, która, jak sądziłem, pozwałała mi utrzymać się poza zasięgiem wszelkich podejrzeń. Zwróciłem się o pomoc do przyjaciół w Ameryce, lecz Atlantyk jest szeroki i głęboki, a pieniądze nie wędrują zbyt prędko z tamtego brzegu.

Siedząc nad letnią kawą w kawiarni przy bulwarze, przeglądałem swój notes z adresami i postanowiłem zadzwonić do starego znajomego, imieniem Jacques, który zawsze nalegał, abym się z nim skontaktowałem. Był to amerykański przemysłowiec belgijskiego pochodzenia, w podeszłym już wieku. Miał duże luksusowe mieszkanie, dobre trunki i mnóstwo forsy. Jak stusnie przewidywałem, zaskoczył go mój telefon, zanim jednak ochłonął i zdążył powziąć podejrzenia, zaprosił mnie już na kolację. Po odłożeniu słuchawki złapał się pewno za portfel i zaklął, ale było za późno. Jacques nie był w gruncie rzeczy taki zły. Możliwe, że to tchórz i błazen, lecz w gruncie rzeczy każdy z nas jest jednym lub drugim, a większość nawet jednym i drugim naraz. Lubilem go na swój sposób. Zwarowany facet, a przy tym taki samotny! Dziś rozumiem, że lekceważenie, które w stosunku do niego odczuwałem, wiązało się ściśle z lekceważeniem samego siebie. Jacques potrafił być niezwykle wspaniałomyślny, czasami zaś szalenie skąpy. Choć chciał każdemu ufać, nie ufał nikomu, więc żeby to ukryć,

szastał pieniędzmi, i oczywiście często padał ofiarą oszustwa. Chował wtedy portfel, zatrzaskiwał drzwi i pogrążał się w nastroju intensywnej litości nad samym sobą, będącej chyba jedyną rzeczą, jaką naprawdę posiadał. Przez długi czas uważałem, że swoim dużym mieszkaniem, obietnicami składanymi w dobrej wierze, swoją whiskey, marihuaną i orgiami przyczynił się do śmierci Giovanniego. I chyba tak było. Tyle że Jacques z pewnością nie ma na rękach więcej krwi niż ja.

Spotkałem się z Jacquesem wkrótce po wydaniu wyroku na Giovanniego. Otulony zimowym płaszczem siedział samotnie w kawiarnianym ogródku i pił *vin chaud*. Zawołał mnie, gdy przechodziłem obok. Nie wyglądał zbyt dobrze, twarz w plamach, oczy za szklami okularów przypominały oczy umierającego, który rozgląda się w poszukiwaniu ostatniej deski ratunku.

— Słyszalesz o Giovannim? — wyszeptał, gdy podszedłem.

Przytaknąłem. Pamiętałem, że świeciło zimowe słońce, ja zaś odczuwałem chłód i dystans taki, jak stąd do tego słońca.

— To potworne — westchnął Jacques. — Potworne, potworne.

— Tak — odparłem. — Nic więcej nie potrafiłem powiedzieć.

— Dlaczego on to zrobił? — ciągnął Jacques. — Dlaczego nie zwrócił się do przyjaciół o pomoc? — Spojrzał w moją stronę. Obaj wiedzieliśmy, że kiedy Giovanni poprosił ostatnio o pieniądze, Jacques mu ich odmówił. Milczałem. — Podobno zaczął brać opium i na to potrzebował forsy — kontynuował. — Słyszalesz o tym?

Tak, słyszałem. Pogłoskę taką opublikowała jedna z gazet, a ja miałem podstawy ku temu, by w nią uwierzyć. Znałem bowiem rozmiary desperacji Giovanniego, ów paniczny strach, tak wielki, że stał się po prostu pustką. „Chcę uciec od tego brudnego świata, od tego brudnego ciała — powiedział kiedyś do mnie. *Je veux m'évader*. Już nigdy nie chcę mieć w miłości do czynienia z niczym więcej jak tylko z ciałem.”

Jacques wyczekiwał odpowiedzi, ale ja spoglądałem tylko na

ulicę. Myślałem o tym, że Giovanni umrze — tam, gdzie był Giovanni, nie będzie nic, kompletnie nic.

— Mam nadzieję, że to nie moja wina — rzekł wreszcie Jacques. — Nie dałem mu wtedy tych pieniędzy. Gdybym wiedział, oddałbym mu wszystko, co posiadam.

Wiedziałem równie dobrze jak on, że nigdy by tego nie uczynił.

— A wy, wy nie byliście zdaje się ze sobą szczęśliwi? — zauważył.

— Nie. — Wstałem z krzesła. — Byłoby chyba lepiej, gdyby w ogóle nie opuścił rodzinnej wioski w Italii, sadził dalej swoje oliwki, splotził chmarę dzieciaków i bijał żonę. On tak chętnie śpiewał. — Przemknęła mi nagle myśl — Tam mógłby śpiewać jako przejść przez życie i umrzeć we własnym łóżku.

Jacques powiedział wtedy coś zdumiewającego. Ludzie będąc podekscytowani pełni są niespodzianek, nawet dla samych siebie. Stwierdził mianowicie: — Nikt nie może wiecznie przebywać w rajskim ogrodzie. — A po chwili: — Właściwie dlaczego?

Nie podtrzymałem tematu, pożegnałem się i odszedłem. Hella dawno już wróciła z Hiszpanii, planowaliśmy właśnie wy-

nająć ten dom i miałem z nią umówione spotkanie. Później wielokrotnie zastanawiałem się nad pytaniem Jacquesa. Banat. Lecz życie też jest banalne i na tym polega cały kłopot. Każdy z nas błąka się po tej samej ciemnej uliczce, mającej to do siebie, że naprawdę ciemna i zdradliwa jest dopiero wtedy, gdy sprawa wrażenie jasnej. W porządku, nikt nie może przebywać wiecznie w rajskim ogrodzie, tylko że ogrodu Jacquesa nie można przyrównywać do ogrodu Giovannięgo. W przypadku Jacquesa chodziło o pikarzy, Giovannięgo o dziewczęta, ale w końcu nie w tym rzecz. Być może każdy z nas posiada własny raj, nie wiem, tylko że ledwo mu się człowiek przyjrzy bliżej, już wskazuje mu się płonący miecz. Życie stawia bowiem zapewne do wyboru: albo pamiętać o ogrodzie, albo o nim zapomnieć. Albo, albo. Pamiętanie wymaga siły, zapomnienie zaś — siły innego rodzaju. Obu naraz mogą podobać jedynie herosi. Ludzie, którzy pamiętają, popadają w obłąd z bólu powodowanego stale powracającą śmiertcią ich niewinności, a ludzie

zapominający — popadają w inny obłąd, wywołany przez nieprzynawanie się do bólu i nienawiść wobec niewinności. Tak oto cały świat dzieli się z grubsza na obłąkańców, którzy pamiętają, i obłąkańców, którzy zapominają. Herosów jest mało. Jacques nie zaprosił mnie wtedy na kolację do swojego domu, bo właśnie kucharz wymówił mu posadę. Wszyscy kucharze od niego uciekali. Stale udawało mu się, Bóg jeden wie, jakim sposobem, namówić młodych chłopców z prowincji, aby zostali u niego kucharzami. Otraskawszy się jednak w stolicy, odkrywali natychmiast, że kucharzenie jest ostatnią rzeczą, jakiej pragną. Najczęściej kończyło się na tym, że powracali na prowincję, o ile nie wyładowali w rymsztoku, w więzieniu czy w Indochinach.

Spotkaliśmy się w całkiem niezłej restauracji na rue de Grenelle i udało mi się go naciągnąć na dziesięć tysięcy franków, zanim jeszcze dopiliśmy aperitif. Jacques był w doskonałym humorze, ja oczywiście też. Oznaczało to, że na zakończenie wieczoru wyładujemy w jego ulubionym barze, wąskim, hałaśliwym i słabo oświetlonym lokalu o wątpliwej — a szczerze mówiąc, niewątpliwie jednoznacznej — reputacji. Policja urządziła tam nierządko obławę, ale widocznie za wiedzą Guillaume'a, jego właściciela, który w taki wieczór ostrzegwał ulubionych klientów, aby udali się raczej gdzie indziej, jeżeli nie mają przy sobie dowodów tożsamości.

Pamiętam, że tamtego wieczoru bar był jeszcze pełniejszy i głośniejszy niż zazwyczaj. Stawili się tam wszyscy stali goście oraz wielu obcych, którzy przyglądali się nam z większym czy mniejszym zainteresowaniem. Przy jednym stoliku siedziały trzy czy cztery niezwykle eleganckie paryskie damy ze swoimi żigolakami, kochankami czy kuzynkami z prowincji, kto to wie. Panie wydawały się niezwykle ożywione, ich towarzysze — raczej sływni. Panie były chyba też bardziej trunkowe. Nie brakowało statecznych panów z brzuszkami i w okularach, o pożądlivych, czasami pełnych desperacji oczach, jak też i chudych chłopaczków w opiętych dzinsach, którzy nie wiadomo, czego szukają: pieniędzy, krwi czy miłości. Kręcili się po barze, naciągali na papierosa albo na drinka, a w ich oczach czała się bez-

bronność i stanowczość zarazem. Obecni byli też *les folles*, w swoich zupełnie nieprawdopodobnych ubiorach. Skrzecząc jak papugi opowiadali sobie szczegóły ostatnich afer miłosnych — wyglądało na to, że mają wyjącznie wesołe przygody. Nieraz zdarzało się, że jeden z nich — we własnym gronie zwracali się do siebie per „ona” — wpadał tu pośrodku nocy, żeby opowiedzieć o spotkaniu z jakimś sławnym aktorem lub bokserem. Pozostali otaczali wtedy nowo przybyłego, przypominając stadko pawia na wybiegu, zarówno z powodu swego wyglądu, jak i krzyku. Nie potrafiłem sobie zupełnie wyobrazić, że znajdował się ktoś, kto szedł z nimi do łóżka, bo jeśli mężczyźna pragnie kobiety, to bierze sobie na pewno tę prawdziwą, a jeśli mężczyźny a — to z pewnością nie ich ma na uwadze. Być może dlatego właśnie rozmawiali tak głośno. Do tej grupy należał na przykład chłopiec, który w dzień pracował bodajże na poczcie, wieczorami zaś paradował uszminkowany, z kolczykami w uszach i misternie uczesanymi bujnymi blond włosami. Czasami miał na sobie spodniczkę i pantofle na wysokich obcasach. Zazwyczaj stał na uboczu, dopóki nie podszedł Guillaume, aby się z nim poprzekomarzać. Podobno był całkiem sympatyczny, ale muszę stwierdzić, że jego przesadna groteskowość budziła we mnie niesmak; podobnie jak i innym ludziom robi się nie dobrze, gdy widzą matpy pożerające własne ekskrementy. Nie przeskadzato by im to może, gdyby matpy nie przypominały tak groteskowo istot ludzkich.

Bar położony był w mojej *quartier*; często chodziłem na śniadanie, nieraz sam, nieraz z Hellą, do pobliskiego bistro, służącego wszystkim nocnym piakom z okolicy za schronienie, gdy już zamykano lokale. W barze Guillaume'a byłem przedtem kilka razy i ponoć wywołałem raz nawet sporą sensację, flirtując po pijanemu z jakimś żołnierzem. Na szczęście przypomniałem sobie tę noc dość mgliście, a poza tym święcie wierzyłem, że niezależnie od tego, jak bardzo miałem w czubie, nie byłbym do tego zdolny. Znano tam jednakowoż moją twarz i miałem uczucie, że stałem się obiektem zakładów. Zupełnie jakby rada starszych tego osobliwego i świątobliwego zakonu obserwowwała

mnie uważnie, aby na podstawie oznak rozpoznawalnych tylko dla wtajemniczonych orzec, czy mam powołać.

Gdy Jacques i ja przeciskaliśmy się do bufetu — a przypomniało to wkraczanie w pole magnetyczne albo w krąg termicznego promieniowania — dotarła do naszej świadomości obecność nowego barmana. Stał wyniosły, ciemny, dumny jak lew, z łokciami wspartymi na kasie i dotykając palcami policzka patrzył na tłum gości, jakby z wysokiego przylądka spoglądał na otwarte morze. Zafascynował natychmiast Jacquesa. Czujęm, że przygotowuje się do podboju, i postanowiłem okazać wyrozumiałość.

— Wydaje mi się — powiedziałem — że masz ochotę poznać tego barmana. Jeśli chcesz, to się zaraz ulotnię... — Moja tolerancja bazowała na solidnym zasobie złośliwej wiedzy, z której akurat zrobiłem użytek, odwiedziwszy Jacquesa i naciągawszy go na pożyczkę. Było dla mnie jasne, że mógłby poderwać barmana tylko w przypadku, gdyby tamten poleciał na jego pięniądze, a ponieważ chłopak wystawił się na licytację z taką arogancją, to na pewno znajdą się bogatsi i atrakcyjniejsi kupcy niż Jacques. Wiedziałem, że i on zdaje sobie z tego sprawę. I jeszcze jedno: jego chętlive zabiegi wokół mojej osoby wynikały z pragnienia, z chęci rychłego pozbycia się mnie, aby móc mną potem gardzić, tak jak pogardzał wszystkimi tymi chłopcami, którzy bez miłości szli z nim do łóżka. Broniełem się przed tym udając, że jesteśmy przyjaciółmi, i zmuszając Jacquesa, żeby w obawie przed upokorzeniem też to udawał. Udawałem więc, że nie dostrzegam czającej się w jego inteligentnych, przenikliwych oczach lubieżności, lecz wykorzystywałem ją oraz z szorstką, męską szczerością dawałem do zrozumienia, że sprawa jest beznadziejna, zmuszając go do żywienia wciąż nadziei. Poza tym wiedziałem, że w lokalach tego typu stanowię dla Jacquesa coś w rodzaju zabezpieczenia. Gdy byłem z nim, cały świat i on sam mógł wierzyć, że jest w towarzystwie przyjaciela, że nie przyszedł tu gnany desperacją i nie jest narazony na pierwszego lepszego awanturnika, okrucieństwo, stratę finansową czy emocjonalne ubóstwo.

— Zostań — rzekł Jacques. — Będę dalej z tobą gawędzić,

a tylko od czasu do czasu rzuć na niego okiem. W ten sposób zaoszczędzę pieniędzy i będę szczęśliwy.

— Ciekaw jestem, skąd go Guillaume wytrzasnął? — powiedziałem.

Był to bowiem ten typ chłopca, o jakim zawsze marzyłem i którego, zdawało się, nigdy nie będzie mógł znaleźć.

— Co dla panów? — spytał barman.

Jego ton wskazywał, że orientuje się doskonale, choć nie zna angielskiego, że o nim rozmawiamy, i ma nadzieję, że już wy-czerpalimy ten temat.

— *Une fine d'eau* — powiedziałem. — *Un cognac sec* — do-rzucił Jacques. Zareagowaliśmy zbyt pospiesznie, aż się za-czerwieniłem, a z lekkiego rozbawienia na twarzy Giovanniego odczytałem, że dostrzegł moje zakłopotanie.

Jacques zinterpretował lekki uśmieszek Giovanniego fałszywie, wietrzając okazję.

— Jest pan tu nowy? — zapytał po angielsku.

Giovanni zrozumiał z pewnością, jednak wołał spojrzeć pytająco najpierw na niego, a potem na mnie. Jacques powtórzył pytanie po francusku.

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Pracuję tu od miesiąca.

Wiedziałem, jak dalej potoczy się ta konwersacja, więc skupiłem całą swą uwagę na kieliszku.

— I nie wydaje się to panu dziwne? — spytał Jacques obcesowo, choć lekkim tonem.

— Dziwne? Dlaczego?

Jacques parsknął śmiechem. Zaczynał mi działać na nerwy.

— No, tyłu mężczyzn... — Jakże dobrze znałem ten głos: zadywany, pełen dwuznaczności, cieńszy niż u panienki, gorący jak wściekły lipcowy żar wiszący bez ruchu nad bagnem — tyłu mężczyzn — odsapnął — a tak mało kobiet. Nie wydaje się to panu dziwne?

— Ach, kobiety czekają na nich pewno w domu — rzekł Giovanni i zajął się nowym gościem.

— Jestem przekonany, że i na pana jakaś czeka — nastawał Jacques, ale jego sugestia pozostała bez odpowiedzi.

— Widzisz, nie trwało to długo — zauważył Jacques na wpół do mnie, a na wpół w kierunku miejsca, gdzie jeszcze niedawno stał Giovanni. — Nie cieszysz się, że zostałeś? Teraz mogę się poświecić wyłączenie tobie.

— Żle zacząłeś — powiedziałem. — Chłopak szaleje za tobą, choć nie chce tego dać poznać. Postaw mu drinka. Zapytaj, gdzie kupuje garnitur. Opowiedz mu o matym, szykownym Alfa Romeo, który podarowałbyś chętnie jakiemuś zasługującemu na to barmanowi.

— Cholera nie dowcipne — burknął Jacques.

— Postuchaj. Do odważnych świat należy, czy nie tak?

— On na pewno sypia z dziewczynami. Wiesz, oni wszyscy są tacy.

— Niewykluczone, że istnieją chłopcy, którzy tak postępują. Nieprzywzwoite bestyjki.

Zamilkliśmy na chwilę.

— A może ty go zaprosisz na drinka z nami? — zaproponował.

Popatrzyłem na niego.

— Dlaczego akurat ja? Może cię to zdziwi, ale mnie interesują wyłącznie dziewczyny. Gdyby miał siostrę, tak samo ładną jak on, to co innego. Z przyjemnością. Na mężczyzn nie wydaję pieniędzy.

Z wahaniem powstrzymał się chyba od uwagi, że chętnie natomiast pozwałam, by mężczyźni wydawali na mnie pieniądze. Z rozbawieniem obserwowałem tę krótką rozterkę, dobrze bowiem wiedziałem, że Jacques nie odważyłby się czegoś uśmiechem, dodał po chwili namysłu:

— Ani przez moment nie miałem zamiaru wystawić na próbę — zawałał się — twej niesplamionej męskości, będącej dla ciebie takim powodem do dumy i radości. Sądzę, tyłdobniej odmówi, jeśli ja to zrobię.

— Człowieku, pomyśl tylko o zamieszaniu, jakie może powstać! — odparłem zgrzytliwie. — On gotów sobie pomyśleć, że to ja na niego lecę, i co wtedy?

— Gdyby doszło do takiego nieporozumienia — stwierdził z godnością Jacques — z rozkoszą podjąłbym się jego wyjaśnienia.

Obrzuciliśmy się baczny spojrzeniem. Roześmiałem się.

— Poczekaj więc, aż wróci. Mam nadzieję, że zamówi sobie butelkę najdroższego szampana w całej Francji.

Opartem się plecami o kontuar. Ta sytuacja zaczęła mnie bawić. Jacques zamilkł, sprawiał teraz wrażenie człowieka wątego i starego, przeniknęło mnie nagle pełne trwogi uczucie litości dla niego. Giovanni, który tymczasem usługiwał przy stolikach, wracał akurat z ponurym uśmiechem, dźwigając tacę pełną szkła.

— Będzie lepiej wyglądać, jeśli wypijemy nasze trunki — uważałem.

Wypiliśmy. Odstawiłem swój kieliszek.

— Barmani! — zawołałem.

— To samo?

— Tak. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu — dorzucitem predko, zanim zdążył się odwrócić — to zapraszamy na jednego.

— *Eh, bien!* — usłyszałem za plecami głos — *c'est fort gai!* Nie tylko że nareszcie, dzięki Bogu, uwiodłeś tego wspaniałego amerykańskiego piłkarza, to na dodatek wystugujesz się nim, żeby uwieść mojego barmana. *Vraiment*, Jacques. *W t w o i m w i e k u?*

Za nami stał Guillaume, uśmiechając się jak aktor filmowy i powiewając białą chustką, z którą się nigdy, przynajmniej w barze, nie rozstawał. Jacques odwrócił się promieniejąc z radości, że się go posądza o nadzwyczajne umiejętności uwodzenia. Obaj padli sobie w ramiona, jak dwie stare aktorki.

— *Eh, bien, ma chérie, comment vas-tu?* Nie widziałem cię już tak dawno.

— Miałem mnóstwo roboty — tłumaczył się Jacques.

— Wcale w to nie wątpię. Nie wstyd ci, *vieille folle?*

— *Ei toi?* Ty chyba też nie marnowałeś czasu?

Jacques rzucił pełne uwielbienia spojrzenie w stronę Giovanniego, tak jakby podziwiał cennego konia wyciągowego czy

rzadki okaz porcelany. Guillaume powiół za nim wzrokiem i powiedział cicho:

— *Ah, ça mon cher, c'est strictement* służbowo, *comprends-tu?* Odeszli na bok, a mnie otoczyła nagle niemila cisza. Podniosłem głowę i dostrzegłem, że obserwuje mnie Giovanni.

— Wydawało mi się, że chce mnie pan zaprosić na drinka.

— Ach tak, naturalnie.

— W pracy nie piję alkoholu, ale chętnie wezmę sobie coca-cola. — Siegnął po mój kieliszek. — A dla pana to, co przedtem?

— Tak. To, co przedtem. — Uświadomiłem sobie, że rozmowa z nim sprawia mi przyjemność, i to spostrzeżenie mnie onieśmieliło. Poczutem się zagrożony, bo nie było przy mnie Jacquesa. Następnie uświadomiłem też sobie, że za tę kolejkę muszę sam zapłacić. Nie mogę przecież pociągnąć Jacquesa za rękaw, jak jakiś utrzymanek. Wyrzebałem z kieszeni i położyłem na blacie banknot — dziesięć tysięcy franków.

— Ale pan bogaty! — zauważył Giovanni i podsunął mi drinka.

— Skądże! Wcale nie. Po prostu nie mam drobnych. Uśmiechnął się. Nie mam pojęcia, czy uśmiechnął się, bo brat mnie za łgarza, czy dlatego, że uznał moje oświadczenie za prawdę. Bez słowa wziął banknot, otworzył kasę i skrupulatnie odliczył resztę. Potem napełnił sobie szklankę i ponownie przyjął dawną postawę. Coś zakłuło mnie w piersi.

— *À la vôtre* — powiedział.

— *À la vôtre*. — Wypiliśmy.

— Jest pan Amerykaninem? — spytał w końcu.

— Tak. Z Nowego Jorku.

— Ach. Nowy Jork musi być fantastyczny! Czy jest ładniejszy od Paryża?

— O nie — zapewniłem. — *Ž a d n e* miasto nie jest ładniejsze od Paryża.

— Widzę, że nawet sugestia, że *j a k i e s* może być ładniejszy, wyprowadza pana z równowagi. — Roześmiał się. — Przeczam, nie chciałem wcale być heretykiem. — Następnie dał poważniejszą, jakby chcąc mnie udobruchać: — Pan, zdaje się, uwielbia Paryż.

— Lubię też Nowy Jork — odpartem, niemile świadom tego, że w moim głosie brzmi nuta samoobrony. — Nowy Jork też jest na swój sposób ładny.

— Na jaki sposób? — Nastrozył się.

— Kto go nie widział na własne oczy, nie może sobie wyobrazić. Nowy Jork jest bardzo wysoki, bardzo nowoczesny, elektryzujący i podniecający. — Przerwałem. — To trudno opisać. Jest bardzo... dwudziestowieczny.

— Uważa pan, że Paryż nie jest dwudziestowieczny? — Giovanni roześmiał się, a mnie zrobiło się głupio.

— Paryż jest stary... złożyły się na niego całe wieki. W Paryżu czuje się przeszłość, a w Nowym Jorku nie... — Zamilkłem widząc, że się nadal uśmiecha.

— A co czuje się w Nowym Jorku? — spytał.

— Hm, może to, co nastąpi! Wszystko jest tam w pełni sił, w ciągłym ruchu. Człowiek zadaje sobie mimo woli pytanie, a ja to czynię nawet często, jak to będzie wyglądać po wielu latach? — Po wielu latach? Kiedy pomrzemy, a Nowy Jork się zestareje?

— Właśnie. Kiedy wszyscy będziemy już zmęczeni i świat dla Amerykanów przestanie być tak nowy.

— Nie mam pojęcia, dlaczego świat ma być dla Amerykanów nowy — stwierdził Giovanni. — W gruncie rzeczy jesteście przecież wszyscy tylko emigrantami, a Europę opuściliście całkiem niedawno.

— Ocean jest szeroki — wyjaśniłem. — Żyliśmy inaczej niż wy. U nas wydarzyły się rzeczy, które tu wcale nie miały miejsca. Nie uważa pan, że poprzez to mogliśmy stać się innymi ludźmi?

— Innymi ludźmi? Ach, gdyby tak było naprawdę! — roześmiał się. — Mnie się wydaje, że przestawiacie się w całkiem inne stwory. Nie żyjecie przecież na innej planecie. A może jednak? To by mi wszystko wyjaśniło.

— Przyznaję — dodałem w podnieceniu, bo nie lubię, gdy się ze mnie drwi — że czasami sprawiamy może takie wrażenie. Ale my nie żyjemy na obcej planecie, a i pan także, mój przyjacielu.

Uśmiechnął się ponownie.

— Wcale nie zamierzam negować tego smutnego faktu.

Milczeliśmy przez chwilę. Giovanni obsłużył kilku gości po obu końcach kontuaru. Guillaume i Jacques nadal rozmawiali. Guillaume opowiadał najwidoczniej jedną ze swoich niekończących się anegdot, które nieodmiennie dotyczyły ryzyka w interesach lub w miłości. Twarz Jacquesa wykrzywił bolesny grymas. Czuję, że pilno mu wrócić do nas.

Giovanni ponownie zjawił się przede mną i zaczął wycierać blat moką ścierką.

— Amerykanie są zabawni. Macie zabawne poczucie czasu, a może go w ogóle nie macie? Czas brzmi zawsze jak *parada chez vous*, parada triumfalna. Jak armia wkraczająca ze sztan-darami do zdobytego miasta. Dysponując dostateczną ilością czasu, a dla Amerykanów to nic nie jest, *n'est pas?* — Zaśmiał się ponownie, rzucając mi wymowne spojrzenie, ale ja nie zareagowałem. — Dysponując dostateczną ilością czasu oraz tą nie-spożyta siłą i energią, jaką wy dysponujecie, można by wszystko odpowiednio zmienić, zatłwić, uregulować. A kiedy mówię „wszystko” — dodał posępnie — to mam też na myśli tak poważne, zatrażające sprawy jak ból, śmierć czy miłość; w co wy, Amerykanie, nie wierzycie.

— Co też panu przychodzi do głowy? My w to nie wierzymy? A pan w to wierzy?

— Nie wierzę w te bzdury o czasie. Czas to coś zupełnie oczywistego, jak woda dla ryby. Każdy pływa w tej wodzie, nikt jej nie opuszcza, a jeśli to uczyni, to przydarzy mu się to samo co rybce, umiera. Wie pan chyba, co dzieje się w tej wodzie zwanej czasem? Duże ryby pożerają małe. To wszystko. A ocean wcale się tym nie przejmuje.

— O nie! — rzekłem — ja w to nie wierzę. Czas to gorąca woda, my wcale nie jesteśmy rybami, a każdy może sobie wybierać, czy chce być pożartym, czy sam chce pożerać, ponieważ małe rybki, oczywiście — poprawiłem się pośpiesznie, nieco się rumieniąc, ujrzawszy jego ujmujący i sardoniczny uśmiech.

— Wybieraci! — wykrzyknął Giovanni i spojrzął w bok, jakby zwracając się do niewidocznego sojusznika, który od samego początku podsłuchiwał naszą rozmowę. — Wybieraci? — po czym

rzekł w moim kierunku: — Ach, pan jest prawdziwym Amer-
kaninem. *Jadore votre enthousiasme!*

— A ja podziwiam pański — odpartem uprzejmie — na-
wet jeśli rysuje się on w ciemniejszych barwach, niż to jest
w moim przypadku.

— Tak czy inaczej — rzekł pojednawczo — nie mam poję-
cia, czy można w ogóle z tymi rybami zrobić coś innego, niż
je zjeść. Na co mogą się jeszcze przydać?

— W mojej ojczyźnie — mówiąc te słowa poczułem pewną
rozterkę duchową — wszystkie małe rybki zebrały się razem
i żerują na ciele wieloryba.

— Ale przez to jeszcze nie stają się same wielorybami — od-
part Giovanni. — Jedynym rezultatem tego żerowania jest to,
że wkrótce nie będzie niczego wielkiego nawet w głębi oceanu.

— A więc t o nam pan zarzuca? Że nie jesteśmy wicley?

Uśmiechnął się jak ktoś, kto dostrzegł kompletną niecelowość
oponowania i ma zamiar zakończyć dyskusję.

— *Peur-être.*

— Jesteście niemożliwi — zawołałem. — Przecież nikt inny,
jak wy tu, w tym mieście, zabijaliście wielkości brukowcami.
A teraz mówicie o małych rybkach. — Urwałem widząc, że on
się śmieje.

— Proszę, niech pan mówi dalej: — rzekł Giovanni. — Stu-
cham uważnie.

Opróżniłem swój kieliszek.

— To wy wylaliście na nas to całe *merde* — warknąłem po-
nuro — a teraz twierdzicie, że jesteśmy barbarzyńcami, bo śmier-
dzimy.

Moja ponurość go zafrapowała.

— Jest pan czarujący — stwierdził. — Zawsze mówi pan takie
rzeczy?

— Nie. — Spuściłem oczy. — Prawie nigdy.

Było w nim coś kokieteryjnego.

— To mi pochlebia — dodał z nagle, zbijającą z tropu po-
wagą, z której przebijała nutka ironii.

— A pan — spytałem wreszcie — mieszka pan już długo w Pa-
ryżu? Podoba się tu panu?

Zawahał się przez moment. Następnie uśmiechnął się, wygła-
dając teraz bardzo chłopięco i nieśmiało.

— Zimą jest tu chłodno — rzekł. — To mi się nie podoba.

— Paryżanie nie są specjalnie serdeczni, nie uważa pan? — Nie
czekając na odpowiedź dorzucił: — Paryżanie są zupełnie różni
od ludzi, jakich dotychczas znałem. My, Włosi, jesteśmy serdecz-
ni, tańczymy, śpiewamy, Kochamy się. A ci — obrzucił wzrokiem
salę, spojrzął na mnie i wypił swoją coca-cola — ci ludzie są
zimni, ja ich wcale nie rozumiem.

— Francuzi mówią, że Włosi są zbyt niestali, zbyt swa-
wolni, że nie znają umiaru — przygadalem mu.

— Umiar! — wykrzyknął Giovanni. — Ach, oni i ich umiar!
Odmierzają wszystko co do grama, co do centymetra, ciutają
grosz do grosza, latami, chowają do pończochy albo pod łózkę.
Co mają z tego całego umiaru? Kraj rozpadający się na kawałki
na pańskich oczach. Umiar! Nie chcę obrazić pańskich uszu
i nie będę wyliczać wszystkiego, co ci ludzie z pewnością zawsze
mierzą, zanim się na coś zdecydują. Czy mogę teraz ja postawić
panu drinka — spytał niespodziewanie — zanim wróci ten
starszy pan? Kto to właściwie jest? Pański wujek?

Nie miałem pojęcia, czy wyrazu „wujek” użył jako eufemizmu,
czy nie. Zapragnąłem jak najszybciej wyjaśnić mu ten cały
układ, tylko od czego zacząć? Roześmiałem się.

— Nie, to nie mój wujek, znajomy.

Giovanni spojrzął, a ja odniosłem wrażenie, że nikt dotych-
czas nie przypatrywał mi się tak wnikliwie.

— Mam nadzieję, że to nikt bliski dla pana — rzekł z uśmie-
chem — bo uważam, że jest niepoważny. Żaden zły człowiek,
proszę mnie dobrze zrozumieć, ale trochę niepoważny.

— Być może — odpartem i poczułem się nagle jak zdrajca. —
Zły nie jest z pewnością — dodałem pośpiesznie — to bardzo
fajny facet. — To nieprawda, wcale nie jest fajnym facetem,
pomyslałem w duchu. — Nie, nie jest dla mnie nikim bliskim.
Ponownie poczułem, jak coś ukuło mnie w piersi i zdumiałem
się z powodu brzmienia własnego głosu.

Giovanni nalał mi ostrożnie drinka.
— *Vive l'Amérique!* — powiedział.

— Dziękuję. — Podniosłem kieliszek. — *Vive le vieux continent!* Milczeliśmy przez jakiś czas.

— Często pan tu przychodzi? — zapytał Giovanni znięca. — Nie. Nie za często.

— Ale teraz będzie pan przychodzić częściej? — ironizował, a w jego oczach zabłyśnął cudowny kpiarski ognek.

Westchnąłem.

— Dlaczego?

— Ach — wykrzyknął Giovanni. — Jeszcze pan nie zauważył, że zyskał pan przyjaciela?

Musiąłem zrobić chyba głupią minę, bo moje pytanie też było głupie.

— Tak szybko?

— A dlaczegoż by nie? — spytał całkiem rozsądnie i spojrzął na zegarek. — Jeśli ma pan ochotę, to możemy poczekać z godzinę z zawarciem przyjacieli. Możemy zaczekać aż do zamknięcia lokalu albo do jutra. Ale wtedy musiałby pan tu przyjść ponownie, tymczasem kto wie, może ma pan jakieś inne plany? — Dał sobie spokój z zegarkiem i oparł się łokciami o kontuar. — Niech mi pan wytłumaczy, co to ma wspólnego z czasem? Dlaczego lepiej zrobić coś później niż wcześniej? Ludzie ciągle powtarzają: „Musimy poczekać, musimy poczekać.” Na co oni wszyscy czekają?

Odniosłem wrażenie, że Giovanni kieruje mnie na głębokie i niebezpieczne wody.

— No, wydaje mi się, należy poczekać, żeby się upewnić co do naszych uczuć.

— U p e w n i ć s i ę! — znów zwrócił się do niewidocznego sprzymierzeńca i ponownie zachichotał. Ta zjawia zaczynała działać mi trochę na nerwy, lecz śmiech Giovanniego w tej pozabawionej powietrza piwnicy był wręcz niesamowity. — Jest pan prawdziwym filozofem, to jasne. — Wskazał palcem w kierunku mojego serca. — A jak już pan odczeka, to będzie pan wtedy pewny?

Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi. Ktoś z głębi ciemnego, przepelnionego lokalu zawołał: — *Garçon!* — i Giovanni od-
dał się z uśmiechem. — Ma pan teraz czas, żeby się zasta-

nowić. Powie mi pan, kiedy wrócić, jak dalece się pan już upewnił, dobrze?

Chwycił okrągłą metalową tacę i zaczął się przeciskać przez tłum. Odprowadzałem go wzrokiem. I wtedy dostrzegłem, że podążają za nim także spojrzenia innych. I wtedy się przeraziłem. Umysłowiłem sobie, że przez cały ten czas byliśmy obserwowani. Wiedzieli, że są świadkami pewnego początku, i nie spuszcza nas z oka, póki nie ujrzą końca. Trwało to jakiś czas, potem sytuacja się zmieniła. To ja byłem teraz jak w klatce w zoo, a oni mnie oglądali.

Przez dłuższą chwilę stałem samotnie przy barze, gdyż Jacques uwolnił się co prawda od Guillaume'a, ale biedaczysko za-jęty był obecnie rozmową z dwoma chłopaczkami w dżinsach. Giovanni powrócił na moment i mrugnął do mnie:

— No, już się pan upewnił.

— Wygrał pan! To pan jest filozofem.

— Och, musi pan jeszcze nieco poczekać. Nie zdążył pan jeszcze przeciecz mnie na tyle poznać, żeby coś takiego stwierdzić. — Zapętnił tacę kieliszkami i zniknął.

Nagle z cienia wyłonił się przede mną ktoś, kogo dotąd wcale nie zauważyłem. Przypominał mumię czy też żyjącego trupa — przynajmniej takie odniosłem wrażenie na pierwszy rzut oka. Poruszał się jak lunatyk albo jak postać z widzianych niekiedy na ekranie filmów w zwolnionym tempie. W ręku trzymał kieliszek, stąpał na palcach, jego płaskie biodra kotysały się z martwą, przerażającą lubieżnością. Poruszał się jakby bezszelstnie, zapewne ze względu na panujący w lokalu hałas, przypominający słyszany z daleka w nocy ryk morza. Połyskiwał w ską-pym świetle: rzadkie czarne włosy lśniły oleścicie i zczesane do przodu spadały grzywką na czoło, powieki błyszczały od tuszu, a usta od jaskrawej szminki. Twarz, białą i całkowicie bezkrwistą, pokrywała warstwa makijażu. Pachniał pudrem i tanimi perfumami. Koszula, kokieteryjnie rozpięta do pępka, od-staniała srebrny krzyżyk na nagiej, pozabawionej owłosienia pier-si, i była cała upstrzona okrągłymi, cieniutkimi cekinami w ko-lorach czerwonym, zielonym, pomarańczowym żółtym i nie-bieskim, które tak się skrzyły w świetle, że odnosiło się wraże-

nie, iż mumia lada moment stanie w płomieniach. Talię opasywała czerwona szarfa, a obcisłe spodnie były niespodziewanie dyskretnie szare. Na buciakach miał klamerki.

Nie miałem pewności, czy kieruje się on ku mnie, ale nie potrafiłem odwrócić wzroku. Stał przedem mną z ręką na boku, zlustrował od stóp do głów i uśmiechnął się. Lubił chyba czosnek, a jego uzębienie było w fatalnym stanie. Ku swojemu zdumieniu odkryłem, że dlonie ma bardzo duże i silne.

— *Eh bien* — rzekł — *il te plaît?*

— *Comment?* — zdołałem wykrztusić.

Naprawdę nie wiedziałem, czy go dobrze rozumiem, choć jego jasne, przenikliwe oczy, które jakby obserwowały coś zabawnego w głębi mojej czaszki, nie pozostawiały żadnej wątpliwości.

— Podobna ci się ten barman, co?

Nie miałem pojęcia, co mam począć i co powiedzieć. Uderzyć tak nierealnego stwora nie miało sensu, podobnie jak nie sposób było się na niego złościć. Poza tym bez względu na to, co bym powiedział, jego oczy i tak wszystko wyszydzą. Spytałam więc najoschlej, jak tylko potrafiłem:

— Co to pana obchodzi?

— Ależ absolutnie nic, kochanie. *Je m'en fou.*

— No to splywaj pan.

Nie ruszył się z miejsca, tylko się uśmiechnął.

— *Il est dangereux, tu sais.* A dla takiego chłopca jak ty nawet bardzo o niebezpieczne.

Spojrzałem na niego i już prawie miałem go zapytać, co przez to rozumie. — Idź pan do diabła! — rzuciłem jednak i odwróciłem się plecami.

— O, nie — odpart, ja zaś spojrzałem na niego ponownie. Śmiał się, ukazując wszystkie zęby, a zbyt wiele ich nie miał. — O, nie, ja nie pójdę do diabła — oznajmił i olbrzymią łapą chwycił krzyżyk. — To ty, przyjacielu, będziesz się musiał smażyć w ogniu piekielnym. — Zachichotał. — Jeszcze w jakim ogniu! Tu... — dotknął głowy i zadygotał jakby w męczarniach — ... tu — pokazał na serce — wszędzie. — Patrzył na mnie ze złością, drwinał i czymś tam jeszcze. Patrzył tak, jakby

znajdował się bardzo daleko. — Mój biedny przyjacielu, taki młody, taki silny, taki przystojny, nie postawisz mi jednego?

— *Va te faire foure.*

Cierpienie, jakie malowało się na jego twarzy, przypominało smutek niemowląt czy starców, smutek też pewnych podstarzałych aktorów, które kiedyś w młodości słynęły z delikatnej, dziecięcej urody. Ciemne oczy zwięzły mu się z pasji i wściekłości, a karminowe usta ułożyły w podkówkę jak u tragicznej maski.

— *Taura du chagrin* — rzekł. — Będziesz bardzo nieszczerliwy. Pamiętaj, że ci to przepowiedziałem.

Pomaszerował przez tłum wyprostowany jak księżniczka, rzucając ogień na wszystkie strony.

Wkrótce obok mnie pojawił się Jacques.

— Wszyscy w lokalu nie mówią o niczym innym — oznajmił — tylko o tym, że ty i barman tak cudownie się zgadzacie. — Rzucił mi promienny i mściwy uśmiech. — Mam nadzieję, że nie wprawiam cię w zakłopotanie.

Spojrzałem na niego. Najchętniej skłubiłbym mu tę jego radośną, wstrętą, lubieżną buźkę, co by chyba uniemożliwiło mu już uśmiechy w podobnym stylu. Chciałem wyjść z tego baru, na świeże powietrze, może do Helli, mojej tak obecnie zagrożonej dziewczyny.

— Nie — syknąłem — nie wprawiasz mnie w zakłopotanie. A i ty nie musisz się wcale kłopotać.

— Myślę, że mogę cię zapewnić — odpart Jacques — że rzadko w moim życiu byłem mniej zakłopotany niż w tym momencie. — Jego uśmiech znikł, obrzucił mnie oschłym, gorzkim i obcym spojrzeniem. — A narażając się na utratę na zawsze twej tak wybitnie czystej przyjaźni, chcę ci tylko jedno powiedzieć: zakłopotanie jest luksusem, na który mogą sobie pozwolić jedynie bardzo, bardzo młodzi ludzie, ty zaś nie jesteś już taki młody.

— Co ty pleciesz? Chodź, napijemy się — zaproponowałem. Czulem, że nie zostaje mi nic innego, jak tylko się upić. Giovanni zajął ponownie swoje miejsce przy barze i mrugnął do mnie. Jacques nie spuszczał mnie z oka. Odwróciłem się od

niego, zwracając się w stronę baru. Jacques poszedł w moje ślady.

— To samo — zadysponował.

— Racja, tak trzeba — rzekł Giovanni. Napelnił kieliszki. Jacques zapłacił. Wyglądałem chyba nieszczęśliwie, bo Giovanni zwrócił się do mnie zaczepnie:

— Co, już pijany?

— Uśmiechnąłem się.

— Amerykanie umieją pić. Nawet jeszcze porządnie nie zaczęłem.

— Dawid wcale nie jest pijany — wtrącił Jacques. — Martwi się tylko, że będzie musiał sprawić sobie nowe szelki.

Mógłbym go za to zabić, ale mimo to z trudem powstrzymałem się od śmiechu. Zrobiłem minę do Giovanniego dając mu do zrozumienia, że stary tylko sobie tak żartuje, i Giovanni znowu zniknął. Tymczasem nadeszła pora, kiedy wielu gości opuszcza lokal, a wielu nowych się pojawia. Wszyscy i tak spotkają się raz jeszcze w ostatnim czynnym barze, a przynajmniej ci spośród nich, których poszukiwania nie zostaną uwięzione do tej późnej pory sukcesem.

Nie mogłem patrzeć na Jacquesa i on dobrze o tym wiedział. Stał obok mnie, uśmiechał się i nucił jakąś melodię. Nie wiedziałem, co mam rzec. O Helli nie odważyłem się wspomnieć. Nawet przed sobą samym nie mogłem udawać, że sprawa mi przykrość jej pobyt w Hiszpanii. Byłem zadowolony. Byłem strasznie, niesamowicie, niewypowiedzianie zadowolony. Wiedziałem, że nie mogę pohamować dzikiego wzruszenia, które szaleje we mnie jak nawatnica. Mogłem tylko pić, pić w nikłej nadziei, że nawatnica znajdzie w tym ujęcie i przeminie nie wyrządzając mi poważniejszych szkód. Byłem jednak zadowolony. Żałowałem tylko tego, że Jacques jest świadkiem. Jego obecność stała się dla mnie krępująca. Nienawidziłem go, gdyż obserwował teraz to, czego od kilku miesięcy, często już tracąc nadzieję, oczekiwałem. Prowadziłem śmiertelną grę i on zwyciężył. Zwyciężył, choć próbowałem oszukiwać.

Stojąc tak przy barze, pragnąłem znaleźć w sobie siły, aby odwrócić się i wyjść — pójść na przykład na Montparnasse, po-

derwać sobie jakąś dziewczynę. Jakąkolwiek. Nie mogłem się jednak przemóc. Wmawiałem sobie najrozmaitsze kłamstwa, ale nie ruszałem się z miejsca. Działo się tak po części dlatego, gdyż wiedziałem, że nie ma to już naprawdę znaczenia, nawet gdybym nie zamienił więcej ani słowa z Giovannim — bo moje rozbudzone, natarczywe możliwości kłębły się we mnie, wyszły na jaw, stały się widoczne jak cekiny koszuli płomiennej księżniczki.

Tak oto poznałem Giovanniego i myślę, że od pierwszej chwili związaliśmy się ze sobą i pozostali ze sobą związani, mimo późniejszej *séparation de corps*, mimo to że ciało Giovanniego ulegnie niedługo rozkładowi w nie poświęconej ziemi gdzieś pod Paryżem. Aż do mojej śmierci będą takie momenty, wychodzące się jakby spod ziemi nieczym czarownicy Makbeta, kiedy to przed moimi oczami pojawi się jego twarz, ze wszystkimi swoimi zmiennościami, kiedy jego głos, sposób mówienia będą niemal rozsadzać mi uszy, a jego zapach przepętniać moje nozdrza. W nadchodzących dniach (Boże, spraw, abym je wytrzymał) nieraz jeszcze ujrzę Giovanniego: w brzasku szarego poranka, przy kawie i papierosach, z piekącymi, zaczerwienionymi oczami, z mokrymi, potarganymi od niespokojnego snu włosami, siedząc w ostatnią noc naprzeciwko tego nieprzenikliwego, pozbawionego znaczenia chłopca, który wkrótce potem podniesie się i zniknie jak dym, ujrzę znów Giovanniego, takiego, jakim był tamtej nocy, pełnego życia i zwycięskiego, z głową opromienioną całym światłem owego mrocznego lokalu.

ROZDZIAŁ TRZECI

O piątej nad ranem opuściliśmy bar i Guillaume zamknął za nami drzwi. Ulice były puste i szare. Rzeźnik otworzył swój sklep na rogu i widać było, jak już poplamiony krwią ćwiartuje mięso. Jeden z dużych zielonych autobusów paryskich, prawie pusty, przejechał obok nas mrugając zapamiętane jaskrawym kierunkowskazem. *Garçon de café* chlusnął wodą na trotuar i zaczął ją zamiatać do rynsztoka. Na końcu długiej, krótkiej ulicy,

ponad drzewami bulwaru i wysokimi stertami wyplatanych krzesel przed kawiarzarniami, widniały strzeliste kamienne wieże kościoła St. Germain-des-Prés — według Helli i mnie najwspanialsze w całym Paryżu. Ulica po przeciwległej stronie placu wiodła prosto nad rzekę i z boku za naszymi plecami widać się meandrami w kierunku Montparnasse. Nazwana została imieniem pewnego awanturnika, który w Europie zasiadł ziarno po dziś dzień przynoszące plony. Kiedyś często tędy spacerowałem, idąc nieraz z Hellą nad rzekę, a nieraz sam do dziewięciu z Montparnasse. Było to jeszcze tak niedawno, ale tego ranka wydało mi się, że w zupełnie innym życiu.

Pojechaliśmy na śniadanie do Hal, wcisnąwszy się we czwórkę do jednej taksówki. Fakt, że siedzieliśmy stłoczeni, stał się dla Jacquesa i Guillaume'a okazją do serii sprośnych komentarzy, o tyle odrażających, że całkowicie pozabawionych dowcipu. Świadczący one jedynie o pogardzie w stosunku do innych i do samego siebie i przypominały czarną wodę tryskającą ze ścieków. To jasne, że obaj cierpieli męki z powodu mnie i Giovanniego, i czułem się tym poirytowany. Giovanni natomiast odwrócił się do okna i lekko oparł rękę na moim ramieniu, jakby chciał dać do zrozumienia, że już wkrótce pozbędziemy się warzystwa tych wapniaków i dlatego nie warto się w ogóle przejmować ich brudną gadaniną — z łatwością ją potem z siebie zmyjemy.

— Spójrz — rzekł, gdy przejeżdżaliśmy przez Sekwanę — ta stara kurwa Paryż jest wznoszająca, kiedy budzi się ze snu. Wyjrzałem poza jego mocny profil szary od zmęczenia i chmur nad nami. Rzeka była wezbrana i nie nie poruszało się na jej brzeży. Oddalała się od nas wyspa śródmieścia przygniecioną wagą katedry. Za nią rysowały się rozmyte szybka jazdą i mgłą poszczególne dachy Paryża oraz niezliczone, przysadziste kołminy, piękne i różnokolorowe na tle szaropertowego nieba. Unoszące się nad rzeką opary zmiękczały kontury zastępów drzew i kamiennych murów, łagodziły brzydotę krętych ulic i zaułków, lgnąc jak kłątwa do nocujących pod mostem męż-

czyn. Jeden z nich — ciemna, samotna postać — mignął poniżej nas, idąc wzdłuż rzeki.

— Jedne szczyry pochowały się już po norach — rzekł Giovanni — a inne wylażą na światło dzienne. — Spojrzał na mnie z posępnym uśmiechem. Ku mojemu zaskoczeniu złapał moją rękę. — Zdarzyło ci się kiedyś nocować pod mostem? — spytał. — A może u was stoją pod mostami wygodne łóżka z ciepłymi kołdrami?

Nie wiedziałem, co mam zrobić z ręką. Najlepiej chyba nie.

— Jak dotąd nie — odparłem — ale teraz może i będę. Akurat wyrzucono mnie z hotelu.

Powiedziałem to lekko, z uśmiechem, jakbym chciał zasugerować, że jesteśmy sobie równi, że i mnie twarde życie nie jest obce. Lecz fakt, że to mówiłem, kiedy on nadal trzymał moją dłoń, sprawił, że słowa zabrzmiały w moim przekonaniu nieopisanie bezradnie, miękko i nieśmiało. Nie potrafiłem niczym tego wrażenia zatrzeć — każde następne słowo by je tylko spotęgowało. Cofnąłem więc rękę pod pretekstem, że szukam pieterosa.

Jacques podał mi ogień.

— Gdzie pan mieszka? — zapytał Giovanniego.

— Och, daleko, bardzo daleko, prawie poza Paryżem.

— W pobliżu Placu Narodów — poinformował Guillaume — na ohydnej ulicy, pomiędzy okropnymi mieszczuchami i ich wieprzkowatymi dzieciakami.

— Widocznie nie widziałeś tych dzieci we właściwym wieku — wtrącił Jacques. — Przez pewien czas, aczkolwiek krótki, *hélas*, świnią jest chyba jedynym zwierzęciem, do którego nie są akurat podobne. — A następnie zwrócił się ponownie do Giovanniego: — W hotelu?

— Nie. — Giovanni po raz pierwszy sprawiał wrażenie zmieszanego. — Mieszkam w pokoiku służącej.

— Razem ze służącą?

— Ależ nie. — Giovanni się rozśmiał. — Nie mam pojęcia, gdzie się ona podziewa. Gdyby pan zobaczył mój pokój, od razu by się pan zorientował, że nie ma tam żadnej służącej.

— Uczynię to z rozkoszą — odparł Jacques.

— Wydamy więc kiedyś przyjęcie na pana cześć — obiecał Giovanni.

Jego słowa, uprzejme i przekorne zarazem, ucinaty wszelkie dalsze pytania, choć jedno cisnęło mi się prawie na usta. Guillaume rzucił szybkie spojrzenie w stronę Giovanniego, ale tego nie dostrzegając, gdyż pogwizdując obserwował budzący się poranek. W ciągu ostatnich sześciu godzin podjąłem wiele decyzji, a teraz powziąłem jeszcze jedną: natychmiast wyjaśnić Giovanniemu całą tę historię, jak tylko znajdziemy się w Haulach sam na sam. Muszę mu wytłumaczyć, że jest w błędzie, lecz mimo wszystko możemy zostać przyjaciółmi. Z drugiej zaś strony nie byłbym pewny, czy to przypadkiem nie ja wszystko mylnie interpretuję, a to z powodów, których nazwa- nia po imieniu zabraniano mi poczucie wstydu. Znajdowałem się w pułapce, czułem bowiem, że cokolwiek zrobię, zbliża się godzina prawdy i nie ucieknę przed nią. Chyba że wyskoczę z taksówki, co i tak będzie oznaczać najgorsze wyznanie ze wszystkich.

Kierowca spytał, gdzie chcemy wysiąść, bo właśnie dotarliśmy do zatoczonych bulwarów i zupełnie nieprzejezdnych uliczek w pobliżu Hal. Wszędzie wznosiły się sterty porów, cebuli, kapusty, pomarańcz, jabłek, kartofli i kalafiorów, na chodnikach, na jezdni, przed wielkimi metalowymi magazynami, ciągniętymi się wzdłuż kilku przecznicy; w środku znajdowały się jeszcze większe góry owoców i jarzyn, w niektórych były sery, w innych ryby, w jeszcze innych świeżo zaszlachtowane zwierzęta. Wydawało się wręcz niemożliwością, żeby to wszystko mogło zostać kiedykolwiek zjedzone. Już za parę godzin jednak wszystko zniknie, a z różnych zakątków Francji zjadą nowe ciężarówki, aby, korzystając z usług rzeszy pośredników na terenie całego miasta i dając im dobrze zarobić, zaspokoić głód hałaśliwego tłumu. Nawiasem mówiąc, tłum hałasował także i teraz; z prawa i z lewa, z tyłu i z przodu taksówki panował ogłuszający, a jednocześnie przyjemny dla ucha zgiełk. Kierowca i Giovanni wykrzykiwali też w kierunku cizby. Mieszkańcy Paryża, jak się wydaje, ubierają się na niebiesko chyba każdego dnia z wyjątkiem niedziel, kiedy to przywdziewają na ogół

uroczystą czerń. Teraz ubrani ponownie na niebiesko byli tu — rozprawiali na każdym kroku, w każdym przejściu — ze swoimi ciężarówkami, furgonetkami, wózkami, załadowanymi koszami i koszykami dźwiganymi na plecach. Jedna z przekupki, rumiana na twarzy i obladowana owocami, potraktowała Giovanniego, kierowcę i cały świat szczególnie pieprzną *cochonnerie*, na którą ci zareagowali jednocześnie co sił w płucach, choć handlarzka zginęła nam z oczu i z pewnością nie pamiętała już swojego sproszonego przypuszczenia. Posuwałem się wolno naprzód, bo nikt nie powiedział szoferowi, gdzie mamy zamiar wysiąść. Od chwili przekroczenia terenów targowych kierowca i Giovanni jakby się zbratali: wymieniali cięte, niepochlebne aż do przesady uwagi na temat higieny, mowy, intymnych części ciała i zwyczajów paryżan. (Jacques i Guillaume wypowiadali tymczasem wiele znacznie mniej życzliwych komentarzy pod adresem każdego osobnika płci męskiej, który nas mijał.) Bruk był śliski od odpadków, przeważnie zgniłych liści, resztek jarzyn, kwiatów, owoców, które spotkał ten los w sposób naturalny lub nagle. Pod murami i na narożnikach pełno było pisuarów oraz żarzących się prowizorycznych żelaznych piecyków, kafejek, restauracji i zadymionych bistr, niekiedy tak małych, że będących raczej ciasnymi kącikami z cynkowym kontuarem i paroma butelkami. Wszędzie roilo się od mężczyzn: starych, młodych, w średnim wieku, silnych nawet w tych różnorodnych usiłowaniach, które doprowadzają ich lub przez które są doprowadzani do różnorodnej zguby, oraz kobiet, które przebiegłością i ciępliwością, wyrachowaniem i zrównoważeniem — a także krzykiem — potrafią sobie powetować brak bicepsów, choć trudno powiedzieć, aby większości z akurat tu obecnych ich brakowało. Nic mi tutaj nie przypominało mojej ojczyzny, natomiast Giovanni znajdował się w swoim żywiole.

— Już wiem, dokąd pojedziemy — powiedział do kierowcy — „*très bon marché*” — i opisał mu, gdzie to jest. Okazało się, że ten był tam starym gościem.

— Gdzie to jest? — opryskliwie spytał Jacques. — Myślałem, że jedziemy do... — Wymienił nazwę innego lokalu.

— Pan chyba żartuje. — W głosie Giovanniego zabrzmiała

po garda. — To miejsce dla turystów, strasznie podłe i strasznie drogie. A my przecież nie jesteśmy turystami. — Zwracając się do mnie dodał: — Kiedy przyjechałem do Paryża, pracowałem dłuższy czas w Halach. *Nom de Dieu, quelle boulot!* Modłę się, żeby to się już nigdy nie powtórzyło. — Spoglądał z wyrazem smutku na mijane ulice, smutku, który pomimo pewnej teatralności i autoironii był z pewnością szczerzy.

Guillaume odezwał się ze swego kąta w taksówce:

— Powiedz mu, kto cię stamtąd wyciągnął!

— Ach tak! — rzekł Giovanni. — Oto mój zbawca, mój dobrodziej. — Zamilkł na chwilę. — Ale przecież tego nie żałujesz? Czy też może cię zawiodłem? Jesteś zadowolony z mojej pracy, czy nie tak?

— *Mais oui* — zapewnił Guillaume.

Giovanni westchnął. — *Bien sûr.* — Znów wyglądał przez okno i znów pogwizdywał. Podjechaliśmy do niespodziewanie pustego narożnika. Taksówka przystanęła.

— *Ici* — powiedział kierowca.

— *Ici* — zawtórował mu Giovanni.

Sięgnąłem po portfel, ale on gwałtownie przytrzymał moją rękę i gniewnym spojrzeniem dał do zrozumienia, że od tych wstrętnych staruchów można przynajmniej oczekiwać zapłacenia za taksówkę. Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Guillaume nie wykonał żadnego gestu, więc ostatecznie zapłacił Jacques.

— Fe! — wykrzyknął Guillaume z obrzydzeniem. Instruując wejście do lokalu, przed którym staliśmy. — Tu się pewno roi od robactwa. Chcesz nas otruć?

— Nie będziesz jeść fasady — odparł Giovanni. — Masz większe szanse na to, że cię otrują w cholernie szybkowych lokalach, do których zawsze chadzasz. Na zewnątrz prezentują się lepici, *mais, mon Dieu, les fesses!* — wyszczerzył zęby. — *Fais-moi confiance.* Niby po co miałbym cię otruć? Zostałbym wtedy bez pracy, a właśnie teraz uświadomiłem sobie, że pragnę żyć.

Nadal się uśmiechając wymienił z Guillaume'em spojrzenie, którego za nic nie potrafiłbym zinterpretować, nawet gdyby

się ośmielił spróbować. Jacques, zagarniając nas przed sobą jak kwoka swoje pisklęta, rzucił niecierpliwie, choć z uśmiechem:

— Nie będziemy tu przecież stać na zimnie i dyskutować. Jeśli nie można tam niczego zjeść, to przynajmniej się napijmy. Alkohol zabija wszelkie zarazki.

Guillaume rozchmurzył się nagle, jakby nosił przy sobie zastrzyk z witaminami automatycznie wstrzykujący je do żyły w godzinie depresji.

— *Il y a les jeunes dedans* — powiedział i weszliśmy do środka. Rzeczywiście, przy cynkowym kontuarze, nad kieliszkami czerwonego i białego wina stało kilku młodych ludzi w towarzystwie innych, którzy się już do młodzieży nie zaliczali. Dziesiąty chłopak z nieco podejrzanie wyglądającą dziewczyną grali pod oknem w mechaniczne kręgle. W głębi przy stolikach siedziało parę osób, które obsługiwał zaskakująco schludny kelner. Jego biała marynarka lśniła jak śnieg w przyćmionym wnętrzu na tle brudnych ścian i posypanej trocinami podłogi. Przez uchylone drzwi na zaplecze widać było kuchnię i ordynarnego, korpulentnego kucharza w wysokiej, białej czapce. Ze zgaszonym cygarem w zębach poruszał się leniwie, przypominając swoją ospałością przeladowane ciężarówki na ulicy.

Za ladą królowała jedna z owych absolutnie niezrównanych i nieposkromionych dam, jakie są wytworem tylko Paryża i tu nie należą do rzadkości, podczas gdy w innym mieście sprawałaby równie zaskakujące i dziwaczne wrażenie, jak na przykład syrena na szczycie góry. W Paryżu królują za każdym sznkwasem jak kwoka w gnieździe i siedzą przy kasie, jakby wysiadły w jajo. Nic, co rozgrywa się w pobliżu, nie umknie ich oczom, a jeśli już coś je zadziwi, to chyba tylko we śnie — śnie, jakiego dawno nie miały. Nie są z natury usposobione ani szczególnie złe, ani dobre, choć mają oczywście swoje dni i style. O każdym zaś, kto wkracza do ich królestwa, wiedzą wszystko w sposób tak samo instynktowny, jak inni zdają sobie sprawę, kiedy muszą udać się do toalety. Choć niektóre z nich mają siwe włosy, a inne nie, choć niektóre są szczupłe, a inne grube, niektóre to babki, a inne stare panny, wszystkie mają jednakowo beznamiętne, przy tym przebiegłe i wszystko widzące oczy.

Trudno sobie wyobrazić, że kiedyś z krzykiem domagały się mleka lub patrzyły w słońce — na świat przyszedł raczej z głodem banknotów i zezowały bezradnie, dopóki ich oczy nie spoczęły na kasie, co ostatecznie pozwoliło im skoncentrować wzrok.

Tutejsza ma czarne, siwizną przetykane włosy i twarz Bretonki. Giovanniego zna również dobrze jak prawie każdy przy barze i lubi go na swój sposób. Przyciska go właśnie do swych bujnych piersi i mówi tubalnym głosem:

— Ach, *mon pote!* *Tu es revenu!* Nareszcie wróciłeś! *Saludi!* Odkąd jesteś bogaty i masz bogatych przyjaciół, w ogóle już nas nie odwiedzasz! *Canaille!*

Spogląda na nas, „bogatych” przyjaciół, z życzliwością, przymiłą i wyrachowanie nieokreśloną zarazem — bez trudu trafiłaby zrekonstruować każdy szczegół naszego życia od momentu urodzenia aż po dzisiejszy poranek. Natychmiast rozpoznaje, kto jest bogaty i ile ma — dobrze więc wie, że ja do takich nie należę. Stąd zapewne błąsk niepewności nieskończone powiększonej w jej oczach, kiedy na mnie patrzy. Po chwili jednak już wie, że wkrótce i tak wszystko zrozumiem.

— Wie pani, jak to bywa — Giovanni uwalnia się z jej objęć i odrzuca do tyłu włosy — kiedy człowiek pracuje i poważnie, nie ma już czasu na zabawę.

— *Tiens* — mówi ironicznie. — *Sans blague?*

— Ależ tak — zaklina się Giovanni. — Nawet gdy jest się młodym, bywa się bardzo zmęczonym — ona się śmieje — i wcześniej idzie się do łóżka. — Ona się śmieje jeszcze głośniej. — I to samotnie — kończy Giovanni, jakby to miało wszystko wyjaśnić, lecz ona cmoka współczująco i śmieje się nadal.

— No więc? — pyta. — Idziesz, czy zostajesz? Przyszłedłeś tu na śniadanie, czy tyknąć sobie czegoś przed snem? *Nom de Dieu*, nie wyglądasz szczególnie poważnie. Zdaje się, że potrzebujesz drinka.

— *Bien sûr* — woła ktoś od strony baru. — Po tak ciężkiej pracy potrzebuje butelki białego wina, a do tego paru tuzinów ostrzyg!

Wszyscy wybuchają śmiechem. Wszyscy obserwują nas ukrad-

kiem, a ja czuję się jak ktoś z wędrownego trupy cyrkowej. Wszyscy też chyba są dumni z Giovanniego.

— Wspaniały pomysł, przyjacielu — odpowiada Giovanni głosowi od baru. — Dokładnie to miałem na myśli. — Odwraca się ponownie do nas. — Pani nie zna jeszcze moich przyjaciół — mówi i patrzy najpierw na mnie, a potem na kobiecie. — To jest pan Guillaume... — przedstawia i dodaje z lekkim pochlebstwem: — mój szef. On może pani powiedzieć, czy naprawdę jestem poważny.

— Ale ja nie wiem, czy on jest dość poważny — odważyła się powiedzieć i śmiechem zatuszowała swą zuchwałość.

Niechętnie odrzuwając wzrok od młodzieńców przy barze, Guillaume uśmiecha się i wyciąga rękę na powitanie.

— Ma pani całkowitą rację, *madame*, on jest o wiele poważniejszy ode mnie i obawiam się, że pewnego dnia mój lokal będzie należał do niego.

Jak tylko lwy nauczą się fruwać — myśli ona, ale zapewnia głośno, że się cieszy, i potrząsa energicznie jego dłońią.

— To *monsieur* Jacques, jeden z naszych najlepszych klientów...

— *Enchanté, madame*. — Jacques kłania się z promiennym uśmiechem, który ona w odpowiedzi nieudolnie parodiuje.

— A to *monsieur l'Américain* — ciągnie Giovanni — znany też jako pan Dawid. Madame Clothilde...

Cofa się nieco. W jego oczach błyszczący coś, co rozjaśnia mu twarz — radość i duma.

— *Je suis ravie, monsieur* — Madame spogląda na mnie, podaje mi dłoń i uśmiecha się.

Uśmiecham się i ja, chociaż nie wiem właściwie z jakiego powodu. Wszystko się we mnie kotłuje. Giovanni obejmuje moje ramie.

— Macie dziś coś dobrego do zjedzenia? — pyta. — Jesteśmy głodni.

— Najpierw musimy się czegoś napić — woła Jacques.

— W porządku, ale możemy przecież wypić coś siedząc — stwierdza Giovanni.

— Nie — mówi Guillaume, dla którego odejście od baru

oznaczatoby w tym momencie coś w rodzaju wygnania z ziemi obiecanej. — Najimy się najpierw czegoś tu, przy barze, razem z Madame.

Propozycja Guillaume'a odniosła taki efekt, jakby wichur przeleciał ponad wszystkim lub też niepostrzeżenie rozbiło się mocniej światło; ludzie przy kontuarze przeistoczyli się jakby w trupę aktorów, którzy mają do odegrania różne role w dobrze sobie znanym przedstawieniu. Madame Clothilde będzie się wzbraniała, co też rzeczywiście robi, aby po krótkim wahaniu przyjąć zaproszenie, pociągając z kieliszka łyżeczek, naturalnie czegoś droższego, w tym przypadku szampana, oraz prowadzić całkiem niezobowiązującą konwersację, co pozwoliłoby jej na tychmiast się ulotnić, gdyby Guillaume zawarł znajomość z którymś z chłopców przy barze. Co zaś tyczy młodzieńców, to właśnie przygładzali dyskretnie piórka, każdy z nich już zdążył obliczyć, ile pieniędzy będzie potrzebował ze swoim kumplem w ciągu kilku następnych dni, każdy już skrupulatnie oszacował Guillaume'a jako fundatora, skalkulował, jak długo owo źródło pieniędzy może bić oraz jak długo da się z nim wytrzymać. Jedyną kwestią, która pozostawała chwilowo otwarta, było pytanie, czy powinni z nim postępować *vache*, czy *chic*, ale byli prawie pewni, że zachowają się *vache*. Poza tym był jeszcze Jacques, co do którego nie wiedzieli, czy okaże się dodatkową premią, czy może tylko nagrodą pocieszenia. Pozostawałem wrzeszcze ja, lecz to była już całkiem inna historia; po mnie nie mogli się spodziewać ani apartamentu, ani miękkich łóżek czy wyszukanych potraw, stanowiącym raczej obiektem wznioślejszych uczuć, jednak jako *môme* Giovanniego znajdowałem się praktycznie poza ich zasięgiem. Sympatia, jaką dla niego i dla mnie żywili, mogła się praktycznie ujaźnić poprzez uwolnienie nas od obu starszych panów. Tym samym role, które mieli odegrać, nabrały jakby radosnej aury pewności, a ich egoistyczne zainteresowanie — bardziej altruistycznego odcienienia.

Zamówiłem czarną kawę i duży koniak. Giovanni znajdował się z dala ode mnie, popijał *marc*, stojąc pomiędzy starcem, który był chyba skupiskiem wszelkich chorób i brudu całego świata, a rudym chłopakiem, mającym szanse na to, aby które-

goś dnia tak samo wyglądać, jeśli można było wyczytać w jego otępiłym oku coś tak realnego jak przyszłość. Obecnie miał w sobie coś z zuchwałej urody konia, a coś z kawalerzysty. Obserwował ukradkiem Guillaume'a i wiedział, że Guillaume i Jacques też mu się przypatrują. Tymczasem ten pierwszy gawędził z Madame Clothilde. Oboje wyrazili zgodny pogląd, że interesy idą kiepsko, że nowobogacy obniżają ich poziom i że kraj potrzebuje takiego człowieka jak de Gaulle. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności prowadzili podobne rozmowy na tyle często, że słowa same płynęły im z ust i żadna specjalna koncentracja nie była potrzebna. Jacques wkrótce zaprosi któregoś z chłopców na drinka, ale na razie postanowił grać rolę mojego wujaszka.

— No, jak się czujesz? — spytał. — Ten dzień jest bardzo ważny w twoim życiu.

— Fajnie. A ty jak?

— Jak ktoś, kto właśnie miał wizję.

— Ooo! — zdziwiłem się. — Opowiedz mi o niej.

— Nic żartuję — zachnął się. — Mam na myśli ciebie. Ty byłeś tą wizją. Powinieneś zobaczyć siebie wieczorem w barze i teraz.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

— Ile masz lat? Dwadzieścia sześć czy dwadzieścia siedem? Ja mam prawie dwa razy tyle i mogę ci tylko powiedzieć, że miałeś szczęście. Szczęście, że ta historia przydarzyła ci się teraz, a nie dopiero wtedy, gdy będziesz mieć czterdziestkę czy coś w tym rodzaju. Wtedy to byłoby beznadziejne i po prostu by cię zniszczyło.

— Co takiego mi się przydarzyło? — Starąłem się mówić sarkastycznie, ale wcale to tak nie zabrzmiało.

Nie odpowiedział, tylko westchnął i spojrzął na rudzielca. Po czym zwrócił się ponownie do mnie:

— Masz zamiar napisać do Hellij?

— Często do niej pisuję — odparłem — i prawdopodobnie nadal będę to robił.

— To jeszcze nie odpowiedź na moje pytanie.

— Ach, wydawało mi się, że chciałeś wiedzieć, czy mam zamiar napisać do Helli.

— No, fajnie, więc z innej beczki: napiszesz do Helli o dzisiejszej nocy i poranku?

— Nie mam pojęcia, co tu jest do opisywania. A w ogóle co to cię obchodzi?

W jego spojrzeniu odkryłem desperację, jakiej nigdy bym się po nim nie spodziewał. Poczulem się nieswojo.

— Nie w tym rzecz, jakie to ma dla mnie znaczenie — rzekł. — Rzecz w tym, jakie znaczenie to ma dla ciebie. I dla niej. I dla tamtego biednego chłopca, który jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że patrząc tak na ciebie wsadza głowę w paszczę lwa. Zamierzasz ich oboje traktować tak samo jak mnie?

— Jak ciebie? A co ty masz z tym wspólnego? Jak ja cię traktuję?

— Postąpiłeś ze mną bardzo nieuczciwie — powiedział. — Postąpiłeś bardzo niehonorowo.

Tym razem udało mi się nadać głosowi sardoniczny ton.

— Innymi słowy uważasz, że postąpiłbym honorowo, postąpiłbym uczciwie, gdybym... gdybym...

— Uważam, że postąpiłbyś bardziej uczciwie, gdybyś mną mniej gardził.

— Przykro mi, ale myślę, skoro sam zacząłeś o tym mówić, że w twoim życiu wiele rzeczy zasługuje na pogardę.

— To samo mógłbym powiedzieć o twoim — odparł. — Tyle rzeczy wzbudza pogardę, że aż się w głowie kręci. Najbardziej się jednak na nią zasługuje, gdy pogardza się cudzym cierpieniem. Czy nie przyszło ci na myśl, że człowiek, którego masz przed sobą, też był kiedyś młody, młodszy nawet niż ty obecnie, i że powoli, całkiem niezauważalnie stoczył się do obecnego położenia godnego stanu?

Na chwilę zapadło milczenie, zagrożone dochodzącym z oddali tym szczególnym śmiechem Giovanniego.

— Czy ty naprawdę nie potrafisz zachowywać się inaczej? — spytałem wreszcie. — Czy wiesz, musisz padać na kolana przed wszystkimi chłopakami i błagać o pięć brudnych minut w ciemnościach?

— Pomyśl lepiej o mężczyznach, którzy klęczeli przed tobą, podczas gdy ty myślałeś o czymś zupełnie innym i udawałeś, że nic się nie dzieje tam w dole, pomiędzy twoimi nogami — rzekł Jacques.

Wpatrywałem się w bursztynowy koniak i mokre obwódki na blacie. W głębi metalu odkryłem zarys własnej twarzy i oczy spoglądające na mnie z niepokojem.

— Myślisz — ciągnął — że moje życie godne jest potępienia, bo godne potępienia są moje kontakty. Zgadza się, są. Powinieneś jednak zapytać sam siebie, dla czego?

— No więc, dlaczego godne są potępienia? — spytałem.

— Dlatego że brakuje w nich uczucia i radości. To tak jakby wetknąć wtyczkę do elektrycznego gniazodka, w którym nie ma prądu. Jest styk, ale brak kontaktu. Jedynie styk, bez kontaktu i światła.

— Dlaczego?

— O to musisz spytać samego siebie — odparł Jacques — i mo- że któregoś dnia ten poranek nie będzie miał dla ciebie smaku popiołu w ustach.

Zerknąłem na Giovanniego, który obejmował właśnie ramieniem dziewczynę o wątpliwej aparycji; kiedyś była zapewne bardzo ładna, teraz jednak już nigdy taka nie będzie. Jacques podążył za moim wzrokiem.

— Już cię bardzo polubił, ale widzę, że ciebie to nie wprawia w dumę i szczęście, choć powinno. Raczej przestrasza i zawstydzają. Dlaczego?

— Ja go nie rozumiem — rzekłem po namyśle. — Nie wiem, co oznacza jego przyjaźń. Nie wiem, co on rozumie pod pojęciem przyjaźni.

— Nie wiesz — roześmiał się Jacques — co on rozumie pod pojęciem przyjaźni, choć czujesz, że może być niebezpieczna? Boisz się, że mogłaby cię zmienić. Jakie rodzą przyjaźni miętęś dotychczas?

Nie odpowiedziałem.

— Albo mówiąc ściślej — kontynuował — jakiego rodzaju miłości?

Milczałem tak długo, że wreszcie rzucił zaczepnie:

— No, dalej, wylaż ze skorupy!

Zmrozilo mnie, a mimo to się uśmiechnąłem.

— Kochaj go — powiedział Jacques z pasją — Kochaj go i pozwól mu się kochać. Czy może być coś ważniejszego pod słońcem? Jak długo może to w najlepszym razie trwać? Przecież obaj jesteście mężczyznanami i macie dokąd pójść? Tylko pięć minut, zapewniam cię, nie więcej, i to na ogół, *hélas*, po ciemku. Jeśli jesteś zdania, że te minuty są brudne, to istotnie będą brudne, ponieważ nic z siebie nie dasz, ponieważ zlekceważysz ciasto swoje i jego. Możecie jednak wasze życie uchronić przed brudem, możecie sobie nawzajem ofiarować coś, co was uczyni lepszymi, na zawsze, pod warunkiem, że nie będziecie się wstydzić i kierować względami bezpieczeństwa.

Przerwał, spoglądając na mnie, a potem na swój koniak.

— Bezpiecznie postępujesz już dostatecznie długo — dodał zmienionym głosem — i stariesz się więźniem własnego brudnego ciała na zawsze, na zawsze, jak ja. — Dopił koniak i stuknął lekko kieliszkiem o kontuar, aby zwrócić uwagę Madame Clothilde.

Pojawiła się natychmiast promieniejąc, co Guillaume wykorzystał, aby postać uśmiech ruddzielcowi. Madame nalata Jacquesowi nową porcję koniaku, po czym przybliżyła butelkę do mojego na wpół opróżnionego kieliszka i spojrzęła pytająco. Pokręciłem głową.

— *Et pourquoi pas?* — spytała z uśmiechem. Wypiłem więc, a ona napełniła kieliszek ponownie. Przez moment patrzyła na Guillaume'a, który akurat zawołał:

— *Et le rouquin là! A rudy co piję?*

Z miną aktorki, która wypowiada ostatnią kwestię swojej trudnej i wyczerpującej roli, odwróciła się i rzekła z godnością:

— *On t'offre, Pierre. Co sobie życzysz?*

Trzymała w górze butelkę najdroższego koniaku, jaki się znajdował w restauracji.

— *Je prendrai un petit cognac* — bąknął ruddzielniec Pierre po chwili i zarumienił się, o dziwo, co w nikłym świetle wscho-
dzącego słońca upodobiło go do świeżo upadłego anioła.

Madame Clothilde napełniła kieliszek Pierre'a i w sytuacji

mle zlagodzonego napięcia — jak podczas powolnego wygaszania reflektorów na scenie — odstawiła butelkę na półkę. Następnie powróciła na swoje miejsce przy kasie, jakby wycofując się ze sceny za kulisy, gdzie zaczęła pokręcać się resztką szampa. Westchnęła, pociągnęła łyczek i z zadowoleniem obserwowwała przez okno nadciągający powoli poranek. Bąknęła: — *Je m'excuse un instant, madame* — Guillaume przesunął się za naszymi plecami w stronę ruddzielca.

— O takich sprawach tatuś nigdy mi nie wspominał — powiedziałem, uśmiechając się.

— Twój ojciec czy mój — odparł Jacques — ktoś powinien był nas poinformować, że tylko nieliczni umierają z nadmiaru miłości. Za to z jej braku ginie wielu, co godzinę, w najdziwniejszych miejscach! O, idzie tu twoje kochanie — dodał po chwili.

— *Sois sage. Sois chic.*

Usunął się trochę na bok i zagadnął najbliższej stojącego chłopaka. Moje kochanie rzeczywiście zmierzęło ku mnie w blasku słońca, z falującymi włosami, zaróżowionymi policzkami i oczami jak dwie poranne gwiazdy.

— To nieładnie z mojej strony, że tak długo zostawiłem cię samego — oznajmił. — Mam nadzieję, że się zbytnio nie nudziłeś.

— W każdym razie ty nie nudziłeś się na pewno — odciąłem się. — Wyglądasz jak pięcioletni brzdąc budzący się w wigilijny poranek.

Wydał zabawnie wargi, zorientowałem się więc, że jest zachwycony, nawet mile polecthany.

— Nie mogę tak wyglądać. Boże Narodzenie zawsze przynosiło mi rozczarowania.

— Miałem na myśli bardzo wczesny poranek, jeszcze zanim człowiek zobaczy, co leży pod choinką.

Jego oczy nadaty mojej uwadze podwójny sens, *double entendre*, więc obaj wybuchnęliśmy śmiechem.

— Jesteś głodny? — spytał.

— Pewno byłbym, gdybym o tym pomyślał i był przy tym trzeźwy. Nie wiem. A ty?

— Powinniśmy coś przekąsić — odrzekł, ale nie zabrzmiało to przekonująco, więc roześmialiśmy się ponownie.

— Hm, co zjemy?

— Prawie nie mam odwagi zaproponować, ale ostrzygi z białym winem byłby po takiej nocy naprawdę najlepsze.

— Dobrze, ruszajmy więc, póki mamy jeszcze dosyć sił, żeby przenieść się do stoika.

Obejrzałem się na Guillaume'a i rudzielca. Znaleźli widocznie interesujący temat do rozmowy, ale nie miałem pojęcia, jaki. Jacques dyskutował zawzięcie z wysokim, dziobatym chłopcem, którego czarny golf czynił jeszcze bardziej bladym i szczerplejszym niż w rzeczywistości. Rozpoznałem w nim tego, który, kiedy przyszedłszy, grał w mechaniczne kręgle. Okazało się, że ma na imię Yves.

— A może oni teraz też coś zjedzą? — spytałem Giovanniego.

— Teraz chyba nie — odpowiedział. — Później na pewno. Wszyscy są bardzo głodni. — Przypuszczenie to odniosłem raczej do obu chłopców aniżeli do naszych znajomych. Przeszliśmy do sali restauracyjnej, która teraz świeciła pustką. Kelner ulotnił się także.

— Madame Clothidel! — wykrzyknął Giovanni. — *On mange ici, non?*

Jego wołanie spowodowało równie głośną odpowiedź Madame i pojawienie się kelnera, którego biała marynarka z bliska nie wyglądała już tak nieskazitelnie. Guillaume i Jacques zostali tym samym oficjalnie poinformowani o naszej obecności w jadalni, a fakt ten w oczach towarzyszących im chłopców pogłębił niewątpliwie pewną tygrysią intensywność pożądania.

— Zjemy szybko i splotamy — powiedział Giovanni. — Wieczorem przecież znów muszę pracować.

— Czy tu poznałeś Guillaume'a? — dopytywałem się. Skrzywił się i spuścił wzrok.

— Nie. To długa historia. — Uśmiechnął się. — Nie, nie poznalem go tu. Wyobraź sobie, że spotkałem go — roześmiał się — w kinie. *C'était un film du far west avec Gary Cooper.* — Obaj uznaliśmy to za niezwykle komiczne i śmiało się do rozpunku, dopóki nie pojawił się kelner z butelką białego wina.

Giovanni je skosztował. — Tak, tak to było — oznajmił z zadowolonymi od śmiechu oczami. — Kiedy przebrzmiał ostatni wystrzał i rozległa się muzyka, wystawiająca zwycięstwo dobra, wstałem do wyjścia i po drodze wpadłem na jakiegoś faceta Guillaume'a. Przeprosiłem i poszedłem dalej, ale on zacerpił mnie w westybulu i zaczął truć, że na moim miejscu musiał chyba zostawić szalik. Siedział za mną, a płaszcz i szalik położył na fotelu przed sobą, rozumiesz, i ja siadając ściągnąłem w dół ten szalik. Oczywiście powiedziałem mu, żeby się z tym zwrócił do biletera i co może zrobić ze swoim szalikiem, choć prawdę mówiąc nie byłem na niego zły, a tylko raczej rozbawiony. On na to, że wszyscy bileterzy to złodzieje i nawet gdyby któryś znalazł szalik, to z pewnością by go nie oddał. A ten był szczególnie cenny, prezent od matki; naprawdę, wierz mi, nawet Greta Garbo nie potrafiłaby lepiej tego zagrać. Wróciłem więc na widownię, ale oczywiście nie znalazłem tam żadnego szalika. Kiedy mu to zakomunikowałem, wyglądał tak, jakby miał paść trupem na miejscu. Wszyscy ludzie zdążyli już sobie pomyśleć, że jesteśmy razem, rozumiesz, ja zaś nie wiedziałem, komu dać kopniaka, jemu czy tym, którzy się na nas gapili. On był, rzecz jasna, bardzo elegancko ubrany, ja nie, więc pomyślałem sobie, że przede wszystkim trzeba zwiędzić w westybulu. Poszliśmy do kawiarni, usiedliśmy na tarasie i pod koniec opowieści o szaliku i o tym, co matka na to powie i tak dalej, zaprosił mnie na kolację. Odmówiłem mu naturalnie, bo miałem go już po dziurki w nosie, chciałem jednak zapobiec nowej scenie, tym razem w kawiarni, więc obiecałem, że może za parę dni. Wcale nie miałem takiego zamiaru — Giovanni zakończył z nieśmiałym uśmiechem — ale przyszedł ten dzień, a ja nie miałem nic w ustach od dłuższego czasu i byłem potwornie głodny.

Spojrzał na mnie i ponownie ujrzałem w jego twarzy coś, co od kilku godzin raczej przelotnie widywałem. Pod urodą i tupeciem krył się strach i żarliwe pragnienie podobania się. Było to niezwykle wzruszające i miałem wielką ochotę wyciągnąć rękę, aby go pocieszyć.

Przyniesiono ostrzygi i zabraliśmy się do jedzenia. Giovanni siedział w promieniach słońca. Słońce padając na jego czarne

włosy zwielokrotniało żółty blask wina i przygaszoną różnobarwność ostryg.

— Kolacja oczywiście była okropna — ciągnął z markotną miną — bo Guillaume nawet w domu nie potrafił się powstrzymać od scen. Ale wtedy już dowiedziałem się, że jest właścicielem baru i obywatелеm francuskim. Jak wiesz, ja nim nie jestem i wtedy nie miałem *carte de travail*, pozwolenia na pracę, a w związku z tym żadnej roboty. Pomyślałem więc sobie, że taka znajomość może być pożyteczna, o ile uda mi się utrzymać go na dystans. Wyznam szczerze — znów to spojrzenie — że niespecjalnie mi się udało. On ma więcej rąk niż ośmiornica macek, a na dodatek żadnej godności, za to — Giovanni poknął kolejną ostrygę, napełnił na nowo nasze kieliszki — teraz mam *carte de travail* i pracę — uśmiechnął się — nawet bardzo dobrą pracę, bo dzięki mnie interes kwitnie. Dlatego też daje mi najczęściej spokój. — Spojrzał w stronę baru. — Wiesz, on w ogóle nie jest mężczyzną — powiedział ze smutkiem i zakłopotaniem, dzięcym i odwiecznym zarazem. — Nie mam pojęcia, kim on właściwie jest. Jest wstrętny. Ale *carte de travail* zachowam. Czy uda mi się utrzymać pracę, nie jestem pewien. W końcu — odpukał — już prawie trzy tygodnie minęły bez kłótni.

— Spodziewasz się jej? — spytałem.

— No jasne! — Giovanni rzucił mi krótkie, pełne niepokoju spojrzenie, jakby zwątpił, czy zrozumiałem choćby jedno słowo z tego, co mi powiedział. — Z pewnością wkrótce znów się posprzeczamy. Nie od razu, bo to nie w jego stylu, wykombinuje jednak w końcu coś, żeby się na mnie rozżościć.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu nad muszlami po ostrygach, pałac papierosy i dopijając wino. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Patrzyłem na wąską, dziwnie krętą uliczkę, skapaną teraz w słonecznym blasku i pełną ludzi — ludzi, których nigdy nie zrozumiem. Zapragnąłem nagle znaleźć się w domu, nie w hotelu przy jakiejś paryskiej ulicy, gdzie konsjerżka zastąpi mi drogę z nie opłaconym rachunkiem, ale w domu, w domu za oceanem, zatęskniłem do osób i rzeczy, które znaniem i rozumiałem, do tych wszystkich rzeczy, miejsc i osób, które zawsze pomimo tyłu gorczy będą kochać ponad wszystko. Ni-

gdy dotąd nie odczuwałem czegoś podobnego, więc aż się przestraszyłem. Ujrzałem siebie jasno i wyraźnie: włóczęga, nigdzie nie zakotwiczony awanturnik, który obja się po całym świecie. Spojrzałem na Giovanniego, co mi w niczym nie pomogło. Należał on bowiem do obcego miasta, które nie było moim. Zacząłem to pojmować, podczas gdy to, co się wydarzyło, nie było znów tak dziwne, jakbym chciał sobie na pocieszenie wmówić, a przecież niewiarygodnie dziwne. Nie, to wcale nie było takie dziwne, takie bezprzykładne, choć jakieś wewnętrzne głosy napominały mnie: Wstydi! Wstydi! Tak nagle, w tak obrzydliwy sposób zaplątać się z jakimś chłopcem. Dziwne było tylko jedno: że był to zaledwie jeden drobny aspekt niesamowitego ludzkiego uwikłania, jakie występuje wszędzie, bez końca, po wsze czasy.

— *Viens!* — rzekł Giovanni.

Wstaliśmy i udaliśmy się z powrotem do baru, gdzie on zapłacił rachunek. Tam zaś odkorkowano jeszcze jedną butelkę szampana, a Jacques z Guillaume'em mieli już mocno w czubie. Zapowiadało się upiornie i już się zacząłem niepokoić, czy ci biedni chłopcy kiedykolwiek dostaną coś do jedzenia. Giovanni ustalił przedko z Guillaume'em godzinę otwarcia baru. Jacques zbyt był zajęty szczerpym chłopcem, aby znaleźć dla mnie dużo czasu. Pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

— Muszę już wracać — oznajmiłem Giovanniemu, gdy znaleźliśmy się na ulicy — muszę zapłacić rachunek w hotelu. Giovanni patrzył na mnie zaskoczony.

— *Mais tu es fou* — odparł tagodnie. — Nie ma sensu wracać teraz do hotelu, żeby spotkać ohydłą konsjerżkę, zasnąć samotnie, obudzić się potem z okropnym kacem i samobójczyimi myślami. Chodź do mnie! Wstaniemy o przyzwolitej porze, wypijemy gdzieś aperitif, a potem zjemy w miłym nastroju kolację. W ten sposób będzie weselej — rzekł z uśmiechem. — Zobaczysz!

— Muszę zabrać swoje ubrania — broniłem się.

Ujął mnie pod rękę.

— *Bien sûr*, ale nie musisz akurat teraz. — A kiedy się za-

trzymałem, przystanął. — No, chodźże, ja jestem z pewnością ładniejszy niż tapeta w twoim hotelu czy twoja dozorczyńni. Gdy się obudzisz, ja się do ciebie uśmiechnę, tymczasem ani tapeta, ani ona nie.

— Ach, *tu es vache*. — To wszystko, co potrafiłem wykrztusić.

— Nie, to ty jesteś *vache* — rzekł — bo chcesz zostawić mnie samego w tej pustej okolicy wiedząc, że jestem zbyt pijany, aby o własnych siłach dotrzeć do domu.

Śmieliśmy się i przekomarzali wesoło, aż dotarliśmy do bulwaru Sewastopol.

— Dajmy już spokój temu smutnemu tematowi. Ani słowa więcej o tym, że chciałeś zostawić Giovanniego na pastwę losu w tak niebezpiecznej porze w samym środku wrogiego miasta — zawołał, a ja uzmysłowiłem sobie, że musiał być tak samo podenerwowany jak ja. W oddali bulwarem w naszą stronę jechała taksówka i Giovanni podniósł rękę.

— Pokażę ci swój pokój. Przecież to jasne, że kiedyś musisz go i tak zobaczyć.

Taksówka zatrzymała się obok nas. Giovanni puścił mnie pierwszego do środka, jakby w obawie, że mógłbym odwrócić się i uciec. Usiadł obok mnie i rzucił w stronę kierowcy: — Nation.

Ulica, przy której mieszkał, była szeroka, szacowna raczej niż elegancka, i solidna ze swoimi stosunkowo nowymi kamienicami. U jej wylotu znajdował się mały park. Pokój Giovanniego był z tyłu, na parterze ostatniej kamienicy. Przemierzyliśmy klatkę schodową z windą i podążyliśmy wąskim, ciemnym korytarzem, który do niego prowadził. W niewielkim pomieszczeniu panował ogólny nieporządek i czuło się smród masyżynki spirytusowej. Giovanni zamknął drzwi. Jakis czas wpatrywałem się w siebie w mroku, w trwodze, z ulgą, oddychając z trudem. Drżałem. Jeśli nie otworzę natychmiast drzwi i nie wyjdę, pomyślałem, to jestem zgubiony. Wiedziałem jednak, że drzwi nie otworzę, wiedziałem, że jest za późno i niedługo będzie za późno na wszystko, prócz jęku. Przyciągnął mnie do siebie i wtulił się w moje ramiona, jakby chcąc, żebym go niósł,

i wolno pociągnął mnie za sobą na łóżko. Wszystko we mnie krzyczało: — Nie — ale moje prawdziwe „ja” westchnęło: — Tak.

Tu, w południowej Francji, najczęściej pada śnieg, ale właśnie teraz od pół godziny proszą białe płatki, na początku łagodnie, a teraz coraz silniej. Wygląda to tak, jakby miała się z tego zrobić zamieć śnieżna. Tegoroczna zima jest tu chłodna, choć okoliczni mieszkańcy uznają za nietakt, gdy jakiś cudzoziemiec odważy się poruszyć ten temat. Oni sami promiennieją z radości jak dzieciaki na plaży, mimo że twarze pieką ich od wiatru, który wieje jakby z różnych stron jednocześnie i wszyscy na wskroś przenika. *Il fait beau, bien?* — mówią i spoglądają na zachmurzone niebo, na którym od wielu dni nie pokazują się słynne słońce Południa.

Odwracam się od okna w dużym pokoju i spaceruję po domu. W kuchni spoglądam w lustro. Zdecydowałem się ogolić, zanim wystygnie woda, ale ustyszałem pukanie do drzwi. Na sekundę budzi się we mnie niejasna, dzika nadzieja, uzmysławiam sobie jednak, że może to być jedynie gospodyni z naprzeciwnika, zaglądnąca tu po to, żeby się upewnić, czy nie ukradłem srebrnych sztućców, nie pochtukłem talerzy albo czy nie porząbałem mebli na opał. Tak, to ona kołacze do drzwi i słyszę jej łamiący się głos:

— *M'sieu! M'sieu! M'sieu l'Américain!*

Ciekawe, co ją tak do diabła może martwić.

Uśmiecha się natychmiast, kiedy otwieram drzwi, na wpół macierzyńsko, na wpół kokieteryjnie. Jest już całkiem stara i właściwie to nie Francuzka, pochodzi z Włoch, znad samej granicy. Przyjechała tu przed wieloma laty, „gdy byłam jeszcze bardzo młodą dziewczyną, proszę pana”. Podobnie jak większość kobiet w okolicy ubiera się na czarno. Tutejsze matki wkładają chyba żałobę, gdy tylko ostatnia pociecha wyrośnie z okresu dziecięcego. Hella brała je początkowo za wdowy, ale później okazało się, że prawie wszyscy ich mężowie żyją i wyglądają raczej na ich synów. Czasami grali w belotę w słońcu na równym po-

tu w pobliżu naszego domu i obserwowałem, jak na widok Helli ojcowska дума i czujność mieszały się w ich oczach z czujną samczą oceną. Nieraz grałem z nimi w bilard i piłem czerwone wino w gospodzie. Działał mi jednak na nerwy swoimi sprośnymi dowcipami, dobroduszością i koleżeńskością. Na rękach, twarzach i w oczach wypisane mieli całe życie. Traktowali mnie jak syna, który niedawno dopiero stał się mężczyzną, zachowując przy tym spory dystans, gdyż w gruncie rzeczy nie należałem do ich środowiska. Wyczuwali też coś innego we mnie (albo tak mi się zdawało), coś już nie zastępującego z ich strony na dociekanie. To coś czaiło się w ich spojrzeniach, gdy spacerowałem z Hellą, a oni pozdrawiali nas z szacunkiem: — „*Salut, Monsieur—dame*” — Równie dobrze mogli być synami tych kobiet w czerni powracającymi do domu po burzliwym, przeznaczonym na zdobywanie święta życia, do domu, by odpocząć, zostać zbesztanymi i czekać na śmierć, do domu, do wyschniętych teraz piersi, które karmiły ich w dzieciństwie.

Platki śniegu pobieżyły chustę na głowie gospodyni, zawisły na jej rzesach i czarno-siwych kosmykach wystających spod chusty. Jest jeszcze bardzo silna, choć trochę przygarbiona i teraz nieco zadyszana.

— *Bonsoir, monsieur. Vous n'êtes pas malade?*

— Nie, nie jestem chory — odpowiedziałem. — Proszę wejść. Weszła, zamknęła za sobą drzwi i zsunęła chustę na ramiona. W rękę trzymałem nadal kieliszek i ona milcząco przyjęła to do wiadomości.

— *Eh bien* — mówi. — *Tant mieux*. Nie widzieliśmy pana od kilku dni. Siedzi pan stale w domu?

Jej oczy badają moją twarz. Jestem wściekły i zakłopotany, nie mogę jednak uporać się z tą przenikliwością, a zarazem łagodnością w jej oczach i głosie.

— Tak — odpowiadam. — Pogoda była kiepska.

— Tak, na pewno, to już nie środek sierpnia. Ale nie trzeba się uważać za chorego. To niedobrze tak siedzieć samemu w domu.

— Wyjeżdżam jutro rano — odpartem w desperacji. — Czy chce pani sprawdzić wyposażenie?

— Dobrze. — Wyciąga z kieszeni spódnicy spis przedmiotów, który musiałem podpisać wprowadzając się. — To długo nie potrwa. Najlepiej zacząć od końca.

Przechodząc do kuchni, odstawiam kieliszek na nocną szafkę w sypialni.

— Mnie nie przeszkadza, że pan pije — powiada, nie oglądając się za siebie, ja mimo to pozostawiam alkohol.

Wchodzimy do kuchni, która jest podejrzanie czysta i porządna.

— Gdzie pan jadł? — pyta ostro. — Ludzie z gospody mówią, że nie pokazał się pan tam od wielu dni. Był pan może w mieście?

— Tak, parę razy — odpowiadam słabo.

— Piechotę? Kierowca autobusu też pana nie widział.

Nie patrzy na mnie, krząta się po kuchni i o gryzkiem żółtego ołówka robi ptaszki na liście.

Bez słowa muszę znieść jej docinki, gdyż zapomniałem, że w tak małej wiosce prawie każdy krok staje się od razu publiczną tajemnicą.

Zagląda do łazienki.

— Posprzątam tam jeszcze dzisiaj — zapewniam.

— Mam nadzieję — odpowiada. — Jak się pan wprowadzał, wszystko było czyste.

Wracamy ponownie przez kuchnię. Nie dostrzegła, że brakuje dwóch kieliszków, które stłukłem, i nie miałem sił jej tego powiedzieć. Zostawię trochę pieniędzy na kredensie. Zapala światło w pokoju gościnnym. Wszędzie wala się brudna garteroba.

— Zabiorę to ze sobą. — Próbuję się uśmiechnąć.

— Wystarczyło, żeby się pan tylko połatygował przez ulicę. Chętnie dałabym panu coś do zjedzenia. Trochę zupy, coś pożywczego. Gotuję codziennie dla męża, więc jeszcze jedna osoba nie zrobiłaby mi żadnej różnicy.

Wzrusza mnie to, ale nie wiem, jak okazać swoją wdzięczność. Nie mogę też jej naturalnie powiedzieć, że byłoby ponad moje siły jadać razem z nią i jej mężem.

Ogląda poduszkę zdobijącą kanapę.

— Jedzie pan do narzeczonej? — dopytuje się.

Wiem, że powinienem teraz skłamać, lecz jakoś nie mogę. Jej oczy napawają mnie lękiem. Ach, gdybym miał przy sobie kieliszki!

— Nie — odpowiadam obojętnym głosem. — Ona wyjechała do Ameryki.

— *Tensi!* A pan? Zostaje pan we Francji? — Patrzy mi prosto w oczy.

— Na jakiś czas. — Zaczynam się pocić. Wpadło mi nagle do głowy, że ta kobieta, prosta chłopka z Włoch, pod wieloma względami musi chyba przypominać matkę Giovanniego. Usiłuję nie słyszeć krzyku jej rozpaczy, próbuję nie widzieć w jej oczach tego, co z pewnością można by dostrzec, gdyby wiedziała, że jej syn jutro rano zakończy życie, gdyby wiedziała, co uczyniłem temu synowi.

Lecz ona nie jest przecież matką Giovanniego.

— To niedobrze — zauważa. — Młody mężczyzna, jak pan, nie powinien siedzieć sam bez kobiety w wielkim domu.

Robi bardzo smutną minę, chce jeszcze coś dodać, ale się rozmyśla. Wiem, że chciałaby zrobić uwagę na temat Helli, która nie była lubiana ani przez nią, ani przez inne kobiety z wioski. Bez słowa gasi jednak światło w gościnnym pokoju i przechodzi do matęskiej sypialni, z której korzystaniem wspólnie z Hellą (to nie ta, gdzie zostawiłem kieliszek). Tutaj jest też czysto i porządnie. Kobieta lustruje pomieszczenie, patrzy na mnie i uśmiecha się.

— Dawno pan tu nie spał — mówi. Czuję, że się czerwienię; ona się śmieje: — Będzie pan jeszcze szczęśliwy. Musi pan sobie tylko poszukać nowej kobiety, dobrej kobiety, ożenić się i mieć dzieci. Tak, tak, to pan powinien zrobić. — Mówi to takim tonem, jakbym próbował zaprzeczać, i zanim zdążyłem coś powiedzieć, pyta: — Gdzie pańska *maman*?

— Nie żyje.

— Ochl! — cmoka współczująco. — To smutne! A tatuś? Też nie żyje?

— Nie, żyje, mieszka w Ameryce.

— *Pauvre bambino!* — Patrzy mi w oczy. Stoję przed nią bez-

bronny i myślę, że jeśli wkrótce sobie nie pójdzie, to wybuchną płaczem albo ją zwymyśląm. — Nie ma pan chyba zamiaru włożyć się po całym świecie, jak marynarz. Pańska matka na pewno by się tym martwiła. Założy pan przecież kiedyś dom.

— Tak. Oczywiście. Kiedyś.

Kładzie mi silną dłoń na ręce.

— Nawet jeśli pańska *maman* nie żyje, a to jest takie smutne, to tatuś też będzie szczęśliwy widząc wnuki. — Milknie. Spojrzenie jej czarnych oczu tagodnieje, patrzę na mnie, ale i poza mnie. — My mieliśmy trzech synów. Dwóch zginęło na wojnie. W czasie wojny straciliśmy też cały dobytek. To smutne, prawda? Kiedy się całe życie pracuje na spokojną starość, a później wszystko traci. Mojego męża tak to zatałamało, że od tej pory to nie ten sam człowiek. — Zauważam w jej oczach nie tylko przekliność, lecz także gorzyc i wielki smutek. Wzrusza ramionami. — Ach, co to pomoże! Lepiej już o tym nie myśleć! — Uśmiecha się teraz. — Nasz najmłodszy syn żyje. Mieszka na północy. Odwiedził nas dwa lata temu i przywiózł wnuczka. Maty miał wtedy cztery latka, a jaki ładny! Mario ma na imię. — Macha ręką. — To imię mojego męża. Zostali u nas z dziesięć dni i znowu poczuliśmy się młodo! — Ponownie się uśmiecha. — Przede wszystkim mój mąż. — Przez chwilę stoi z tym uśmiechem na twarzy. Następnie pyta nieoczekiwanie: — Modli się pan?

Jak długo to wytrzymam?

— Nie — jękam się. — Nie, bardzo rzadko.

— Ale jest pan wierzący?

— Tak — odpowiadam. Uśmiecham się, choć zapewne nie jest to nawet uśmiech protekcyjnalny, jakbym tego pragnął. Ciekaw jestem, jaki mógł być ten mój uśmiech. Jej nie zadowolił.

— Musi się pan modlić — mówi rzeczowo. — Niech mi pan wierzy. Nawet jeśli to krótka modlitwa, od czasu do czasu. Niech pan zapali świeczkę. Bez wstawienictwa świętych w ogóle nie można żyć na tym świecie. Mówię tak, jakbym była pańską *maman*. — Wyprostowuje się. — Niech mi pan tego nie bierze za złe.

— Ależ skąd! To miło, bardzo miło, że mówi pani tak do mnie.

Uśmiecha się z zadowoleniem.

— Wszyscy mężczyźni, nie tylko takie dzieciaki jak pan, lecz także i starsi, potrzebują kobiety, która im powie prawdę. *Les hommes, ils sont impossibles.* — Uśmiecha się; zmusza mnie do uśmiechu z powodu chytrości tego żartobliwego powiedzonka. Następnie gasi światło w dużej sypialni i, dzięki Bogu, kierujemy się do przedpokoju, w stronę mojego kieliszka. W małej sypialni naturalnie panuje bałagan: lampa się pali, płaszcz kąpielowy, książki, brudne skarpety, kilka brudnych kieliszków, filiżanka do połowy napełniona zwietrzałą kawą — porozrzucane po całym pokoju. Na łóżku stamszone prześcieradło.

— Zrobię tu jutro rano porządek — zapewniam.

— *Bien sûr.* — Wzdycha. — Naprawdę, proszę pana, powiniem pan usłuchać mojej rady i się ożenić.

Oboje roześmieliśmy się nagle, a ja opróżniłem kieliszek.

Sporządzenie inwentarza zbliża się do końca. Wchodzimy do ostatniego pomieszczenia, dużego pokoju, gdzie pod oknem stoi butelka. Gospodyni patrzy na butelkę, potem na mnie.

— Rano będzie pan mocno pijany.

— Ach nie. Tę butelkę biorę ze sobą, na podróż.

Ona doskonale wie, że to nieprawda. Wzrusza jednak znowu ramionami. Zawija chustę na głowie i staje się naraz niezwykle oficjalna, nawet lekko onieśmielona. Teraz, kiedy wiem, że ma zamiar odejść, zastanawiam się, jakby ją tu zatrzymać. Gdy wróci do swojego domu naprzeciwno, noc stanie się jeszcze czarniejsza, jeszcze dłuższa. Chciałbym jej, jej?, coś powiedzieć, ale oczywiście nigdy tego nie zrobię. Tęsknię do przebaczenia, pragnę, aby o n a mi przebaczyła. Jak jednak mam jej wytknąć, na czym polega moja zbrodnia? Zbrodnia ta polega w jakiś dziwny sposób na tym, że jestem mężczyzną, a ona to dobrze wie. To potworne, jak się przed nią czuję obnażony. Jakbym był dorastającym chłopcem i stał na golasa przed matką.

Niegrabnie chwytam rękę, którą wyciąga ku mnie.

— *Bon voyage, monsieur!* Mam nadzieję, że się tu panu po-

dobato i że nas pan kiedyś znowu odwiedzi. — Uśmiecha się i oczy ma teraz przyjazne, lecz uśmiech ten jest tylko formalnością, pełnym wdzięku zakończeniem interesu.

— Dziękuję pani. Może przyjadę tu na przyszły rok.

Wpuszcza moją dłoń z ręki i podchodzimy do drzwi.

— Aha, niech mnie pan nie budzi rano — przypomniała sobie przy drzwiach. — Proszę wrzucić klucz do skrzynki na listy. Mam dosyć tego zrywania się o świcie.

— Naturalnie. — Otwieram z uśmiechem drzwi. — *Dobranoc, madame.*

— *Bonsoir, monsieur. Adieu!* — Oddała się w ciemność, choć z mojego domu i z tego naprzeciwno sący się światło. Światła osiedla migocą w dole i znów dociera do mnie szum morza. Po paru krokach odwraca się do mnie.

— *Souvenez-vous* — woła. — Czasami trzeba się pomodlić. Zamykam drzwi.

Uświadomiła mi, jak wiele mam jeszcze do zrobienia przed jutrzejszym rankiem. Na kolejny kieliszek pozwolę sobie dopiero wtedy, gdy posprzątam łazienkę. Zabieram się więc do roboty, szoruję najpierw wannę, potem napełniam wiadro wodą, aby zmyć podłogę. Łazienka jest niewielkim, kwadratowym pomieszczeniem z mlecznymi szybami w oknie. Przypomina mi to klaustrofobiczną służbówkę w Paryżu. Giovanni snuł śmiałe plany jej przebudowy i pewnego razu zaczął je nawet realizować. W pokoju wszystko zasypiane było tynkiem, a sterty cegieł piętrzyły się na podłodze. Wynosiłszy gruz nocą i wyrzuciłszy na ulicę.

Przyjda po niego chyba wczesnym rankiem, może tuż przed świtem, a więc jego oczy ujrzą po raz ostatni szare, ponure niebo Paryża, pod którym tyle razy potykaliśmy się, zmierzając razem do domu o poranku, pełni rozpaczy i pijani.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kiedy tak wspomynam, odnoszę wrażenie, że życie w tamtym pokoju toczyło się jakby na dnie morza, podczas gdy czas obojętnie przepływał nad nami. Godziny i dnie nie miały żadnego znaczenia. Początkowo nasze wspólne życie wypelniała radość i zdumienie, które codziennie na nowo odżywały. Pod radością czaiła się jednak udręka, a pod zdumieniem strach, choć uwidoczniło się to dopiero wtedy, gdy wzniosły początek zaczął smakować jak cierpki aloes. Strach i udręka już dawno zaczęły przypominać gładką powierzchnię, po której ślizgały się nasze stopy, a my traciiliśmy równowagę, godność i dumę. Twarz Giovanniego, której uczyłem się na pamięć w ciągu wielu poranków, popołudni i nocy, tężała w moich oczach; zaczynała odkształcać się i zarysowywać w sekretnych miejscach. Blask oczu był już tylko błyskiem, szerokie i piękne czoło — jedynie sklepieniem czaszki. Zmysłowe usta zaczęły się od smutku, wypływającego z jego serca. To już nie twarz Giovanniego, lecz jakaś obca — patrząc na niego czułem się tak winny, że przagnąłem, aby to była twarz kogoś obcego. Całe pamięciowe uczenie się nie przygotowało mnie na metamorfozę, do której właśnie to moje wkuwanie się przyczyniło.

Nasz dzień rozpoczynał się przed świtem, gdy wstępowałem do baru Guillaume'a na drinka tuż przed zamknięciem lokalu. Czasami, już po zamknięciu, Giovanni, ja i paru przyjaciół zostawaliśmy na wspólne śniadanie i słuchanie muzyki. Czasami towarzyszył nam Jacques — od czasu, gdy poznałem Giovanniego, coraz częściej pojawiał się w barze. Jeżeli zostawaliśmy

u Guillaume'a na śniadaniu, wychodziliśmy zwykle około siódmej rano. A czasami Jacques proponował nam podwieczernie samochodem, który sobie nagle i nieoczekiwanie sprawił, ale przeważnie decydowaliśmy się na długi spacer brzegiem Sekwany. Wiosna nadciągała do Paryża. Dzisiejszego wieczoru, gdy krążyłem tam i z powrotem po tym domu, staję mi znów przed oczyma rzeka, brukowane nabrzeża, mosty. Pod mostami przepływały płaskie barki, na ich pokładzie kobiety rozwieszały wypraną bieliznę. Od czasu do czasu pojawiał się kajak, w którym siedział energicznie wiosłujący młodzieniec, wyglądający trochę bezzradnie, a trochę śmiesznie. Przy nabrzeżach widać było przycumowane żagliówki, łodzie mieszkalne i barki. Nasza droga prowadziła tak często obok budynku straży pożarnej, że w końcu strażacy stali się naszymi znajomymi. Gdy znów nadeszła zima, Giovanni ukrywał się na jednej z tych barek, to właśnie któryś ze strażaków zobaczył go pewnego wieczoru, jak wkraadał się z bochenkiem chleba do kryjówki, i powiadomił policję.

Drzewa zazieleśniły się w tamte poranki, opadła woda w rzece, zimowa bura mgła rozplynęła się i na brzegach pojawił się wędkarze. Giovanni miał rację co do wędkarzy: nawet jeśli nic nie złowią, to przynajmniej mają co robić. Stroiska z książkami na bulwarach wyglądały niemal odświętnie w oczekiwaniu na pogodę, która umożliwi przechodniom leniwie wertować książki o zagiętych rogach, a u turystów rozbudzi pożądliwe pragnienie zabrania do Stanów Zjednoczonych czy Danii znacznie więcej kolorowych reprodukcji, niż ich na to stać, nie mówiąc już o tym, że w domu nie będą wiedzieli, co z nimi począć. Pojawili się też dziewczyny na rowerach w towarzystwie podobnie wyposażonych chłopaków. Widywaliśmy ich czasem nad rzeką o zmierzchu, odstawiali rowery aż do następnego dnia. Było to już wtedy, gdy Giovanni stracił swoją pracę i na spacery chodziliśmy wieczorami. Te wieczory były gorzkie. Giovanni wiedział, że chce go opuścić, ale nie odważył się mnie oskarżać w obawie, że mógłbym potwierdzić. Ja z kolei nie miałem odwagi powiedzieć mu prawdy. Hella wracała z Hiszpanii, a ojciec zgodził się prześłać mi pieniądze, których jednak nie zamierzaliśmy przeznaczyć na pomoc dla Giovanniego, choć on tyle dla

mie uczynił. Chciałem je przeznaczyć na ucieczkę z jego pokoju. Każdego ranka słońce i niebo zdawały się coraz to wyższe. Każda rozpościerała przed nami jakby coraz więcej mglistych obietnic. Każdego dnia bukiniści mieli na sobie mniej gardero-by, tak że ich sylwetki zdawały się podlegać stałemu i zaskakują-cemu przeobrażeniu. Mimo woli narzucało się pytanie, jak będą wyglądać ostatecznie. Rzut oka w otwarte okna przy nabrzeżu i w przyległych uliczkach pozwalał stwierdzić, iż hotelarze we-zwali malarzy do odnawiania pokojów; kobiety z mleczarni po-zdejnowały niebieskie swetry i podwinęły rękawy sukni, uka-zując silne ramiona; chleb w piekarniach wydawał się świeższy i ciepłszy niż zwykle. Sztubacy nie nosili już pelerynek, a ich gote kolana przestały być sine od zimna. Odnosiłem wra-żenie, że rozmawia się teraz więcej w tym dziwnie wyważonym i impulsywnym języku, który raz przypominał mi ubijanie piany, innym razem jakieś instrumenty szarpane, zawsze zaś spodni nurt i pokłosie namiętności.

Nieczęsto jednak jadałismy śniadania w barze Guillaume'a, bo mnie nie lubił. Zwykle więc czekałem w pobliżu, możliwie nie rzucając się w oczy, aż Giovanni posprząta lokal i się prze-bierze. Mówiliśmy dobranoc i wychodziliśmy. Z biegiem czasu stali bywalcy lokalu zaczęli się odnosić do nas w sposób dziwny: z mieszanią nieprzyjemnego uczucia macierzyńskiego i za-zdrości, i ukrywanej antypatii. Nie mogli jednak rozmawiać z nami, tak jak ze sobą, i mieli nam za złe przymus mówienia inaczej, który im narzucaliśmy. Wściekało ich, że zwrotny punkt w życiu w tym przypadku znajduje się poza ich zasięgiem. Uświa-damiąło mi to znowu własną nędzę poprzez narkotyk szcze-biotów, marzenie o podbojach i wzajemną pogardę.

Niezależnie od tego, gdzie zjedliśmy śniadanie i którądy szliśmy do domu, byliśmy zawsze zbyt zmęczeni, aby zaraz usnąć. Zaparzaliśmy więc kawę i popiliśmy niekiedy do niej koniak; siedzieliśmy na łóżku, gawędząc i paląc papierosy. Te-matów do rozmów nie brakowało nigdy — zwłaszcza Giovan-niemu. Ja przemilczałem niektóre sprawy, nawet w przypływie największej szczerości, nawet gdy usilnie próbowałem się otwo-rzyć, tak jak się otwierał on. O Helli opowiedziałem mu na

przykład dopiero po miesiącu wspólnego życia. Nadmieniałem o niej, gdyż z jej listów wynikało, że wkrótce wraca do Paryża.

— Co ona tam robi wólcząc się samotnie po Hiszpanii? — dopytywał się Giovanni.

— Lubi podróżować — odpowiedziałem.

— Ależ co znowu! — rzekł Giovanni. — Nikt nie lubi po-dróżować, a już kobiety szczególnie. Z pewnością coś się za tym kryje. — Uniósł wieloznacznie brwi. — Może ma kochan-ka Hiszpana i boi się ci o tym powiedzieć? Może żyje tam z ja-kimś toradorem?

Może, pomyślałem.

— Hella nie bałaby mi się o tym powiedzieć.

Giovanni się zaśmiał.

— Naprawdę, zupełnie nie rozumiem Amerykanów.

— Co w tym niezrozumiałego? Nie jesteśmy przecież nawet małżeństwem.

— Ale ona jest twoją kochanką, czy nie tak? — spytał Gio-vanni.

— Tak.

— Czy nadal jest twoją kochanką?

Popatrzyłem na niego.

— Oczywiście.

— No, to nie rozumiem — rzekł Giovanni — co ona robi w Hiszpanii, podczas gdy ty siedzisz w Paryżu. — Inna myśl przyszła mu do głowy. — Ile ona ma lat?

— Jest o dwa lata młodsza ode mnie. — Obserwowałem go. — Co to ma do rzeczy?

— Jest mężatką? Naturalnie, mam na myśli, czy jest żoną innego mężczyzny?

— Skądże! — zawołałem śmiejąc się. Także Giovanni się roześmiał.

— Widzisz, pomyślałem sobie, że ona jest starszą panią — wyjaśniał — ma męża i musi od czasu do czasu z nim gdzieś wyjechać, aby móc kontynuować romans z tobą. To byłby fajny układ. Takie kobiety są nieraz bardzo o interesujące i najczęś-ciej mają sporo forsy. Gdyby tak a kobieta była teraz w Hi-szpanii, to przywozłaby ci piękny prezent. Ale młoda dziew-

czynna, która samotnie objęła się po obcym kraju, nie, to mi się wcale nie podoba. Powinieneś znaleźć sobie inną kochankę. To wszystko wydawało mi się komiczne i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

— A czy ty masz kochankę? — spytałem.

— Teraz nie, ale może kiedyś znowu będę mieć — powiedział na wpół chmurząc się, na wpół uśmiechając. — Teraz nie interesuję się kobietami, nie wiem, dlaczego. Kiedyś było inaczej i może później też będzie inaczej. — Wzruszył ramionami. — Pewno dlatego, że kobiety to nieco większy kłopot niż ten, na jaki mogę sobie pozwolić. *Et puis...* — Zamilkł.

Chciałem już powiedzieć, że wybrał sobie nader szczególną metodę na wybrnięcie z kłopotów, po krótkim jednak namyśle powiedziałem tylko ostrożnie:

— Wydaje mi się, że nie masz zbyt dobrego zdania o kobietach.

— Ach, kobiety! Chwała Bogu nie trzeba mieć o nich zdania. Kobiety są jak woda. Tak samo kuszące, zdradzieckie i równie przepastne, rozumiesz? Albo też równie płytkie. I równie brudne. — Zamilkł na chwilę. — Pewno nie lubię specjalnie kobiet, to prawda. Co mi jednak nie przeszkodziło, żeby się z wieloma przespacić, a jednej czy dwóch nawet pokochać. Ale najczęściej kochałem je tylko ciałem.

— To może cię uczyńić bardzo samotnym — ostrzegłem, choć nie oczekiwałem, że to zrobię.

On też był zaskoczony tym, co usłyszał. Spojrzał na mnie, wyciągnął rękę i dotknął mojego policzka.

— Może i tak — odparł. A następnie dodał: — Naprawdę nie mam zamiaru być *méchant*, gdy mowa o kobietach. Szanuję kobiety, nawet bardzo, ze względu na ich życie wewnętrzne, tak odmienne od życia mężczyzn.

— Kobietom nie przypadnie to chyba do gustu.

— Być może. Te śmieszne baby mają dziś tylko głupstwa w głowie i wydaje im się, że we wszystkim mogą sprostać mężczyznom, *quelle rigolade!* Powinno się je zbić na kwaśne jabłko, aby się przekonaly, kto rządzi światem.

Śmiałem się.

— Czy kobiety, które znależ, lubiły być bite?

— Nie wiem, czy to lubiły. Ale z tej przyczyny jeszcze żąda na ode mnie nie uciekła. — Roześmialiśmy się obaj. — One oczywiście nie były takie jak ta twoja głupiotka przyjaciółka, która wędruje po Hiszpanii i śle widokówki do Paryża. Co ona sobie właściwie wyobraża? Chce ciebie, czy nie?

— Pojechała do Hiszpanii, aby się nad tym zastanowić.

Oczy Giovanniego rozszerzyły się ze zdziwienia. Był oburzony.

— Do Hiszpanii? A dlaczego nie do Chin? Co ona tam robi? Wypróbuj może wszystkich Hiszpanów i porównuj ich z tobą?

Zaczęło mnie to trochę denerwować.

— Niczego nie rozumiesz. Hella to bardzo inteligentna, skomplikowana dziewczyna. Chciała wyjechać, aby w spokoju wszystko przemyśleć.

— A co tu jest do przemyślenia? Twoja Hella wygląda na głupią, muszę przyznać. Nie może się zdecydować, w którym łóżku pragnie spać. Chciałaby robić jedno, a nie tracić drugiego, co?

— Gdyby była teraz w Paryżu — wtrąciłem szorstko — nie byłoby mnie z tobą w tym pokoju.

— Może byś tu nie mieszkał — odparł. — Ale spotykałbyśmy się z pewnością. Dlaczego by nie?

— Dlatego by nie? Wyobraź sobie, że by się dowiedziały!

— Dowiedziały? Czego miałyby się dowiadywać?

— Ach, przestań! — powiedziałem. — Wiesz doskonale, czego mogłaby się dowiedzieć.

Patrzył na mnie z kamienną twarzą.

— Twoja mała przyjaciółka wygląda mi coraz bardziej na absolutnie niemożliwą. Chodzi za tobą krok w krok? A może wynajmie detektywów, żeby spali pod naszym łóżkiem? Co ją to w ogóle obchodzi?

— Ty chyba nie wiesz, co mówisz — zauważyłem.

— Ależ tak — zapewnił — wiem nawet bardzo dobrze. Jeśli któryś z nas czegoś nie pojmuje, to prędzej ty. — Jęknął, dołą-

sobie kawy i wziął butelkę koniaku z podłogi. — *Chez toi* wszystkim brzmi tak niezwykle gorączkowo i skomplikowanie jak w tych angielskich kryminatach. Dowiedzieć się, dowiedzieć, powtarzasz, zupełnie jakbyśmy popełnili jakąś zbrodnię. Nie popełniłszy żadnej zbrodni. — Nalął koniaku.

— Rzecz w tym, że byłoby to dla niej straszny cios, gdyby się dowiedziała, to wszystko. Ludzie określają tak plugawymi wyrazami... te sytuacje. — Urwałem. Jego mina mówiła mi, że go nie przekonałem, więc dodałem broniąc się: — Poza tym to jest przestępstwo, przynajmniej w mojej ojczyźnie, a w końcu ta m się wychowałem, nie tutaj.

— Jeżeli gorszą cię plugawe wyrazy, to doprawdy nie wiem, jak udało ci się tak długo przeżyć — rzekł Giovanni. — Ludzie są pełni plugawych słów. W jednej sytuacji ich nie używają, przynajmniej większość z nich, a mianowicie, gdy opisują coś plugawego. — Przerwał i obserwowaliśmy się wzajemnie. Wbrew temu, co mówił, sprawiał wrażenie przestraszonego. — Jeżeli w oczach twoich rodaków przestępstwem jest życie prywatne, to tym gorzej dla twojego kraju. A jeśli chodzi o twoją dziewczynę, czy zawsze tkwisz przy niej, kiedy tu jest? No, przez cały dzień, każdego dnia? Chyba wybierasz się od czasu do czasu bez niej na spacer, aby porozmyślać, jak to nazywasz. Amerykanie, zdaje się, bardzo dużo rozmyślają. Kiedy więc już będziesz siedzieć nad kieliszkiem i będziesz rozmyślać, pewno się obejrzyś za jakąś przechodzącą dziewczyną. Może nawet spojrzysz w niebo i poczujesz pulsowanie własnej krwi. Czy też to wszystko się skończy, gdy pojawi się Hella? Żadnego picia w pojedynkę, żadnej innej dziewczyny, żadnego nieba? Co? Odpowiedzi!

— Już ci raz powiedziałem, że nie jesteście małżeństwem. Ale dziś chyba nie potrafię cię o niczym przekonać.

— No więc, gdy Hella tu jest, czy spotykasz się czasami z innymi ludźmi, bez niej?

— Oczywiście.

— A czy ona każe ci opowiadać o wszystkim, co robisz, gdy cię przy niej nie było?

Westchnąłem. Straciłem w którymś momencie kontrolę nad

rozmową, więc chciałem ją zakończyć. Zbyt szybko wypitem koniak, tak że zaczął palić mnie w gardle.

— Oczywiście że nie.

— No więc widzisz. Jesteś przystojnym, bardzo sympatycznym chłopcem, o dobrych manierach i, o ile nie jesteś impotentem, nie widzę podstaw, żeby ona mogła się na coś uzalać, a ty czymś martwić. *La vie pratique, mon cher*, życie da się łatwo ułożyć, trzeba tylko się postarać. — Zastanowił się. — Czasami coś nie wychodzi, to prawda, wtedy trzeba je ułożyć inaczej. Życie z pewnością nie jest angielskim melodramatem, jaki ty z niego robisz. Byłoby wtedy nie do wytrzymania. — Ponownie napchnął kieliszek i uśmiechnął się do mnie, jakby rozwiązał wszystkie moje problemy. Jego uśmiech był tak naturalny, że mimowolnie go odwzajemniłem. Giovanni lubił sobie wmawiać, że w przeciwieństwie do mnie trzeźwo patrzy na sprawy i że uczy mnie prawdziwego życia. Przekonanie to było dla niego bardzo istotne, ponieważ mimo woli w głębi duszy wiedział, że ja, znów w głębi duszy, gwałtownie się temu sprzeciwiam.

W końcu uspokoił się, zamilkliśmy i poszliśmy spać. Kiedy obudziliśmy się koło trzeciej czy czwartej po południu, nitki słońce zagładało w kąty tego nie sprzątanego pokoju. Wstaliśmy, umyliśmy się i ogoliśmy, potracając się, dowcipkując, opętani niewypowiedzianym pragnieniem opuszczenia pokoju. W końcu wybiegliśmy na ulicę, do miasta, gdzie zjedliśmy coś w pośpiechu. Odprowadziłem Giovanniego aż do drzwi lokalu Guillaume'a.

Później poszedłem sam — podniecony na duchu swoją samotnością — do kina, a może na spacer lub z powrotem do domu, czytałem siedząc na ławce w parku, a może na ławce przed kawiarnią, gdzie pisałem listy lub rozmawiałem. Napisałem do Helli, nie jej nie zdradzałem, napisałem też do ojca i poprosiłem go o pieniądze. Cokolwiek jednak robiłem, ciągle tkwiło we mnie jakieś inne „ja”, osłupiałe i zmartwiałe ze strachu wobec tej kwestii mojego życia.

Giovanni rozbudził we mnie pożądanie, uwolnił mnie od bólu. Odkryłem to pewnego popołudnia, kiedy odprowadzałem go do baru. Szliśmy przez Montparnasse. Kupiliśmy sobie kilo wiśni

i jedliśmy je po drodze. Tamtego popołudnia zachowywaliśmy się niesamowicie dziecinnie i niesfornie, tak że nasz widok — dwóch dorosłych mężczyzn, którzy poszturchują się na chodniku i obrzucają się nawzajem pestkami jak kulkami z papieru — musiał wywoływać zgorszenie. Uprzytomniłem sobie, jak fantazyjna w moim wieku była ta dzieciada i jeszcze bardziej szczęście, które z niej płynęło. W tym momencie naprawdę kochałem Giovanniego. Nigdy nie wydał mi się tak piękny jak tamtego popołudnia. Obserwując go stwierdziłem, jak wielkie ma dla mnie znaczenie to, że potrafię tak rozjaśnić jego twarz, i że wiele dałbym za to, aby tej mocy nie utracić. Czuję, że płynę ku niemu niczym rzeka, kiedy pękną lody. W tym momencie jednak przeszedł między nami chodnikiem jakiś obcy chłopak, a ja natychmiast obdarzyłem go urodą Giovanniego i poczułem wobec niego to samo. Giovanni to zobaczył, zobaczył moją twarz i to skłoniło go do jeszcze większego śmiechu. Zarumieniłem się, on śmiał się jeszcze głośniej i wtedy bulwar, światło, dźwięk jego śmiechu, przemieniły się w scenę z jakiegoś koszmarnu. Patrzyłem na drzewa, na promienie słońca padające przez liście. Czuję żal, wstyd, strach i wielką gorączkę. Jednocześnie — co spowodowało częściowo moje zmieszanie — poczułem, że napinają mi się z wysiłku mięśnie karku, żeby się nie odwrócić i nie odprowadzić spojrzeniem owego młodzieńca odchodzącego pełnym światła bulwarem. Zwierzę, które obudził we mnie Giovanni, nigdy więcej nie zaśnie. Któregoś dnia jednak nie będziemy już razem. A wtedy, czy będę wtedy jak inni biegać za wszystkimi możliwymi chłopakami po Bóg wie jakich ciemnych ulicach, jakichś ciemnych zakamarkach?

Tak oto wraz z tą straszną świadomością zrodziła się we mnie nienawiść do Giovanniego, tak samo silna jak moja miłość. I wyrastająca z tych samych korzeni.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie wiem, jak opisać pokój Giovanniego. Do pewnego stopnia bowiem przypomina mi każdy pokój, w którym się już kiedyś

znalazłem lub w którym jeszcze kiedyś będę przebywać. W gruncie rzeczy nie mieszkałem tam zbyt długo — poznaliśmy się, zanim nadeszła wiosna, a już latem wyprowadziłem się — lecz odnoszę wrażenie, jakbym spędził tam całe życie. Jak już powiedziałem, zdawało mi się, że toczyło się ono jakby pod powierzchnią wody i z całą pewnością dokonała się tam we mnie wielka przemiana.

Na początek trzeba stwierdzić, że pokój nie był wystarczająco duży dla dwóch osób. Rozciągał się z niego widok na małe podwórko, co oznacza jedynie, że miał dwa okna, na które podwórko złośliwie napierało, wdzierając się do środka każdego dnia, jakby uważało się mylnie za dzunglę. Otwieraliśmy je rzadko, zwłaszcza Giovanni. Nigdy nie kupił firanek, nawet wtedy gdy mieszkałem u niego. Aby uchronić się przed wścibskimi spojrzeniami, zamalował po prostu szybę gęstą białą pastą. Słyszeliśmy czasami bawiające się na podwórku dzieci, czasami majaczące za oknem dziwne cienie. W takich chwilach Giovanni, bez względu na to, czy pracował w pokoju, czy leżał w łóżku, zastygł w bezruchu jak pies myśliwski i w kompletnie czyszy wyczekiwał, aż zniknie to, co, jak się wydawało, zagraża naszemu bezpieczeństwu.

Stale snuł wielkie plany przebudowy pokoju i nawet się do tego zabrał, zanim ja się pojawiłem. Z jednej ściany zdążył już zderzeć tapetę i teraz świeciła brudnobiałymi smugami. Przeciwnieległa ściana miała pozostać nienaruszona i wieszycie spacerowała na niej w ramce z różyczek para: dama w krynolinie u boku kawalera w bryczesach. Tapeta w arkuszach i rolkach leżała na zakurzonej podłodze. Walała się na niej nasza brudna bielizna, narzędzia Giovanniego, pędzle, puszki z farbą olejną, butelki z terpentyną. Walizki leżały w chwiejnej równowadze na stercie rzeczy, toteż baliliśmy się nawet je otworzyć i nieraz mijało wiele dni, zanim zdecydowaliśmy się coś z nich wyciągnąć, na przykład czyste skarpetki.

Nikt nas nie odwiedzał, z wyjątkiem Jacquesa, a i ten pojawiał się nieczęsto. Mieszkał daleko od centrum i nie miał miłego telefonu.

Pamiętam pierwsze popołudnie, gdy się tam przebudziłem

obok twardo śpiącego i ciężkiego jak głaz Giovanniego. Światło było tutaj tak słabe, że nie miałem pojęcia, która jest godzina. Ostrożnie, aby nie zbudzić Giovanniego, zapaliłem papierosa. Nie wiedziałem jeszcze, jak mu spojrzę w oczy. Rozejrzałem się wokół. W taksówce Giovanni coś wspominał, że jego mieszkanie jest bardzo brudne. — Jestem o tym przekonany — zbyłem go i odwróciłem się, aby wyglądać z okna. Potem milczałem. Obudziwszy się w jego pokoju, przypomniałem sobie to milczenie, w którym było jakby jakieś napięcie i ból i które zostało przełamane, gdy Giovanni rzekł ze wstydliwym, gorzkim uśmiechem: — Muszę wymyślić jakąś poetycką przenośnię.

Rozstawił swoje grube palce, jakby chcąc uchwycić tę metaforę w powietrzu. Obserwowałem go.

— Spójrz na śmieci tego miasta — dodał w końcu i wskazał na mijaną w pędzie ulicę — wszystkie śmieci tego miasta. Dokąd je wywożą? Nie mam pojęcia, ale równie dobrze mogliby je wywozić do mojego pokoju.

— Zapewne wrzucają je do Sekwany — zauważyłem.

Gdy jednak przebudziłem się i rozejrzałem po pokoju, wyczułem brawurę i tchórzostwo tej „poetyckiej przenośni”. To nie były anonimowe śmieci Paryża, to były życiowe wymioty Giovanniego.

Przede mną, obok, wszędzie, piętrzyły się jak mur pudła i walizki, niektóre przewiązane sznurkiem, inne zamknięte, a jeszcze inne rozlatujące się. Z kartonu na samej górze wypadły arkusze z nutami etud skrzypcowych. Skrzypce także istniały — leżały na stole w pogiętym, porysowanym futerale i z ich wyglądu nie można było wywnioskować, czy je tam położono wczoraj, czy sto lat temu. Stół zaścieniały pożółkłe gazety i puste butelki. Pomiedzy nimi tkwił brązowy, pomarszczony kartonfel, w którym nawet oczka wygniły. Zasnieną plama czerwonego wina na podłodze rozsiewała zapach, od którego powietrze stawało się słodkie i ciężkie. Lecz to nie bałagan w pokoju przerażał najbardziej, raczej fakt, że przyczyny tego bałaganu nie dawało się wyjaśnić w żaden zwykły sposób. Nie chodziło bowiem o przyzwyczajenie, okoliczności czy temperament, a tylko o karę i smutek. Trudno mi powiedzieć, skąd to wiedziałem.

ale wiedziałem od razu. Być może dlatego, że sam pragnąłem żyć. Lustrowałem pokój z owym nerwowym, szacującym natężeniem inteligencji i wszystkich sił, jak to się zwykle robić taksując nieuniknione śmiertelne niebezpieczeństwo: milczące ściany z odległą, staromodną parą kochanków uwieczionych w bezkresnym ogrodzie różanym, gapiące się okna, gapiące się na mnie jak wielkie oczy z lodu i ognia, i sufit wiszący nisko jak chmury, z których niekiedy przemawiał szatan i którego wrogość nicudolnie skrywała żółta żarówka, zwisająca pośrodku niezłym chory; nieokreślony organ płciowy. Pod tą tępą strzałą, owym rozgniecionym kwiatem światła, mieszkał lęk wypetniający duszę Giovanniego. Zrozumiałem nagle, dlaczego Giovanni mnie pożądał i dlaczego sprowadził mnie do swej ostatniej kryjówki. Moim zadaniem było zniszczyć to wnętrze i stworzyć Giovanniemu nowe, lepsze życie. To życie mogłoby być tylko moim własnym i musiało stać się w pierw składnikiem tego pokoju, zanim odmieniliby los Giovanniego.

Ponieważ powody, które mnie tu sprowadziły, były tak zagmatwane, tak niewiele mające wspólnego z jego marzeniami i pragnieniami i tak głęboko zakorzenione w mej własnej desperacji, na początku błaznowałem, udając przed sobą, że sprawia mi przyjemność rola gosposi, gdy Giovanni szedł do pracy. Wyniosłem papierzyska i butelki, cały ten nagromadzony śmietnik, posortowałem zawartość niezliczonych pudeł i walizek i próbowałem zaprowadzić porządek. Ale nie jestem przecież gospośnią — mężczyźni nigdy nie potrafią być gosposiami. Przyjemność zaś nigdy nie była prawdziwa i szczerą, mimo że Giovanni uśmiechał się swym pokornym, dziękiczynnym uśmiechem i dawał mi w każdy możliwy sposób do zrozumienia, jak to cudownie, że jestem z nim, ja, który z moją miłośnią i przedsiębiorczością stałem pomiedzy nim a ciemnością. Każdego dnia usiłowałem udowodnić, jak się zmienić, jak zmienić go miłoś, jak pracuje, śpiewa i jak jest do mnie przywiązany. Znajdowałem się w stanie straszego zamętu. Czasami myślałem: To w końcu jest i w o-że życie. Przystań je zwalczać. Przystań walczyć. Albo też myślałem: Jestem przecież szczęśliwy. On mnie kocha. Nic złego nie może mi się przydarzyć. Nieraz, gdy go przy mnie nie było.

postanawiałem: Już nigdy nie pozwolę mu się dotknąć. A gdy ponownie mnie dotykał, myślałem: To nie ma żadnego znaczenia, to tylko ciało, zaraz będzie po wszystkim. Gdy było już po wszystkim, leżałem w ciemnościach, nasłuchiwałem jego oddechu i marzyłem o dłoniach Giovanniego lub kogoś innego, o dłoniach, w których drzemie siła, mogąca mnie zetrzeć na proch i na nowo wskrzesić.

Podczas naszych popołudniowych śniadań, gdy niebieski dynek z papierosa unosił się nad głową Giovanniego, zostawiałem go nieraz samego w domu i szedłem do biura American Express przy operze, gdzie czekała na mnie poczta, jeśli takową otrzymywałem. Od czasu do czasu, ale rzadko, towarzyszył mi Giovanni. Zazwyczaj twierdził, że nie potrafi wytrzymać obecności tyłu Amerykanów naraz. Jego zdaniem wszyscy wyglądają jednakowo i pewno w jego odczuciu odpowiadało to prawdzie. Dla mnie jednak nie byli jednakowi. Jasne, że mieli sporo wspólnego, co czyniło ich Amerykanami, ale nie udało mi się wytrzymać, w czym rzecz. Wiedziałem tylko, że sam też mieszczę się w tej charakterystyce i że po części to właśnie przyciąga Giovanniego do mnie. Kiedy chciał dać mi do zrozumienia, że się gniewa, nazywał mnie „*vrai Américain*”. Gdy zaś był ze mnie zadowolony, twierdził, że wcale nie jestem Amerykaninem. W obu przypadkach urażał we mnie nerw, który u niego nie pulsował. Oburzało mnie to, oburzało określenie, że jestem Amerykaninem (i oburzało, że mnie oburza), ponieważ jakby sprowadzało mnie jedynie do tego, cokolwiek znaczyło. Oburzało mnie równocześnie określenie jako „nie-Amerykanina”, gdyż przez to stawiałem się nikim.

Mimo to, kiedy pewnego oślepiającego jasnego popołudnia w środzku lata wkroczyłem do biura American Express, musiałem przyznać, że ta żywiłowa, niepokojąco radosna horda wydała mi się naraz jednolita. Będąc w kraju potrafiłbym bez trudu odróżnić zwyczajnie, akcent i odrębności językowe. Tu musiałem się niezwykle uważnie przysłuchiwać, aby nie pomyśleć, że wszyscy przybyli właśnie z Nebraski. W kraju dostrzegłbym, jak są ubrani, tu zaś widziałem tylko torebki, aparaty fotograficzne, paski i kapelusze, które bezsprzecznie pochodziły z tego

samego domu towarowego. W kraju wyczuliłbym zapewne indywidualną kobiecość pani, która stała przede mną. Tu zaś na największym rutyniarzu robilią wrażenie jakiejś lodowatej lub zaszuszonej trawestacji seksu. Nawet babacie trudno było podejrzewać, że kiedykolwiek miały stosunki intymne. Mężczyźni natomiast odznaczali się tym, że zdawali się nie starzec: wonieli mądem, co miało zapewne stanowić ich obronę przed niebezpieczeństwem i nieuchronnością bardziej intymnych zapachów. W oczach sześćdziesięciolatka, który opłacał akurat wycieczkę do Rzymu dla siebie i swej uśmiechniętej żony, rozpoznawało się dawnego chłopczyka, nie zabrudzonego, nie tkniętego, nie zmienionego. Zona mogła być jego matką, zmuszającą do zjedzenia większej porcji owsianki, a Rzym filmem, który mu obiecała w nagrodę. Podejrzewałem jednak, że to, co obserwuję, to tylko część prawdy, może nawet nie najważniejsza. Pod tymi twarzami, ubraniami, akcentami, pod swobodnym zachowaniem kryła się siła i smutek, nieuświadomione, utajone: siła odkrywców i smutek samotników.

W kolejce do okienka stałem za dwiema dziewczynkami, które postanowiły pozostać w Europie w nadziei znalezienia pracy w jakimś amerykańskim przedstawicielstwie w Niemczech. Z rozmowy, którą prowadziły cichym, żarliwym, zakłopotanym tonem wynikało, że jedna z nich zakochana się w Szwajcarze. Przyjaciółka namawiała ją, żeby „postawiła na swoim” — co pod tym rozumiała, pozostało nie wyjaśnione, a zadurzona dziewczyna kiwała głową, raczej z zakłopotaniem niż z akceptacją. Miała minę spiętej, niezdecydowanej osoby, która chciałaby coś dodać, ale nie wie, jak to ująć w słowa. — Nie pozwól robić z siebie idiotki — mówiła przyjaciółka. — Wiem, wiem — pomrukiwała dziewczyna. Odniosłem wrażenie, że choć z pewnością nie życzyła sobie takiego traktowania, to zapomniała dokładnego znaczenia tego słowa i być może już nigdy sobie nie przypomni.

Czekały na mnie dwa listy, jeden od ojca, drugi od Helli. Hella ostatnio przysyłała mi wyłącznie pocztówki. Myśl, że list może zawierać coś ważnego, odebrała mi ochotę na przeczytanie go. Otworzyłem więc najpierw list od ojca i czytatem stojąc

w cieniu, obok kręcących się nieprzerwanie obrotowych drzwi.

Kochany chłopcze — pisał ojciec — czy jeszcze kiedykolwiek pojawisz się w domu? Nie myśl, że jestem egoistą, ale naprawdę chciałbym się z Tobą zobaczyć. Siedzisz już dostatecznie długo za granicą i nie mam pojęcia, co tam robisz, a ponieważ nie piszesz zbyt wiele o sobie, to nie potrafię tego odgadnąć. Uwazam, że któregoś dnia pożałujesz, że wyjechałeś, że wypiąłeś się na wszystkie strony świata. Przecież Europa nie jest dla Ciebie! Jesteś Amerykaninem z krwi i kości, nawet jeśli nie masz już ochoty się do tego przyznać. Mam nadzieję, że się nie pogniwasz, kiedy Ci powiem, że w końcu na studiowanie jesteś już trochę za stary — o ile oczywiście studujesz. Zbliżasz się do trzydziestki. Ja także nie staję się młodszym, a Ty jesteś wszystkim, co posiadam. Chętnie bym Cię znowu zobaczył.

Stale prosił mnie o przystanie Twoich pieniędzy i bierzysz mi pewnie za złe, że tego nie robię. Nie mam zamiaru zamorzyć Cię głodem i kiedy będziesz naprawdę czegoś potrzebował, będę pierwszym, który Ci pomoże, wiesz dobrze. Nie sądzę jednak, że bym robił Ci przysługę, pozwalając na rozirwonięcie tej niewielkiej sumy pieniędzy, które tu masz, tak abyś po powrocie do domu nie zastął niczego. Do diabła, co Ty robisz? Dopuść do tajemnicy swojego ojca. Nie uwierzysz, ale ja też kiedyś byłem młody.

Dalej pisał o macosze, która także życzy sobie mojego powrotu, i o kilku naszych znajomych oraz o tym, co porabiają. Moja nieobecność wyraźnie zacyzniała go niepokoić, ponieważ nie wiedział, co się za nią kryje. Zadręczał się domysłami, coraz czarniejszymi i coraz bardziej mglistymi — nie umiałby opisać ich słowami, nawet gdyby się na to zdecydował. Pytanie, które pragnął zadać: — Czy to kobieta, Dawidzie? — nie pojawiło się w liście, podobnie jak propozycja: — Przywieź ją do domu. Jest mi obojętne, kim ona jest. Przywieź ją tutaj, a ja pomogę Ci się urządzić. — Nie zaryzykował tego, gdyż nie zniósłby odmowy. Odmowa ukazałaby przecież, jak bardzo staliśmy się sobie obcy. Złożyłem list, wsunąłem do tylnej kieszeni i patrzyłem przez chwilę na szeroką, zalaną słońcem nie znaną ulicę.

Bulwarcem przechodził marynarz ubrany cały na biało. Szedł kołyszącym się krokiem, tak charakterystycznym dla ludzi mo-

rza, i promieniał pełną nadziei pewnością, że w najbliższym czasie musi mnóstwo przeżyć. Przyglądałem mu się bezwiednie i żałowałem, że nie jestem na jego miejscu. Wyglądał młodziej niż ja kiedykolwiek, bardziej jasnowłosy i przystojniejszy ode mnie, demonstrował swą męskość w sposób tak nieskrępowany, jak skórę. Patrząc na niego pomyślałem o domu — może „dom”, to nie jest miejsce, lecz po prostu nieodwołalny stan? Wyobrażalem sobie, jak pije, jak bawi się w gronie kolegów, jak dręczy go cierpienie i kobiety. Zadałem sobie pytanie, czy taki też był mój ojciec, czy kiedykolwiek ja taki byłem? — choć z trudem mogłem sobie wyobrazić jakichś przodków i w ogóle jakiegoś związki tego chłopca jak słońce kroczącego ulicą. Prawie się zrównaliśmy i on, chociaż dostrzegł w moich oczach wszystko mówiący poploch, zmierzył mnie pogardliwie, lubieżnym i domyślnym spojrzaniem, dokładnie tak samo jak parę godzin temu mógł potraktować rozpaczliwie dobrze ubraną nimfomankę lub prostytutkę, która udawała przed nim damę. W przeciągu następnej sekundy, gdyby nasz kontakt trwał nadal, z pewnością usłyszałbym spoza tego słońca i piękna jakąś brudną odmianę: — Wiem, o co ci chodzi, kochany. — Czuję, że palą mnie policzki, serce mi kamienieje i trzepocze się, gdy go mijamem pośpiesznie, próbując usilnie patrzeć przed siebie. Marynarz zaskoczył mnie, gdyż właściwie wcale nie myślałem o nim, a raczej o liście w kieszeni, o Helli i o Giovannim. Przeszedłem na drugą stronę bulwaru i nie odważyłem się obejrzeć za siebie. Co on mógł we mnie dostrzec, że wywołało to natychmiast taką wzgardę? Byłem zbyt stary na to, by myśleć, że miało to związek z moim sposobem chodzenia czy też trzymania rąk albo z głosem, którego i tak przecież nie słyszał. To było coś innego, czego ja nigdy nie zobaczę. Nie ośmielię się tego zobaczyć. Byłoby to jak patrzenie na obnażone słońce. Gnając przed siebie i bojąc się teraz spojrzeć na kogokolwiek, na kobiety czy na mężczyzn mijających mnie na szerokim chodniku, uświadamiałem sobie, że marynarz mógł dostrzec w moim niebaczynym spojrzeniu zazdrość i pożądanie. Widywałem je często w oczach Jacquesa, i moja reakcja była wtedy identyczna jak marynarza. Gdybym jednak nadal był zdolny do odczuwania czułości, a on

dostrzegłby ją w moich oczach, nie zdałoby się to na nic, chłopców bowiem, na których oglądanie byłem skazany, obawiali się czułości jeszcze bardziej niż pożądania.

Szedłem stale przed siebie, dalej niż zamierzałem, gdyż nie miałem odwagi przystanąć, jak długo marynarz mógł mnie obserwować. W pobliżu rzeki, na rue des Pyramides, wstąpiłem do kafejki i przy stoliku rozpieczętowałem list od Helli.

Mon cher — pisała — *Hiszpania to mój ulubiony kraj mais ça n'empêche que Paris est toujours ma ville préférée. Tesknie do przebywania pośród tych wszystkich zwariowanych ludzi, którzy biegną do metra, wyskakując z autobusów, umykając przed motocyklami i tkwią w korkach ulicznych, podziwiają te wszystkie idiotyczne pomniki w tych wszystkich absurdalnych parkach. Jakże mi brak podejrzanym damulek z placu de la Concorde. Hiszpania jest całkiem, ale to całkiem inna. Frywolna nie jest w żadnym przypadku. Zdaje się, że mogłabym na zawsze pozostać w Hiszpanii — gdybym nie zobaczyła wcześniej Paryża. Hiszpania jest piękna, ryb, kastanietów i tamburynów — tak jest przy najmniej ze mną. Chcę wrócić do domu, do Paryża. Zabawne, nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że gdzieś jest mój dom.*

Nie przydarzyło mi się tu nic — przypuszczam, że to Cię ucieszy. Szczerze mówiąc, ja też się z tego cieszę. Hiszpanie są mili, ale też, oczywiście, w większości okropnie biedni, a ci, którzy biedni nie są, są po prostu nie do wytrzymania. Nie cierpię turystów, przeważnie angielskich i amerykańskich alkoholików, którym rodziny, mój drogi, opłacają pobyt za granicą. (Też bardzo chciałabym mieć rodzinę.) Teraz przebywam na Majorce i byłby to śliczny zakątek, gdyby utopił w morzu te wszystkie emerytowane wdowy i zabronił im popijania Marini Dry. Naprawdę, czegoś takiego nigdy w życiu nie widziałam. Jak te stare baby żłobią i robią stódkie oczy do każdego mężczyzny, w szczególności do takich kół osiemnastu lat — no, mówię sobie, Hella, kochana, obejrzyj to dokładnie. Być może jest to rzut oka na twoją przyszłość. Jedyna trudność polega na tym, że zanadto się sama cenię. Zdecydowałam więc pozwolić nam obojgu spróbować tego, to znaczy kochania mnie, zobaczymy, co z tego wyjdzie. (Od kiedy

powzięłam to postanowienie, czuję się wspaniale i mam nadzieję, że Ty będziesz czuć się podobnie, drogi rycerzu w zbroi od Gim-belsa.)

Datam się namówić pewnej angielskiej rodzinie, którą poznałam w Barcelonie, na nudną wyprawę do Sewilli. Oni uwielbiają Hiszpanię i koniecznie chcą mnie zabrać na walkę byków — przez cały czas mojego tutaj pobytu jeszcze tego nie widziałam. Są naprawdę sympatyczni, on jest kimś w rodzaju poety w BBC, a ona dzielna i kochająca małżonka. Bardzo sympatyczni, naprawdę. Mają posrzelonego synalka, który sobie ubzdurzał, że się we mnie zakochał — ale jest zbyt angielski i o wiele, wiele za młody. A więc jutro wyjeżdżamy na dziesięć dni. Oni wracają następnie do Anglii, a ja do Ciebie!

Złożyłem list i uświadomiłem sobie, że czekałem na niego od wielu dni i nocy. Podszedł kelner i spytał, co ma podać. Miałem zamiar zamówić aperitif, ale teraz, w nastroju groteskowego świętowania, zamówiłem whisky z wodą sodową. Popijając trunk, który nigdy nie wydał mi się tak amerykański jak teraz, gapłem się na pozbawiony sensu Paryż, gdzie pod palącym słońcem panował taki sam rozgardiasz jak w moim sercu. Zastanawiałem się, co teraz uczynię.

Trudno powiedzieć, abym się bał. W każdym bądź razie nie czułem strachu. Słyszałem kiedyś, że ludzie, których dosięgła kula, także niczego na początku nie czują. Odczuwałem pewną ulgę. Wydawało mi się, że konieczność podjęcia decyzji wyjęto mi z rąk. Obaj, Giovanni i ja, zawsze zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza idylla nie może trwać wiecznie. Poza tym nie można mi było zarzucić, że coś przed nim przemilczałem — wiedział wszystko o Helli. Wiedział, że pewnego dnia Hella wróci do Paryża. Teraz wraca, więc historia z Giovannim musi się zakończyć. Będzie czymś, co przydarzyło mi się raz — czymś, co się raz przydarza wielu mężczyznom. Zapłaciłem za whisky, podniosłem się z krzesła i poszedłem wzdłuż rzeki w stronę Montparnasse.

Znajdowałem się w podniosłym nastroju — mimo to krocząc bulwarem Raspail w stronę kawiarni na Montparnasse nie mogłem zapomnieć, jak spacerowałem tędy z Hella, jak spa-

cerowalem tędy z Giovannim. Z każdym krokiem obraz, który stawał mi wciąż przed oczami, nie był jej obrazem, lecz jego. Jak on zarcaguje na tę nowinę? Nie będzie mi chyba robić żadnych scen, ale batem się tego, co zobaczę w jego twarzy. Batem się widoku bólu na niej. Nie był to jednak mój prawdziwy strach. Prawdziwy strach skryty był głęboko i gnał mnie na Montparnasse. Chciałem znaleźć jakąś dziewczynę, jakąkolwiek dziewczynę.

Taraszy kawiarniane wydały mi się jednak dziwacznie puste. Szedłem wolno, to po prawej, to po lewej stronie ulicy, popatrując na stoliki. Rozglądałem się za znajomymi. Daremnie. Zaszedłem aż do Closserie des Lilas, usiadłem samotnie i popijając powoli przeczytałem oba listy. Najchętniej odnalazłbym Giovanniego natychmiast i powiedziałbym, że go opuszczam. Lecz wiedziałem, że jeszcze nie otworzył baru i w tej chwili mógł się znajdować gdzieś w mieście. Wracając samotnie bulwarem zauważyłem dwie dziewczyny, francuskie kurewki, nieszczególnie atrakcyjne. „To” powinno być już coś lepszego, pomyślałem sobie. Zaszedłem do Sélect, obserwowałem przechodniów i piłem. Przez długi czas nie pojawił się na bulwarze nikt, kogo znałem.

Osoba, która się wreszcie ukazała i której nie znałem zbyt dobrze, była dziewczyna imieniem Sue, krągłutka blondyna, dość brzydka, choć w typie tych dziewczyn, które wybierano co roku jako „Miss Złota Renu”. Miała kręcone, bardzo krótko ostrzyżone blond włosy, drobne piersi i wielki tyłek; stale też nosiła obcisłe dzinsy, chcąc niewątpliwie pokazać światu, że nie przykłada żadnej wagi ani do wyglądu zewnętrznego, ani do zmysłowości. Wydaje mi się, że pochodziła z Filadelfii i że jej rodzina była bardzo bogata. Czasami przeklinała po pijanemu swych krewnych, a czasami — pijana na inny sposób — wychwalała pod niebiosa ich zalety: oszczędność i wietność. Jak tylko się pojawiła, zacząłem ją od razu w myślach rozbić.

— Siadaj — rzekłem. — Napij się czegoś.

— Ach, jak to fajnie, że cię widzę — zawołała, usiadła i rozejrzała się w poszukiwaniu kelnera. — Zniknąłeś z pola widzenia, jakbyś się zapadł pod ziemię. Jak leci? — Zrezygno-

wała z wypatrywania kelnera i zwróciła się w moją stronę z przyjaznym uśmiechem.

— W porządku — odpartem. — A tobie?

— Ach, mnie? Mnie się nigdy nie szczególnie nie przydarza. — Kaciki jej drapieżnych, a jednocześnie wrażliwych ust opuściły się na znak, że mówi pół żartem, pół serio. — Jestem jak mur z cegieł i kamieni. — Roześmieliśmy się oboje. Zerknęła na mnie. — Słyszałam, że mieszkasz teraz daleko, na końcu Parryża, w okolicy zoo?

— Znalazłem tam służbówkę, bardzo tanją.

— Mieszkasz sam?

Czy wie coś o Giovannim? Poczulem, że na czoło występują mi krople potu.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedziałem.

— Coś w tym rodzaju? Cóż to do licha znaczy? Chyba nie mieszkasz z matką?

Uśmiechnąłem się. — Nie. Właściwie to pokój należy do jednego znajomego, Francuza, który głównie mieszka u swojej dziewczyny. Ale często się sprzecząją, a ponieważ to w gruncie rzeczy jego pokój, więc kiedy ona go wyrzuca, on mieszka ze mną przez parę dni.

— Ach! — westchnęła. — *Chagrin d'amour*.

— On się tym nie przejmuje — powiedziałem. — Uważa miłośność za coś wspaniałego. — Spojrzałem na nią. — A ty?

— Mury z kamienia są nie do zdobycia — stwierdziła.

Podszedł do nas kelner. Zdobyłem się na odwagę: — Czy to nie zależy od rodzaju broni?

— Postawisz mi coś do picia? — spytała.

— A co chcesz? — Uśmiechnęliśmy się oboje. Kelner stał nad nami demonstrując rodzaj grubiańskiego *jote de vivre*.

— Wezmę... — powieki jej błękitnych oczu zatrzepotały — *un ricard*. Z móstwem lodu!

— *Deux ricards* — rzuciłem kelnerowi — *avec beaucoup de la glace*.

— *Oui, monsieur*. — Byłem pewien, że nami pogardza. Pomyślałem o Giovannim i o tym, jak często każdego wieczoru jego wargi wypowiadają formułkę: „*Oui, monsieur*”. Wraz z tą

przelotną myślą pojawiła się inna, równie przelotna: nowe zrozumienie Giovanniego, jego życia osobistego i cierpienia, i wspaniałego, co zbierało w nim jak powódź, gdy leżeliśmy nocą obok siebie.

— Wracajmy jednak do tematu — zwróciłem się ponownie do Sue.

— Do jakiego tematu? — Otworzyła szeroko oczy udając, że nie rozumie. — O czym to rozmawialiśmy? — Próbowwała być kokieteryjna i jednocześnie rzeczowa. Poczulem, że postępuję bardzo okrutnie, a mimo to nie mogłem przestać.

— Mówiliśmy o kamiennych murach i o tym, jak je pokonać. — Nie wiedziałam — uśmiechnęła się afektownie — że interesujesz się murami z kamienia.

— Wielu rzeczy o mnie nie wiesz. — Kelner przyniósł nasze napoje. — Nie uważasz, że odkrycia są zabawne?

Wpatrywała się w swój kieliszek z niezadowolaniem.

— Szerze mówiąc, nie — odparła, zwracając się ponownie do mnie.

— Jesteś stanowczo za młoda, żeby tak mówić — zaprotestowałem. — W s z y s t k o powinno być odkryciem.

Milczała przez chwilę popijając trunk.

— Wiesz — rzekła w końcu — zrobiłam już wszystkie odkrycia, które potrafię znieść. — Zauważyłem, że jej uda napięty tkaninę dżinsów.

— Nie możesz przecież wiecznie pozostawać murem z kamienia.

— Dlaczego by nie? A zresztą jak to zmienić?

— Postuchaj, moja słodka. Coś ci zaproponuję — rzekłem.

Podniosła kieliszek i pociągnęła łyczek, spoglądając nadal w kierunku bulwaru.

— Co to za propozycja?

— Zaproś mnie na drinka. *Chez toi.*

Odwróciła się w moją stronę.

— Nie jestem pewna, czy mam coś do picia w domu.

— Możemy coś kupić po drodze — zauważyłem.

Patrzyła na mnie dłuższy czas. Zmusiłem się, aby wytrzymać jej spojrzenie.

— Jestem przekonana, że nie powinnam tego robić — mrugnęła wreszcie.

— Dlaczego nie?

Poruszyła się lekko, bezradnie w plecionym fotelu.

— Nie wiem. Nie wiem, do czego zmierzasz.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Zaproś mnie do siebie na drinka, to się przekonasz.

— Jesteś niemożliwy — odparła i po raz pierwszy pojawiło się coś szczerzego w jej oczach i głosie.

— To nie ja, to ty. — Spojrzałem na nią z uśmiechem, który, jak miałem nadzieję, był chłপিący i natarczywy zarazem. —

Cóż takiego niemożliwego powiedziałam? Wyłożyłem karty na stół. To ty swoje chowasz. Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że mężczyzna jest niemożliwy, jeśli wyznaje, że mu się podobasz.

— Och, daj spokój — powiedziała i dopłała drinka. — To tylko gorące letnie słońce tak na ciebie działo.

— Słońce nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. — A kiedy ciągle się jeszcze wahała, dodałem desperacko: — Musisz tylko zdecydować, gdzie będziemy dalej pić, tu, czy u ciebie.

Pstryknęła nagle palcami, ale nie udało jej się wyglądać bez-trosko.

— No to chodź — zdecydowała — na pewno będę tego żałować. Ale w domu nie mam naprawdę nic do picia. Musisz naprawdę coś kupić. W ten sposób — dodała po chwili — będę pewna, że odniosę z tego jakąś korzyść.

To ja teraz miałem straszne opory. Aby uniknąć spojrzenia Sue, urządziłem wielką scenę przywoływania kelnera. Podszedł, grubiański jak zawsze, zapłaciłem, wstaliśmy i poszliśmy na rue des Sèvres, gdzie Sue miała maleńkie mieszkanie.

Mieszkanie było ciemne i zastawione gratami.

— Nie są to moje rzeczy — wyjaśniła. — Wszystko należy do starszej francuskiej damy, od której wynajęłam to mieszkanie i która leczy nerwy w Monte Carlo. — Sue była także bardzo zdenerwowana i doszedłem do wniosku, że ta jej nerwowość może mi przez krótki czas nawet pomóc. Zakupioną butelkę koniaku postawiłem na marmurowym blacie stołu i wzięłam Sue w ramiona. Nie wiadomo, dlaczego uprzytomniłem sobie, że

minęła już siódma, że słońce zniknie z rzeki i zaraz zacznie zapadać paryska noc, a Giovanni jest teraz w pracy.

Dziewczyna była wielka, miała też w sobie niepokojącą płynność, jednakże bez wylewności. Czulem jej opór, napięcie, poważną nieulność, wywołaną przez zbyt wielu mężczyzn podobnych do mnie i dlatego nie do przezwyciężenia. To, do czego mieliśmy przystąpić, nie zapowiadało się miło.

I jakby to czując wysunęła się z moich objęć.

— Napijmy się — zaproponowała. — Naturalnie, jeśli masz czas. Nie chciałabym cię zatrzymywać dłużej niż to absolutnie konieczne.

Uśmiechnęła się i ja się uśmiechnąłem. W tym momencie byliśmy sobie bliscy jak nigdy, niczym dwaj złodzieje.

— Wypijmy parę kieliszków — powiedziałam.

— Tylko nie za dużo. — Sue uśmiechnęła się afektownie i sugestywnie jak podpadła gwiazda ekranu, która po długim okresie zaćmienia, znów staje przed bezlitosną kamerą.

Pochwyciła butelkę i pobiegła do małej kuchenki.

— Rozgość się! — zawołała w moim kierunku. — Ściągnij buty. I skarpetki. Obejrzyj sobie książki. Co bym zrobiła, pytam sama siebie nieraz, gdyby na świecie nie było wcale książek.

Zzulem buty i wyciągnąłem się na kanapie. Starąłem się nie myśleć, a jednak pomyślałem, że to, co robiłem z Giovannim, w żadnym wypadku nie było bardziej niemoralne od tego, co za chwilę zrobię z Sue.

Wróciła z dwoma wielkimi baniastymi kieliszkami i usiadła tuż przy mnie na kanapie. Stuknęliśmy się. Upiiliśmy trochę kołnaku, a ona przez cały czas nie odwróciła spojrzenia ode mnie. Dotknąłem jej piersi. Rozchyliła wargi. Odstawiwszy strasznie niezgrabnie kieliszek, położyła się przy mnie. Był to gest rozpaczy i zdałem sobie sprawę, że się oddaje nie mnie, tylko kochankowi, który nigdy się nie zjawi.

— A ja — ja myślałem o różnych rzeczach leżąc z Sue w ciemnościach. Zadawałem sobie na przykład pytanie, czy zrobiła coś, żeby nie zająć w ciąży, i myśli o dziecku Sue i moim, o tym, że wpadnę w pułapkę właśnie przez ten akt, który miał, że tak powiem, oznaczać próbę ucieczki, niemal doprowadziła mnie

do pijackiego paroksyzmu śmiechu. Zadawałem sobie dalej pytanie, czy Sue przypadkiem nie rzuciła dzinsów na papierosa, którego akurat paliła, czy ktoś jeszcze nie ma kluczy do tego mieszkania, czy sąsiedzi mogą nas przez cienką ścianę słyszeć i jak bardzo będziemy się za parę chwil nienawidzić. Zabrałem się do Sue jak do roboty, którą w jakiś specjalny sposób muszę wykonać. Gdzieś w głębi duszy pojawiła się świadomość, że wyrażam jej coś okropnego, i stało się dla mnie sprawą honoru uczynić wszystko, aby ten fakt nie był widoczny. Poprzez tę straszną grę miłosną starałem się dać do zrozumienia, że to nie nią się brzydzę, nie jej ciała — to nie jej nie będę mógł spojrzeć prosto w oczy, gdy już wstaniemy z kanapy. I znów na dnie jednostwa uprzytomniłem sobie, że moje obawy są przesadne i bezpodstawne, że są w ciekawie kłamstwem. Z każdą chwilą stawało się jasne, że to, czego się obawiałem, nie ma nic wspólnego z moim ciałem. Sue to nie była Hella i nie uśmierzyła mojego strachu przed tym, co się stanie, gdy Hella przyjdzie: ona go wznagała, czyniła bardziej realnym. Jednocześnie stwierdziłem, że moje zabiegi wobec Sue były więcej niż skuteczne, i postanowiłem nie robić jej wyrzutów, że odczuwa tak niewiele z tego, co czuję ja. Przebijałem się przez sieć okrzyków Sue i tłuczenia pięściami w moje plecy jak w tam-tam, odgadując z jej ud, jej nóg, jak szybko mogę być wolny. Już niedługo będzie koniec, pomyślałem, a tymczasem jęki Sue stawały się jeszcze głośniejsze, jeszcze bardziej przykre dla ucha. Czulem ból w krzyżu, czulem zimny pot na plecach, pomyślałem: No, niechże już ma. Na Boga, skończ to wreszcie. Potem tak się stało, nie nawiązałem jej i siebie; potem to się skończyło i ponownie wdał się w moją świadomość ciemny maty pokoik. Pragnąłem tylko wyjść ślad.

Leżała długi czas w milczeniu. Czulem wieczór na dworze, słyszałem jego zew. Podniosłem się wreszcie i sięgnąłem po papierosa.

— Może powinniśmy dopić nasz koniak — rzekła Sue.

Usiadła i zapaliła lampkę przy kanapie. Tej chwili właśnie się obawiałem. Niczego jednak nie ujrziała w moich oczach — pa-

trzymała na mnie, jakbym przyjechał z daleka na białym rumaku, aby wyzwolić ją z więzienia. Uniosła Kieliszek.

— *À la votre!* — rzekłem.

— *À la votre?* — Parsknęła śmiechem. — *À la tiemme, chériel* — Nachyliła się i pocałowała mnie w usta. Naraz jakby coś wyczuła, wyprostowała się i wpatrzyła we mnie, w jej oczach jeszcze nie było napięcia, gdy spytała lekkim tonem: — Myślisz, że mogliśmy to jeszcze kiedyś powtórzyć?

— Dlaczego by nie? — odpartem, próbując się zaśmiać. — Nosimy przecież naszą broń stale przy sobie.

Umilkła. Następnie spytała:

— Czy masz ochotę na wspólną kolację dziś wieczorem?

— Bardzo mi przykro, Sue, naprawdę mi przykro, ale jestem już umówiony.

— Ach! To może jutro?

— Wiesz, Sue, nienawidzę umawiania się. Zrobię ci kiedyś niespodziankę.

— Wątpię. — Wypiła koniak. Wstała i odeszła ode mnie. — Włóż coś na siebie i wyjdziemy razem, dobrze?

Zniknęła i usłyszałem szum wody. Siedząc nago, tylko w skarpetkach, natąłem sobie jeszcze jeden koniak. Teraz bałem się wyjść w ten wieczór, który przed paroma minutami zdawał się mnie przywoływać.

Gdy powróciła, miała na sobie sukienkę i jakieś normalne buty, a włosy chyba nawet utapirowała. Muszę przyznać, że wyglądała teraz lepiej, bardziej jak dziewczyna, jak uczennica. Wstałem i zacząłem się ubierać.

— Ładnie wyglądasz — zauważyłem.

Miała mi mnóstwo do powiedzenia, ale zmusiła się do milczenia. Z trudnością przychodziło mi obserwować walkę tocząca się na jej twarzy. Tak mnie to zawstydzano.

— Być może znów kiedyś poczujesz się samotny — wydukała wreszcie. — Nie będę, jak sądzę, miała nic przeciwko temu, jeśli mnie odwiedzisz. — Jej uśmiech był najdziwniejszy ze wszystkich, jakie widziałem. Był bolesny i mściwy, i upokorzony, ale pokryła nieporadnie ten grymas promienną dziewczęcą wesołością, tak sztywną jak szkielet pod jej zwiolczatym ciałem. Gdy-

by los zetknął mnie ponownie z Sue, mogłaby mnie chyba zabić z podobnym uśmiechem.

— Postaw zapaloną świecę w oknie — powiedziałem. Otworzyła drzwi i wyszliśmy na miasto.

ROZDZIAŁ TRZECI

Pożegnałem się z nią na najbliższym rogu, mamrocząc jakiś sztabacki wykręt, i odprowadzałem wzrokiem jej flegmatyczną postać, kiedy przechodziła przez bulwar w kierunku kawiarni.

Nie miałem pojęcia, co z sobą począć i dokąd pójść. Powłokłem się wreszcie wzdłuż rzeki w stronę domu.

Po raz pierwszy w życiu śmierć pojawiła mi się wtedy jako rzeczywistość. Myślałem o tych wszystkich ludziach, którzy wcześniej wpatrywali się w rzekę i znaleźli w niej wieczny spoczynek. Rozmyślałem o nich. Byłem ciekaw, jak to zrobili, ten fizyczny akt. Myślałem o samobójstwie, kiedy byłem bardzo młody — chyba wszyscy kiedyś o tym myśleliśmy — lecz wtedy chodziłoby o zemstę, o swoistą formę zakomunikowania światu, o jakie okrutne przyprawił mnie cierpienia. Ale cisza tego wieczoru w drodze do domu nie miała nic wspólnego z dawnym szaleństwem, z chłopcem z tamtych lat. Rozmyślałem po prostu o zmarłych, ponieważ ich życie dobiegło już końca, a ja nie wiedziałem, jak przejść przez swoje.

Paryż, miasto tak przeze mnie kochane, był absolutnie cichy. Ulice zdawały się opustoszałe, mimo wczesnego wieczoru. A jednak pode mną, na brzegu rzeki, pod mostami, w cieniu murów mogłem niemal usłyszeć jakby zespółowe drżące westchnienie — tam w dole znajdowali się kochankowie i ludzkie wraki, śpiący, obejmujący się, kopulujący, pijący czy patrzący w zapadającą noc. Za ścianami domów, które mijałem, Francuzi sprząkali ze stołów, kładli małego Jean-Pierre'a czy matką Marie do łóżeczka, krzywili się z powodu wiecznych kłopotów z pieniędzmi, firmą, Kościołem czy niestabilnym państwem. Mury i żaluzje ograniczały ich i chroniły przed ciemnościami, przed długim jękiem tej długiej nocy. Za dziesięć lat maty Jean-Pierre lub Marie może

stać będą nad rzeką i zastanawiać się, jak ja teraz, w jaki sposób wypadli z pajęczyny bezpieczeństwa. Jakże długą drogę przeszedłem, aby zostać zniszczonym, pomyślałem.

Tak, to prawda, chcę mieć dzieci, przypomniałem sobie, odwracając się od rzeki i skręcając w długą ulicę, w stronę domu. Chcę znów być we wnętrzu ze światłem i bezpieczeństwem, z niekwestionowaną męskością, chcę widzieć, jak żona układa do snu moje dzieci. Co noc chcę spać w tym samym łóżku, w tych samych ramionach, chcę wstawać rano i wiedzieć, gdzie się znajdują. Chcę kobiety będącej dla mnie oparciem, czymś w rodzaju ziemi, z której mógłbym się stać na nowo odradzać. Tak było już kiedyś, tak prawie było. Mógłbym sprawić to znów, mógłbym uczynić realnym. Wymaga to tylko krótkiego, zdecydowanego wysiłku z mojej strony, aby na powrót stać się sobą.

Idąc korytarzem dostrzegłem smugę światła pod naszymi drzwiami. Zanim zdążyłem włożyć klucz do zamka, drzwi otworzyły się od środka. Przede mną stał Giovanni z włosami opadającymi na oczy, roześmiany. W rękę trzymał kieliszek koniaku. Zaskoczyła mnie najpierw wesołość, jak mi się wydawało, jego twarzy. Po chwili jednak zrozumiałem, że to nie wesołość, tylko histeria i rozpacz.

Chciałem zapytać, co robi o tej porze w domu, gdy obiał mnie mocno jedną ręką za szyję i wciągnął do pokoju. Cały dygotał.

— Gdzie się podziewałeś? — krzyknął. Spojrzałem mu w oczy i uwolniłem się z uścisku. — Wszędzie cię szukałem!

— Nie poszedłeś do pracy?

— Nie — odparł. — Napij się. Kupiłem butelkę koniaku, żeby oblać moją wolność. — Nalał mi do kieliszka. Miałem wrażenie, że nie zdołał się poruszyć. Zbliżył się znów i wcisnął mi kieliszek do ręki.

— Giovanni, co się stało?

Nie odpowiedział. Nagle przysiadł skulony na brzegu łóżka.

Dostrzegłem wredy, że miota nim też wściekłość.

— *Ils sont sales, les gens, tu sais?* — Spojrzał na mnie oczami pełnymi łez. — Ludzie to świnie. Wszyscy. Podli, tani, plugawci. — Pociągnął mnic do siebie na podłogę. — Wszyscy poza tobą. *Tous, sauf toi.* — Ujął w dłoń moją twarz, ale ten czu-

ty gest chyba nigdy nie wywołał we mnie przerażenia takiego jak teraz. — *Ne me laisse pas tomber, je t'en prie* — szeptał i pocałował mnie z dziwną natarczywą delikatnością w usta. Dotknęcie Giovanniego wzbudziło we mnie jak zawsze porządanie, a jednocześnie jego gorący, słodki oddech przyprawił mnie o mdłości. Najostrożniej, jak umiałem, oswobodziłem się i wypłem tyk koniak.

— Proszę, powiedz mi, co się stało? O co chodzi, Giovanni? — Wyrzucił mnie z pracy — rzekł. — Guillaume. *Il m'a mis à la porte.* — Roześmiał się, wstał i zaczął krążyć po małym pokoiku. — Zabronił mi się pokazywać w barze. Nazwał gangsterem, złodziejem, podłym ulicznikiem, który tylko dlatego na niego poleciał, ja miałem polecieć na niego, bo zamierzał go którejś nocy okraść. *Après l'amour. Merde!* — Roześmiał się ponownie.

Zaniemówiłem. Poczulem, że ściany pokoju zasklepiają się nade mną.

Giovanni stał przed zamalowaną szybą, odwrócony do mnie plecami.

— Powiedział to wszystko przy ludziach, na dole w barze. Odczekał, aż przyjdzie wiele osób. Miałem ochotę go zabić. Miałem ochotę ich wszystkich pozabijać.

Wrócił na środek pokoju i nalał sobie następny koniak. Wypit jednym haustem, potem wziął kieliszek i z całej siły cisnął go o ścianę. Brzęknięto szkło i rozsypano się na tysiąc kawałeczków po naszym łóżku, po całej podłodze. Przez chwilę stałem jak wryty, a potem złapałem Giovanniego mając przy tym wrażenie, że nogi tamuje mi woda, choć dostrzegałem swoje szybkie ruchy. Schwyciłem go za ramiona. Rozplakał się. Trzymałem go, podczas gdy jego udręka przenikała do mnie jak kwaśny zapach jego potu, gdy serce ścisnęło mi się z żalu, i pytałem się równocześnie w duchu, z niechętną, niedowierzającą wzgardą, dlaczego uważałem Giovanniego za silnego.

Uwolnił się ode mnie, siadł pod ścianą, z której zerwana była tapeta. Usiadłem naprzeciwko.

— Przeszedłem o normalnej porze — rzekł. — Czulem się dzisiaj bardzo dobrze. Jego jeszcze nie było w barze, więc za-

brałem się do sprzątanania, wypłem coś i przegrzyłem. Kiedy przyszedł, natychmiast zauważyłem, że jest w niebezpiecznym nastroju, być może upokorzył go właśnie któryś z jego chłopców. Zabawne — uśmiechnął się — widać po nim od razu, że jest w niebezpiecznym nastroju, gdyż zachowuje się wtedy niezwykle godnie. Jeśli przydarzy się coś, co go upokorzy, co mu uświadomi, choćby przez chwilę, jak jest wstrętny i jak samotny, wtedy przypomina sobie, że należy do jednej z najznamienitszych i najstarszych rodzin we Francji. Uświadamia sobie wtedy chyba, że jego nazwisko zginie wraz z nim. Musi więc coś szybko zrobić, aby opędzić się od tej myśli. Musi narobić hałasu albo poderwać bar d z o ładnego chłopca, albo się upić, wszcząć kłótnię czy obejrzeć swoje plugawe obrazy. — Giovanni przerwał, poderwał się i zaczął znowu chodzić po pokoju. — Nie wiem, co mu się dzisiaj przydarzyło, ale jak się pojawił, to z początku zaczął grać szefa. Usiłował wytknąć mi jakiś błąd. Nie udało mu się jednak, więc poszedł na górę. Nieco później zawałał mnie do siebie. Nie znoszę chodzić do tego jego małego *przed-à-terre* nad barem. Zawsze pachnie to awanturą. Musiałem jednak pójść. Zastąpiłem go w szlafroku, oblanego perfumami. Na ten widok wstąpiła we mnie złość, sam nie wiem, dlaczego. Patrzył na mnie, jakby był Bóg wie jaką pięknością, a jest przecież cholernie brzydki, ma ciało jak zsiadłe mleko! Ni stąd, ni zowąd zapytał o ciebie. Normalnie nigdy nie wspomina o tobie, więc byłem trochę zaskoczony. Odpowiedziałem, że powodzi ci się nieźle. Spytał, czy nadal ze sobą żyjemy. Być może powinienem był skłamać, ale wydało mi się to tak żałosne okłamywać tę ohydłą ciotę, że odpartem: „*Bien sûr.*” Próbowałem zachować spokój. Zaczął wtedy zadawać mi okropne pytania, że robiło mi się niedobrze, jak na niego patrzyłem i słuchałem. Najlepiej będzie szybko to załatwić, pomyślałem, i rzekłem mu, że takich pytań nie zadaje nawet lekarz czy ksiądz i że powinien się wstydzić. Być może tylko na to czekał, bo wpadł w złość i zaczął mi wypominać, że zabrał mnie z ulicy, *et il a fait ceci et il a fait cela*, robił wszystko dla mnie, bo myślał, że jestem czarujący, *parce qu'il m'adorait*, że jestem niewdzięcznikiem, bez skrupulików i tak dalej, i tak dalej. Być może postąpiłem niewłaściwie,

bo jeszcze przed paroma miesiącami wiedziałbym, co zrobić, byłbym go skłonił do krzyczenia, zmusił, żeby mi całował stopy, *je te jure!*, ale teraz nie chciałem tego robić, nie chciałem naprawdę uciekać się do tych sztuczek. Próbowałem zachować powagę. Powiedziałem, że nigdy go nie okłamywałem i zawsze stawiąłem sprawę jasno, że nie chcę być jego kochankiem. Ze przyjął mnie do pracy mimo wszystko. Pracuję przecież ciężko, powiedziałem, postępuję z nim uczciwie i nie moja wina, że... nie czuję do niego tego, co on do mnie. Wtedy przypomniał mi, że kiedyś, jedyny raz... nie chciałem się zgodzić, ale prawie mdlałem z głodu i z trudem udawało mi się niewymiotować. Starałem się wciążyć zachować spokój i załatwić to należyście. Więc powiedziałem: „*Mais à ce moment là je n'avais pas un copain.*” Nie jestem już wolny, *je suis avec un gars maintenant*. Myślałem, że to zrozumie, tak przecież uwielbia romanse i marzenie o wierności. Ale nie, teraz się roześmiał i dodał jeszcze kilka brzydzych rzeczy o tobie: że jesteś jedynym z tych Amerykanów, którzy robią we Francji to, na co u siebie w domu nie mają odwagi, i że mnie i tak wkrótce opuścisz. Krew mnie wtedy zalała i wrzasnąłem, że przecież nie płaci mi za słuchanie takich insynuacji. Akurat ktoś wszedł do baru, więc bez słowa się odwróciłem i szedłem na dół.

Zatrzymał się przede mną.

— Możesz nalać mi trochę koniaku? — spytał z uśmiechem. — Tym razem już nie sztukę kieliszka.

Podatłem mu swój kieliszek. Wypił i oddał mi go, obserwując moją twarz.

— Nie obawiaj się — rzekł. — Wszystko nam pójdzie dobrze. Ja się nie boję. — Żrenice mu pociemniały i ponownie odwrócił się w stronę okna. — Miałem nadzieję — kontynuował swoją opowieść — że się na tym skończy. Pracowałem w barze i usiłowałem nie myśleć o nim, ani o tym, co myśli i co porabia na górze. Była pora aperitif i zdajesz sobie sprawę, ile miałem roboty. Nagle trzasnęły drzwi na górze i jak tylko to usłyszałem, wiedziałem, że wydarzyła się rzecz straszna. Zszedł do baru, ubrany teraz nienagannie, jak francuski biznesmen, i skierował się prosto w moją stronę. Nikogo nie pozdrowił, był bładny jak

kręda i wzburzony, co oczywiście wywołało ogólne zainteresowanie. Każdy wyczekiwał, co Guillaume zrobi. Pomyslałem, muszę przyznać, że chce mnie uderzyć, a może postradał zmysły i ma w kieszeni pistolet. Zrozumią, było po mnie widać, że się boję, co nie poprawiło sytuacji. Wszedł za bar, nazwał mnie głośno dzidzią i złodziejem i kazał się natychmiast wynosić, bo w przeciwnym przypadku wezwie policję i wsadzi mnie za kratki. Byłem tak oszołomiony, że nie mogłem wykrztusić ani słowa, on zaś krzyczał coraz głośniej, a wszyscy się zaczęli przysłuchiwać. Nagle, *mon cher*, poczułem, że lecę, że spadam z jakiegoś wspaniałego wysokiego miejsca. Przez dłuższą chwilę nie mogłem się nawet rozłożyć i czułem, że tży palą mnie jak ogień. Nie mogłem złapać tchu, nie mogłem u w i e r z y ć, że zrobił mi to naprawdę. Powtarzałem tylko: „Co ja takiego z r o b i ł e m, co?” Nie odpowiedział, wykrzyknął tylko gromkim głosem, a za-brzmiało to jak huk wystrzału: „*Mais tu le sais, salop! Wiesz do-brze!*” Nikt się nie orientował, o co mu chodzi, ale było do-kładnie tak, jakbyśmy wrócili znów do westybulu, gdzie się poznaliśmy, przypominasz sobie? Każdy był przekonany, że Guillaume ma rację, a ja nie, że zrobiłem coś okropnego. Pod-szedł do kasy, wyjął pieniądze, o tej porze nie było ich wiele, wiedział o tym równie dobrze jak ja, i rzucił mi je. „Weź je — rzekł — weź! Lepiej ci je dam, niż żebyś mi je miał ukraść w no-cy! A teraz wynoś się!” Wyobrażasz sobie te miny w barze, takie mądre i tragiczne. Wszyscy pomyśleli, że t e r a z wiedzą wszy-stko, że zawsze byli o tym przekonani, i są zadowoleni, że nigdy ich nie ze mną nie łączyło. Ach, *les encaules!* Skurwysyny! *Les gonzesses!* — Znowu zapłakał, tym razem ze złości. — Na koniec rzuciłem się na niego, pochwytyło mnie jednak wiele rąk, a co potem się stało, nie pamiętam. Przypominam sobie tylko, że znalazłem się na ulicy z podartymi banknotami w ręku i że lu-dzie mi się przyglądali. Nie wiedziałem, co począć. Poddawać się bez walki nie miałem ochoty. Z drugiej strony wiedziałem, że Guillaume zawoła policję i każe mnie zamknąć w więzieniu, jeśli sobie nie pójdę. Ale ja go jeszcze kiedyś spotkam, przy-sięgam, a wtedy...

Giovanni przerwał. Usiadł i wpatrywał się w ścianę. W końcu odwrócił się do mnie w milczeniu.

— Gdyby cię tu nie było — rzekł po chwili bardzo wolno — to byłby koniec z Giovannim.

Podniosłem się.

— Nie wylęknij się — powiedziałem. — Nie jest to znowu taka wielka tragedia. — Zrobiłem przerwę. — Guillaume jest wredny, wszyscy oni tacy są, ale przydarzyły ci się już w życiu gorsze rzeczy, prawda?

— Możliwe, że każde zło, które na ciebie spadnie, osłabia cię — mówił dalej Giovanni, jakby mnie nie słyszał. — Dlatego za każdym razem stajesz się coraz mniej wytrzymały. — Pod-niosł wzrok na mnie. — Tak. Najgorsza rzecz przydarzyła mi się dawno temu i odtąd moje życie jest okropne. Nie opuścisz mnie, prawda?

— Oczywiście że nie. — Roześmiałem się i zacząłem strzępy-wać z koca na podłogę odłamki szkła.

— Nie mam pojęcia, co bym zrobił, gdybyś mnie opuścił. — Po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie cień groźby, a może tylko tak mi się wydawało. — Wierz mi, tak długo byłem sa-motny, że nie potrafiłbym dalej żyć, gdybym znów został sam.

— Nie jesteś teraz sam — zaprzeczyłem, a ponieważ nie mógł-bym w tym momencie wytrzymać jego dotyku, zaproponowałem nerwowo: — Może pójdziemy na spacer? Wyjdźmy stąd choćby na parę minut. — Uśmiechnąłem się i dałem mu kusańca w kark, jak to robią futboliści. Chciał mnie objąć, ale odsunąłem go od siebie. — Zapraszam cię na drinka.

— Wrócisz potem ze mną do domu? — spytał.

— Tak, wrócę potem z tobą do domu.

— *Je t'aime, tu sais?*

— *Je le sais, mon vieux.*

Podszedł do zlewu. Obmył twarz i przyczesał włosy. Obser-wowałem go. Uśmiechnął się do mnie w lustrze, robiąc naraz wrażenie pięknego i szczęśliwego. I młodego — nigdy w życiu nie czułem się tak bezradnie i staro jak wtedy.

— Damy sobie radę! — zawołał. — *N'est-ce pas?*

— Pewnie — odpartem.

Odwrócić się od lustra. Miał teraz poważną minę.

— Wiesz, nie mam pojęcia, jak długo potrwa, zanim znajdę następną pracę. Nie mamy prawie żadnych pieniędzy. Jak stoisz z forszą? Czy przyszły dzisiaj dla ciebie pieniądze z Nowego Jorku?

— Nie, z Nowego Jorku nie przyszły żadne pieniądze — odpartem spokojnie. — Ale mam co nieco w kieszeni. — Wyjąłem wszystko na stół. — Około czterech tysięcy franków.

— A ja... — Giovanni pogrzebał w kieszeniach, rozsypując banknoty i monety. Wzruszył ramionami i rzucił mi ten swój wzruszający, bezradny i ogromnie słodki uśmiech. — *Jem'excuse*. Trochę się zdenerwowałem. — Ukłąkł, na czworakach zbierał pieniądze z podłogi i kładł je na stół obok moich. Prawie trzy tysiące franków w banknotach trzeba będzie posklejać, ale zostawiliśmy to na później. Reszta wyniosła około dziewięciu tysięcy franków.

— Nie jesteśmy bogaci — stwierdził markotnie — jutro jednak będziemy mieć co jeść.

Nie chciałem, żeby się martwił. Nie umiałbym znieść smutku na jego twarzy.

— Jutro znów napiszę do ojca — powiedziałem. — Wymyślę już jakieś kłamstwo, w które powinien uwierzyć. Zmuszę go, żeby wystął mi pieniądze. — Podszedłem do niego, jakby coś mnie ku niemu pchało, położyłem mu dłoń na ramionach i zmusiłem się, aby spojrzeć mu prosto w oczy. Uśmiechnąłem się i poczułem naprawdę w tym momencie, że Judasz i Zbawca spotkali się we mnie. — Bez obawy, nie martw się.

Stojąc blisko Giovanniego i czując potrzebę uchronienia go przed lękiem, uświadomiłem sobie też, że — ponownie — decyza wymyka mi się z rąk. Ani ojciec, ani Helia nie istnieli wiedzy dla mnie. Lecz nawet i to nie było tak realne jak moje rozpaczliwe poczucie, że nic nie jest dla mnie realne, że nic już nigdy dla mnie nie będzie realne, o ile to uczucie przegranej nie było rzeczywistością.

Topniały już godziny tej nocy i teraz z każdą odmierzaną przez zegar sekundą krew w głębi mego serca zaczęła wrzeć, kipieć. Wiedziałem, że niezależnie od moich wysiłków wkrótce zabije mnie w tym domu udręka, jak oczekujący na Giovanniego srebrny, nagi wielki nóż gilotyny. Moi kaci są tu wraz ze mną, chodzą krok w krok za mną, zmywają naczynia, pakują walizki, piją z mojej butelki. Są wszędzie, gdziekolwiek się zwrócę. Ściany, okna, lustra, woda, noc na dworze — są wszędzie. Mógłbym krzyzczeć — jak krzyczy zapewne w tej chwili Giovanni leżąc w swojej celi. Nikt jednak tego nie usłyszy. Mógłbym próbować tłumaczyć. Giovanni próbował. Mógłbym błagać o przebaczenie — gdybym potrafił nazwać i stawić czoło swojej zbrodni, gdyby było gdzieś coś lub ktoś, kto miałby moc przebaczenia. Nie. Byłoby lepiej, gdybym poczuł się winny. Koniec jednak niewinności jest jednocześnie końcem winy.

Niezależnie od tego, jak to teraz zabrzmi, muszę wreszcie wyznać: kochałem go. Nie sądzę, żebym kiedyś znowu kogoś tak bardzo pokochał. Mogłaby to być wielka ulga, gdybym nie wiedział też, że gdy spadnie gilotyna, Giovanni poczuje ulgę, o ile coś w ogóle poczuje.

Krążę po tym domu — krążę w jedną i drugą stronę. Myślę o więzieniu. Dawno temu, zanim poznałem Giovanniego, spotkałem na przyjęciu w domu Jacquesa człowieka, którego sławiono, ponieważ spędził połowę życia w więzieniu. Napisał potem książkę, która wcale nie przypadła do gustu władzom więziennym, ale za to otrzymała nagrodę literacką. Życie ten człowiek miał za sobą. Lubii mówić, że być w więzieniu, to znaczy po prostu nie żyć, dlatego też kara śmierci to jedyny miłosierny wyrok, który może wydać sąd. Przypominam sobie, iż wydawało mi się, że tak naprawdę to nigdy nie opuścił więzienia, gdyż żadna inna rzeczywistość dla niego nie istniała. Nie potrafił mówić o niczym innym. Wszystkie jego ruchy, nawet zapalanie papierosa, były ukradkowe: wszędzie, gdzie spoglądały jego oczy, wznosiły się mury. Jego twarz, kolor jego twarzy, kojarzyły mi się z ciemnością i wilgocią. Miałem wrażenie, że gdyby go przeciąć, miałby ciało gąbczaste jak grzyb. Opisywał nam z zapałem, ba, z nostalgią, zakratowane okna, zakratowane drzwi,

judasza, wartowników stojących w kręgu światła po obu końcach korytarza. Budynek więzienny jest trzypiętrowy i wszystkich skrawków światła, gdzie stoją strażnicy prawa. W powietrzu unosi się stale wspomnienie bębniących o metal pięści, możliwość tępego, głuchego tam-tamu jak możliwość obłędu. Wartownicy poruszają się, naradzają, chodzą po korytarzach, stąpają ciężko po schodach, w górę i w dół. Ubrani są na czarno, mają przy sobie broń, stale się boją i rzadko odważają się być uprzejmi. Na parterze, w centrum więzienia, w dużym, zimnym sercu więzienia, panuje ciągły ruch: funkcyjni więźniowie ciągną wózki, wchodzą i wychodzą z biura, zbiegają o przychylność wartowników, aby uzyskać specjalne przywileje — papierosy, alkohol czy miłość. Zapada noc, zewsząd dochodzą szepty i każdy już wie — tylko skąd? — że nazajutrz wcześniej rano śmierć nawiedzi więzienny dziedziniec. O świcie, zanim jeszcze funkcyjni zaczyną rozwozić korytarzami wielkie kotły z jedzeniem, trzej czarno odziani mężczyźni przejdą bezszeleśnie korytarzem, jeden z nich przekręci klucz w zamku. Pochwyćą kogoś i pędzą go korytarzem, najpierw do księdza, potem w kierunku drzwi, które otworzą się wyjącznie dla niego, pozwolą mu może na jeden rzut oka na poranek, zanim zostanie rzucony na deskę, a nóż gilotyny spadnie na jego kark.

Zastanawiam się, jak duża może być cęła Giovanniego. Większa niż ten pokój? Z całą pewnością zimniejsza. Zastanawiam się, czy siedzi w niej sam, czy z dwójką, trójką innych, czy gra w karty, pali papierosa, rozmawia, czy pisze może list — do kogóżby miał pisać? — czy też chodzi w kółko. Zastanawiam się, czy zdaje sobie sprawę, że zbliżający się poranek będzie ostatni w jego życiu. (Skazaniec bowiem tego zazwyczaj nie wie: prokurator informuje rodzinę lub przyjaciół, ale nie samego więźnia.) Ciekaw jestem, czy przykłada do tego wagę. Obojętnie, czy o tym wie, czy nie, przykłada wagę, czy nie, z pewnością się boi. Nieważne, czy jest w celi sam, czy z innymi więźniami, na pewno jest samotny. Próbuję go zobaczyć, jak stoi odwrócony plecami przy oknie celi. Stamtąd zapewne dostrzeża jedynie przeciwniegi skrzydło budynku, a może, jeśli stanie na palcach,

kawateczek ulicy ponad wysokim murem. Nie wiem, czy mu ostrzyżono włosy, czy też ma je długie — prawdopodobnie je jednak obcięto. Czy jest ogolony? Mnóstwo szczegółów, dowód i owoc poufności, cisnie mi się do głowy. Chciałbym na przykład wiedzieć, czy potrzebuje wyjść za potrzebą, czy dziś mógł coś zjeść, czy się poci, czy nie. Czy kochał się z kimś w więzieniu? Nagle coś mną wstrząsa, czuję się mocno wstrząśnięty i oschły, jak jakiś martwy przedmiot na pustyni, i wiem tylko jedno: mam nadzieję, że dzisiejszej nocy Giovanni znalazł schronienie w czyichś ramionach. Ja pragnąłbym, aby ktoś był tu ze mną. Kochałbym go, tego obcego, przez całą noc i przez całą noc cierpiałbym razem z Giovannim.

Wtedy, gdy Giovanni stracił pracę, mitrzyliśmy czas, tak jak mitrzęą czas skazani na śmierć alpinści zawieszeni na rwącej się linie nad przepaścią. Nie pisałem do ojca, odkładałem to z dnia na dzień. Byłoby to zbyt zdecydowany krok. Wiedziałem, jakie kłamstwo powinienem napisać, wiedziałem, że w nie uwiery — tylko nie byłem pewien, czy naprawdę będzie to kłamstwo. Przesiadaliśmy całymi dniami w pokoju i Giovanni zabrał się ponownie do remontu. Zamarzyła mu się biblioteka wmurowana w ścianę, więc zdarł tynk, a następnie zaczął wykuwać poszczególne cegły ze ściany. Była to ciężka, zwiariowana praca, ale nie miałem sił ani serca, aby go powstrzymać. Robił to w pewnym sensie dla mnie, żeby udowodnić mi swą miłość. Pragnął, żebym pozostał z him w tym pokoiku. Być może była to rozpacziwa próba własnoręcznego odsunięcia zagrażających nam ścian, jednakże bez ich zwalenia.

Teraz — teraz, rzecz jasna, widzę coś bardzo pięknego w tych dniach, które wtedy były taką męką. Odnosiłem wówczas wrażenie, że Giovanni ciągnie mnie ze sobą na dno morza. Nie mógł znaleźć żadnej pracy. Wiedziałem, że naprawdę to jej nie szukał, że nie mógł. Czut się, jakby go zbilo, i to tak, że spojrzenia ludzkie piekły go jak sól. Nie mógł znieść dłuższego przebywania z dala ode mnie. Byłem jedyną istotą na tym padole, która się o niego troszczyła, która wiedziała, jak on mówi i jak milczy, znała jego ramiona i nie miała w zanadrzu noża. Brzemień jego

zbawienia, jak się wydaje, złożono na mnie, a ja nie mogłem mu podobać.

Pieniądze też topniały — właściwie to znikaty szybko, a nie topniały. Giovanni starał się nie okazywać przerażenia, gdy pytał mnie każdego ranka:

— Idziesz dziś do American Express?

— Naturalnie — odpowiedziałem.

— Myślisz, że dziś już pieniądze będą?

— Nie mam pojęcia.

— Co oni robią w Nowym Jorku z twoją forszą?

Ciągle jeszcze nie mogłem działać. Poszedłem do Jacquesa i pożyczylem dalsze dziesięć tysięcy franków. Powiedziałem, że Giovanni i ja przeżywamy trudne chwile, ale że wszystko się wkrótce dobrze ułoży.

— To miło z jego strony — zauważył Giovanni.

— On niekiedy potrafi być bardzo miły.

Siedzieliśmy na tarasie w pobliżu Odeonu. Patrzyłem na Giovanniego i nagle przyszło mi na myśl, jak by to było dobrze, gdyby Jacques mnie od niego uwolnił.

— O czym myślisz? — spytał Giovanni.

Na moment zamartem i poczułem wyrzuty sumienia.

— Myślałem, że chętnie bym gdzieś wyjechał z Paryża — powiedziałem.

— Dokąd?

— Ach, nie wiem. Dokądkolwiek. Mam tego miasta po dziurki w nosie — wyznałem z porywcznością, która zaskoczyła nas obu. — Mam dość tej całej kupy starych kamieni i tych wszystkich cholernych zadowolonych z siebie ludzi. Niczego nie można tu dotknąć, bo zaraz się rozsypuje w rękę.

— To prawda — przytaknął Giovanni z powagą. Przyglądał mi się z okropną natarczowością. Zmusiłem się, aby odpowiedzieć mu uśmiechem.

— A ty? — spytałem. — Co powiedziałabyś na zmianę otoczenia?

— Ach! — Rozłożył ręce w geście udanej rezygnacji. — Z tobą poszedłbym na koniec świata, choć to miasto nie działa mi

na nerwy tak bardzo jak tobie ostatnimi czasy. Nigdy nie lubiłem specjalnie Paryża.

— Być może — rzekłem nie zastanawiając się nad tym, co mówię — powinniśmy pojechać na wieś. Albo do Hiszpanii.

— Aha — rzucił natychmiast lekkim tonem — tęsknisz do ukochoanej.

Wyczułem swoją winę, byłem poirytowany, a jednocześnie przepełniony miłością i bólem. Chciałem dać mu kopniaka, a jednocześnie wziąć go w ramiona.

— To jeszcze nie powód, żeby jechać akurat do Hiszpanii — odburknąłem. — Chciałbym ją zobaczyć, to wszystko. Paryż jest drogi.

— Dobrze — rzekł żywo — pojedźmy więc do Hiszpanii. Może mi przypomni Włochy.

— Wołałbyś pojechać do Włoch? Do domu?

Uśmiechnął się.

— Nie mam już tam domu. — Po chwili dodał: — Nie. Nie chcę jechać do Włoch, pewno z takich samych powodów, z jakich ty nie chcesz jechać do Stanów Zjednoczonych.

— Ja jednak wrócę do Stanów — powiedziałem szybko.

A gdy na mnie spojrział, wyjaśniłem: — Nie teraz, oczywiście, ale któregoś dnia wrócę tam na pewno.

— Pewnego dnia — mruknął. — Wszystko źle się skończy pewnego dnia.

— Dlaczego źle?

Uśmiechnął się. — Wracasz do domu i stwierdzasz, że dom nie jest już twoim domem. Znajdziesz się wtedy naprawdę w kłopotcie. Jak długo jesteś tutaj, możesz zawsze myśleć: kiedyś wrócę do domu. — Bawił się moim kciukiem. — *N'est-ce pas?*

— Niezwykle to logiczne — odpartem. — Czy ma to oznaczać, że mam tylko wtedy dom, gdy znajduję się z dala od niego?

— Roześmiał się.

— A czy tak nie jest? Dom ma się dopiero wtedy, gdy się go opuści, a gdy się go już opuści, nigdy się nie wraca.

— Wydaje mi się, że już kiedyś słyszałem tę śpiewkę.

— Ależ tak — wykrzyknął Giovanni. — I będziesz ją je-

szcze nieraz słyszeć. To jedna z tych, które zawsze gdzieś ktoś śpiewa.

Wstaliśmy i poszliśmy się przejść.

— A co by się stało — spytałem mimochodem — gdybym zatkał uszy?

Milczał przez chwilę, potem rzekł:

— Doprawdy, czasami przypominasz mi takiego człowieka, który pozwała się zamknąć w więzieniu, żeby nie wpaść pod sa-mochód.

— To pasuje bardziej do ciebie niż do mnie — powiedziałem ostro.

— Co masz na myśli?

— Myślę o twoim pokoju, o tej ohydnej norze. Dlaczego się w niej na tak długo zakopałeś?

— Zakopałem się? Przepraszam, *mon cher Américain*, ale Paryż to nie Nowy Jork. Tu nie ma pałaców dla chłopców takich jak ja. Uważasz, że powinienem raczej zamieszkać w Wersalu?

— Muszą przecież... muszą być inne pokoje.

— *Ça ne manque pas, les chambres*. Świat pełen jest pokoi dużych, małych, okrągłych, kwadratowych, na poddaszu i w piwnicy! W którym z nich powinien twój zdaniem mieszkać Giovanni? Nie masz chyba pojęcia, jak długo musiałem szukać, zanim znalazłem ten pokój. A od kiedy — przystanął i przytknął wskazujący palec do mojej piersi — od kiedy to tak go nienawidzisz? Od kiedy? Od wczoraj, a może zawsze? *Dis-moi*.

Pod wpływem jego spojrzenia poczułem się niepewnie.

— Nie twierdź, że go nienawidzę. Nie chciałem... nie chciałem cię urazić.

Opuścił ręce. Oczy zrobiły mu się wielkie, roześmiał się.

— Mnie urazić? Czy jestem raptem kimś obcym, że mówisz do mnie w ten sposób, z tą amerykańską uprzejmością?

— Kochanie, chodziło mi tylko o to, że chciałbym, żebyśmy się przeprowadzili.

— Och, więc przeprowadźmy się. Jutro! Do hotelu. Czy tego chcesz? *Le Crillon pentêtre?*

Poddałem się z westchnieniem. Zaczęliśmy znów u iść.

— Wiem — wyrzucił z siebie po chwili — wiem, że chciałbyś

uciec z Paryża, uciec z tego pokoju. Jesteś paskudny! *Comme tu es méchant!*

— Żle mnie rozumiesz — rzekłem. — Żle mnie rozumiesz. Uśmiechnął się gorzko, sam do siebie.

— *J'espère bien*.

Później, kiedy wróciliśmy do domu i ładowaliśmy do worka cegły, które Giovanni wykuł ze ściany, spytał mnie:

— Ta twoja dziewczyna... Miałeś od niej ostatnio jakieś wieści?

— Ostatnio nie — odparłem, nie patrząc na niego. — Ale każdego dnia może pojawić się w Paryżu.

Wyprostował się. Przyglądał mi się, stojąc pośrodku pokoju pod żarówką. Wyprostowałem się także, uśmiechnięty, ale z dziwnym, niejasnym uczuciem strachu.

— *Viens m'embrasser* — powiedział.

Uświadomiłem sobie, że każdy z nas trzyma cegłę w ręku. Przez sekundę miałem wrażenie, że jeśli do niego nie podejść, to użyjemy tych cegieł, aby się wzajemnie pozabijać.

Mimo to nie mogłem od razu ruszyć się z miejsca. Wpatrywa-liliśmy się w siebie, oddzieleni jedynie niewielką przestrzenią pełną zagrożenia, które niemal wydawało się huczeć jak płomienie.

— Chodź — powiedział.

Rzuciłem swoją cegłę i podszedłem do niego. W tej samej chwili usłyszałem, jak cegła wypada mu z ręki. I w chwilach takich jak ta czułem, że po prostu akceptujemy i popelniamy mniejszy, dłużej trwający i częściej powtarzany mord.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nadeszła wreszcie oczekiwana wiadomość: Hella podała mi dzień i godzinę swego przyjazdu do Paryża. Nic powiedziałem o tym Giovannicemu i tego dnia wyszedłem sam po nią na dworzec.

Łudziłem się, że na jej widok coś się we mnie nagle i zdecydowanie odmieni, że uświadomię sobie, w którym punkcie się

znajduję, a do którego powinienem zdążyć. Nic takiego się jednak nie stało. Dostrzegłem ją natychmiast, jeszcze zanim ona mnie zobaczyła. Ubrana była na zielono, włosy miała krótsze, a na opalonej twarzy tak dobrze znany mi promienny uśmiech. Kochałem ją jak dawniej, ale wciąż jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo.

Kiedy mnie ujrzała, znierruchomiła na peronie w swobodnej, chtopięcej pozie i splótszy ręce na piersiach uśmiechała się. Przez chwilę po prostu patrzyliśmy na siebie.

— *Eh bien* — powiedziała wreszcie — *t'embrasse pas la femme?*

Chwyciłem ją w ramiona i wtedy coś się wydarzyło. Naprawdę cieszyłem się z jej przyjazdu i kiedy trzymałem ją w objęciach, wydało mi się, że moje ramiona są domem i że witam Hellę z powrotem w nim. Pasowała do moich ramion jak przedtem, a trzymanie jej w objęciach sprawiło, że odniosłem wrażenie, jakby ramiona te były puste, odkąd mnie opuściła.

Przytuliłem ją do siebie w tej wysokiej, ciemnej hali, wśród śpieszących we wszystkich kierunkach ludzi i tuż obok sapiącego pociągu. Pachniała wiatrem, morzem i dałą, a ja wyzawałem w jej cudownie żywotnym ciele możliwość prawowitego poddania się.

Wyswobodziła się wreszcie z moich objęć. Oczy miała wilgotne.

— Niechże ci się przypatrzę — powiedziała, odsuwając mnie na odległość ramion i spoglądając badawczo w twarz. — Ach, wyglądasz wspaniale. Jaka jestem szczęśliwa, że cię znowu widzę!

Ucałowatem ją lekko w noski i pomyślałem, że oto przeszedłem pierwszą inspekcję. Chwyciłem jej walizki i ruszyliśmy w stronę wyjścia.

— Miałaś przyjemną podróż? — spytałem. — Jak było w Sewilli? Podobały ci się walki byków? Poznałaś jakiegoś toreadora? Opowiedz mi o wszystkim.

Roześmiała się.

— O wszystkim, to zbyt wygórowane żądanie. Podróż była okropna. Nienawidzę pociągów, wołałabym lecieć, ale ślubowa-

łam sobie, że moja stopa już nigdy nie zostanie w hiszpańskim samolocie. Raz to zrobiłam i maszyna charczała w powietrzu jak ford model T, to był z pewnością stary ford, a ja tam siedziałam, modliłam się i piłam koniak. Byłam pewna, że już nigdy nie ujrzę ziemi. — Wyszliśmy na miasto. Hella rozglądała się dokoła zachwycona wszystkim: kawiarniami, opanowanymi ludźmi, przeogromnym ruchem ulicznym, policjantem w niebieskiej czapce i z białą, błyszczącą patką.

— Wiesz — powiedziała po chwili — powrót do Paryża jest zawsze cudowny, obojętnie gdzie się było.

Wsiadliśmy do taksówki i kierowca szerokim, niedbatym łukiem weisnął się w sznur samochodów.

— Myślę, że wracając tu nawet z jakimś wielkim kłopotem, można... można sobie z nim lepiej poradzić.

— Miejmy nadzieję, że nie będziemy nigdy musieli wystawić Paryża na taką próbę — wymamrotałem.

Jej uśmiech był promienny i melancholijny zarazem.

— Tak, miejmy nadzieję. — Nagle ujęła moją twarz w dłonie i pocałowała. W jej oczach kryło się wielkie pytanie i zdawałem sobie sprawę, jak bardzo pragnęłaby usłyszeć natychmiast na nie odpowiedź. Ja jednak nie byłem do tego jeszcze gotowy. Przygarnęłam ją do siebie i pocałowałem przymknąwszy oczy. Między nami wszystko było jak dawniej, a jednocześnie całkiem inaczej.

Postanowiłem, że chwilowo nie będę myśleć o Giovannim ani się o niego niepokoić. Przynajmniej tego pierwszego wieczoru chciałem być sam na sam z Hellą i nic nie powinno nas oddzielać. Zdawałem sobie jednak doskonale sprawę, że to naprawdę nie jest możliwe: on już nas rozłączył, oddzielił. Staraniem się zapomnieć, że siedzi w tym swoim pokoju i zastanawia się, dlaczego tak długo nie wracam.

Wkrótce siedzieliśmy w mieszkaniu Helli na rue de Tournon i próbowaliśmy Fundadora.

— Stanowczo za słodkie — stwierdziłem. — Coś takiego pije się w Hiszpanii?

Hella się roześmiała.

— Nigdy nie widziałam żadnego Hiszpana, który by pił Fun-

dadora. On i piją wino. Ja piłam gin-fizz, co wydawało mi się w Hiszpanii zdrowsze. — I zaśmiała się znowu.

Obejmowałam ją i całowałam, ponownie próbowałam się w niej odnaleźć, jakby była znajomym, ale ciemnym pomieszczeniem, w którym po omacku szukam kontaktu. Jednocześnie próbowałam też pocałunkami opóźnić moment, który mnie jej wyda, a może i nie. Czuję, jak sądzę, że nieokreślone napięcie pomiędzy nami to ona wytworzyła i jest wyłączanie jej udziałem. Pamiętała, że z biegiem czasu pisałam do niej coraz rzadziej. Tuż przed wyjazdem z Hiszpanii pewno się tym nie przejmowałam, dopiero gdy powzięła decyzję, zaczęła się obawiać, że ja także mógłbym się zdecydować, choć zupełnie inaczej. Nie-wykluczone, że zbyt długo trzymała mnie w niepewności.

Z natury była szczera i niecierpliwa, drażniło ją, jeśli coś jest niejasne, ale teraz zmuszała się do czekania na jedno choćby słowo, na jeden mój znak, utrzymując w cuglach swą silną napiętość.

Chciałam ją zmusić, by je popuściła. Zdawałam sobie sprawę, że tak długo będę mieć zamknięte usta, póki jej na nowo nie posiądę. Łudziłem się, że Hella zatrze we mnie obraz Giovanniego i rzeczywistość jego dotyku, łudziłem się, że ogień przegną ognień. Mimo to świadomość tego, co czynię, była rozdwójona. Hella spytała mnie wreszcie z uśmiechem:

— Zbyt długo mnie nie było, nie uważasz?

— Nie wiem — odparłam. — Kawał czasu.

— To był czas dużej samotności — odezwała się niespodziewanie. Odwróciła się lekko ode mnie i leżąc na boku patrzyła w okno. — Czujęm się jakoś bezsensownie, jak piłka tenisowa, która skacze to tu, to tam. Zadawałam sobie pytanie, gdzie wreszcie wyląduję. Miałam uczucie, jakbym gdzieś przegapiła odjazd łodzi. — Spojrzała na mnie. — Wiesz chyba, jaką łódź mam na myśli. Tam, skąd pochodzę, kręci się o tym filmy. O łodzi, która jest łodzią, jeśli ją przegapić, a statkiem, jeśli zawija do portu. — Patrzyłam na nią. Jej twarz była spokojna, jak nigdy dotąd.

— Nie podobało ci się w Hiszpanii? — spytałam nerwowo. Przesunęła niecierpliwie ręką po włosach.

— Ach, naturalnie, że mi się podobało w Hiszpanii, dlatego by nie? To bardzo ładny kraj. Nie wiedziałam tylko, czego tam szukam. Zaczynam mieć dość siedzenia gdzieś bez szczególnego powodu.

Zapaliłam papierosa i dodałam z uśmiechem:

— Pojechałaś do Hiszpanii, żeby uciec ode mnie, pamiętasz? Pogłaskała mnie po policzku.

— Nie byłam dla ciebie miła, prawda?

— Byłaś bardzo uczciwa. — Podniosłem się i zrobiłem parę kroków po pokoju. — Czy dużo rozmyślałaś?

— Przecież ci o tym pisałam, nie pamiętasz?

Na chwilę zapanowała absolutna cisza. Zamarły nawet ciche odgłosy ulicy. Stałem odwrócony plecami do Helli, ale czułem na sobie jej wzrok. Czułem jej wyczekiwanie. Wszystko zdawało się czekać.

— Nie byłem pewien, czy właściwie zrozumiałem twój list. — Pomyslałem sobie: może uda mi się z tego wybrnąć bez potrzeby opowiadania o wszystkim? — Pisałaś o tym tak... mimochodem, że nie byłem pewien, czy się cieszysz z tego, że się związa-liśmy ze sobą, czy nie.

— Och, takie sprawy poruszaliśmy zawsze mimochodem. Nie potrafiłabym tego inaczej sformułować. Obawiałam się, że wprawie cię w zakłopotanie, rozumiesz?

Moja uwaga miała sugerować, że Hella związała się ze mną z desperacji, nie dlatego, że mnie chciała, a raczej dlatego, że po prostu tu byłam. Nie potrafiłem jednak tego powiedzieć. Czułem, że choć tak rzeczywiście mogło być, ona nie zdaje sobie już z tego sprawy.

— Ale może to ty się tymczasem rozmyśliłaś — rzekła ostryżnie. — Powiedz mi, proszę, jeśli tak jest. — Jakiś czas czekała na moją odpowiedź, a potem mówiła dalej: — Wiesz, ja wcale nie jestem taką wyemancypowaną dziewczyną, jaką próbowałam być. W gruncie rzeczy chodzi mi tylko o to, żeby mieć mężczyznę, który co wieczór przyjdzie do mojego domu. Chciałabym kłaść się do łóżka z mężczyzną bez tego wiecznego strachu, że zajdę w ciążę. Do diabła, chciałabym zająć, ja chcę przecież mieć dzieci. Szczerze mówiąc, do tego naprawdę się na-

daje. — Znów zapanowało milczenie. — Czy ty także tego pragniesz?

— Tak — powiedziałem. — Zawsze tego chciałem.

Odwróciłem się w jej stronę gwałtownie, jakby obróciły mnie czyjeś silne ręce. W pokoju zapadał mrok. Hella leżała na łóżku, wpatrując się we mnie z na wpół otwartymi ustami i oczami, które świeciły jak ogniki. Byłem świadom jej ciała i swego własnego. Podszedłem do niej, złożyłem głowę na jej piersiach. Pragnąłem tak leżeć, w spokoju i ukryciu. Wnet jednak poczułem, jak wzrasta w niej podniecenie, jak śpieszy otworzyć bramy swego obwarowanego miasta na powitanie króla wspaniałości.

Kochany Tato — pisałem. — *Nie chcę już utrzymywać niczego w tajemnicy przed Tobą, spotkałem dziewczynę, z którą chcę się ożenić, i jeśli długo Ci o tym nie wspominałem, to tylko dlatego, że nie byłem pewien, czy ona chce za mnie wyjść. Ale w końcu zdecydowała się zaryzykować. Biedne, głupie stworzenie! Zamierzamy się połączyć węzłem małżeńskim tutaj, a potem wygodnymi etapami powrócimy do kraju. Ona nie jest Francuzką, piszę to, na wypadek gdybyś się z tego powodu martwił (wiem, nie masz nic przeciwko Francuzom, a tylko uważasz, że nie posiadają naszych zalet, co też i odpowiada prawdzie). W każdym bądź razie Hella — ona nazywa się Hella Lincoln i pochodzi z Minneapolis, tam nadal mieszkając jej rodzice, ojciec jest prawnikiem w dużym koncernie, a matka po prostu żonką — Hella chciałaby, abyśmy tu spędzili miodowy miesiąc, i oczywiście jej życzenie jest dla mnie rozkazem. No więc, teraz z mozesz chyba wysłać swojemu kochającemu synkowi trochę swoich ciężko zarabianych pieniędzy. Tout de suite. To po francusku znaczy „prędko”.*

Hella — zdjęcie nie oddaje w pełni jej prawdziwego wyglądu — przyjechała parę lat temu do Francji, aby studiować malarstwo. Potem odkryła, że nie ma talentu, i kiedy już miała się rzucić do Sekwany, poznała mnie. Cała reszta jest, jak to się mówi, stara jak świat. Wiem, że ją pokochasz, Tato, i że ona też Cię będzie kochać. Nawet nie masz pojęcia, jak jestem szczęśliwy...

Trzy dni po swym powrocie do Paryża Hella przypadkiem poznała Giovanniego. W ciągu tych trzech dni nie widziałem go ani razu ani też nie wspominałem o nim słowem.

Przez cały dzień włożyliśmy się po mieście i Hella ustawiła nie pochłonięta była tematem, którego nigdy dotąd w sposób tak szczegółowy nie poruszała: kobiety. Twierdziła, że ciężko być kobietą.

— Tak ciężko znowu nie jest — oponowałem. — Przynajmniej nie wtedy, gdy kobieta ma mężczyznę.

— W tym cały sęk — zawołała. — Czy nie przyszło ci do głowy, że to właśnie upokarzająca konieczność?

— Ach, przestań, nigdy nie odniosłem wrażenia, żeby któraś ze znanych mi kobiet, czuła się z tego powodu upokorzona.

— Tak — rzekła — bo zapewne nigdy na żadną nie zwracałeś uwagi. W tym aspekcje.

— To prawda, nie zwracałem. Mam nadzieję, że i one też nie. Więc dlaczego ty to robisz? Na co się skarżasz?

— Na nic. — Nuciła cicho jakąś pogodną melodię Mozarta. — Nie uskarżam się. Ale ponieważ to, hm, głupie, że kobieta staje się kobietą dopiero wtedy, gdy zwiąże się z jakimś prostackim i nie ogolonym obcym facetem.

— To mi się niespecjalnie podoba. Od kiedy to ja jestem prostacki? Albo obcy? Nie ogolony, to się może i zgadza. Ale to jednak t w o ja wina, bo nie mogę się w ogóle od ciebie oderwać. — Roześmiałem się i pocałowałem ją.

— W porządku. Może teraz już jesteś obcy. Lecz byleś i jestem pewna, że jeszcze kiedyś będziesz, i to wiele razy.

— Jeśli do tego dojdzie — zauważyłem — to ty też taka się dla mnie staniesz.

Rzuciła mi pośpieszny, zadziorny uśmiech.

— Naprawdę? Mówiąc, że jestem kobietą, mam na myśli to, że mogę wyjść za ciebie za mąż i żyć z tobą pięćdziesiąt lat, i przez cały czas mogę być dla ciebie obca, a ty nawet mozesz tego nigdy nie wiedzieć.

— A gdybym ja był obcy... wiedziałabyś o tym?

— Dla kobiety — odparła — mężczyzna pozostanie chyba zawsze obcy. A straszne jest zdawać się na taskę obcego.

— Ale mężczyźni też są na tasce kobiet. Nie pomyślałaś nigdy o tym?

— No, dobrze. Może mężczyźni są rzeczywiście wydani na tasce kobiet. Myślę, że to się wam nawet podoba. To podsyca w was tylko wrogość wobec kobiet. Jeśli pewien konkretny mężczyzna jest na tasce pewnej konkretnej kobiety, to przestaje jakoś być mężczyzną. A kobieta wpada przez to w jeszcze doskonalszą pułapkę.

— Sądysz więc, że ja nie mogę być od ciebie uzależniony, ale ty ode mnie tak? — Śmiałem się. — Chciałbym poznać takiego, któremu byłabyś wydana na tasce.

— Śmiejesz się, śmiejesz — powiedziała kpiąco. — W tym, co mówię, jest coś. Uzmysłowiłam sobie w Hiszpanii, że nie jestem wolna, że nie potrafię być wolna, póki nie przywiążę się... nie, póki nie poświęcę się dla kogoś.

— Dla kogoś? A może dla czegoś?

Zamilkła.

— Nie wiem — odparła wreszcie. — Ale dochodzę do przekonania, że kobiety przywiązują się do czegoś jedynie z braku wyboru. W każdej chwili zrezygnowałyby z tego, gdyby mogły, dla mężczyzny. Naturalnie zawsze będą temu przeciwić, a wiążą się z nim, bo nie mają wyjścia. — Po krótkim namyśle dodała: — Być może chodzi mi o to, że mnie też by to zabiło.

— Czego ty chcesz? A co ty masz teraz, co robi ci taką różnicę?

Zaśmiała się.

— Nie chodzi o to, co mam, nie chodzi nawet o to, czego chcę. Chodzi o to, że ty mnie masz. Mogę stać się teraz twoją uniżoną i kochającą służką.

Przeszedł mnie dreszcz. Postrząsałem głową z udanym zakłopotaniem.

— Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

— Przecież mówię o swoim życiu. Mam teraz ciebie i moim obowiązkiem jest opiekować się tobą, gotować ci, dręczyć cię, oszukiwać i kochać. Mam ciebie, aby się z tym pogodzić. Od teraz mogą się z rozkoszą użalać, że jestem kobietą. Ale nie będą

się bać, że nią nie jestem. — Spojrzała mi w twarz i zaśmiała się. — Och, będą też robić inne rzeczy — zawołała — nie przestanę być inteligentna, będę czytać, dyskutować i myśleć, iede, i bardzo uważać, żeby nie myśleć twoimi kategoriami, a ty będziesz się cieszyć, ponieważ, jestem pewna, zamieszanie, jakie z tego wyniknie, będzie ci wskazywać, że ostatecznie mam tylko ograniczony babski rozumek. I jeśli Bóg pozwoli, będziesz mnie z każdym dniem bardziej kochał i będziemy całkiem szczęśliwi. — Roześmiała się ponownie. — Nie musisz się o nic martwić, skarbie. Pozostaw to mnie.

Jej rozbowienie było zaraźliwe, więc znów pokiwiałam głową, wtórując jej śmiechowi.

— Jesteś urocza. Zupełnie cię nie rozumiem.

Śmiała się coraz głośniej. — To dobrze. Mówimy do siebie jak dziad do obrazu.

Przechodził mi akurat koło księgarni i Hella się zatrzymała.

— Wejdźmy na chwilę — zaproponowała. — Jest tu książka, którą chciałabym sobie kupić. — Kiedy wchodziliśmy, dodała: — Całkiem błaża, nawiasem mówiąc.

Podeszła do właścicielki sklepu, żeby z nią pogadać, a ja obserwowałam ją z rozbowieniem. Powoli skierowałam się do regału w głębi, przy którym stał odwrócony plecami mężczyzna i przeglądał jakieś czasopismo. Gdy przystanąłem obok, zamknął je i odłożył na półkę, po czym się odwrócił. Rozpoznał mi się natychmiast. Był to Jacques.

— *Tiens!* — wykrzyknął. — Jesteś! Myślał mi już, że wyjechałeś z powrotem do Ameryki.

— Ja? — Roześmiałem się. — Nie, jestem ciągle w Paryżu. Miałem tylko sporo spraw do załatwienia. — Nagle przyszedł mi na myśl straszne podejrzenie. — Kto to jest „my”? — spytałem.

— No, twoje kochanie, naturalnie — odparł Jacques z nie-miłym, natarczywym uśmiechem. — Zdaje się, że pozostawięś go w tym jego pokoju na tasce losu, bez jedzenia, bez pieniędzy, nawet bez papierosów. Udało mu się wreszcie namówić konsjerżkę, żeby pozwoliła zatelefonować na kredyt. Gdy do mnie zadzwonił, biedaczysko, to głos miał taki, jakby zamierzał ws-

dzic głowę w piecyk gazowy. — Roześmiał się. — Gdyby takowy w ogóle posiadał.

Patrzyliśmy na siebie. Jacques rozmyślnie nie mówił nic, ja zaś nie wiedziałem, co rzec.

— Wrzuciłem trochę prowiantów do auta — kontynuował po chwili Jacques — i pognąłem do niego. Giovanni był przekonany, że poszedłeś się utopić. Zapewniłem go jednak, że nie zna tak dobrze Amerykanów jak ja i że możemy sobie swobodnie darować poszukiwania w Sekwanie twoich zwłok. Znikłeś, aby tylko... porozmyślać. I jak widzę, nie myliłem się. Zdaje się, że tak intensywnie rozmyślałeś, że teraz musisz się dowiedzieć, co myśleli inni przed tobą. Autorem, którego z pewnością możesz sobie darować — rzekł na koniec — jest markiz de Saade.

— Gdzie jest teraz Giovanni? — spytałem.

— W końcu przypomniałem sobie, jak nazywa się hotel Helli — powiedział Jacques. — Słyszałem od Giovanniego, że jej oczekujesz. Udzieliłem mu więc złotej rady, żeby tam zadzwonił. Wyszedł właśnie, żeby to zrobić. Zaraz tu będzie z powrotem.

Hella podeszła do nas z książką w ręku.

— Wy chyba się znacie — rzekłem nieporadnie. — Hellu, pamiętasz Jacquesa?

Hella go pamiętała, jak i to, że go nie lubi. Z uprzejmym uśmiechem podała mu rękę.

— Co u pana słychać?

— *Je suis ravi, mademoiselle.* — Jacques zdawał sobie sprawę, że Hella go nie lubi, i to go bawilo. Aby pogłębić jeszcze jej niechęć, a także dlatego, że w tym momencie szczerze mnie nie nawidził, nachylił się nisko nad jej wyciągniętą dłońią, stając się natychmiast bezczelnie i natarczywie zniewieściał. Patrzyłem na niego, jak się patrzy na oddaloną o wiele mil, ale nieuchronnie nadiagającą katastrofę. Zwrócił się przekornie do mnie. — Dawid ukrywa się przed nami teraz, kiedy pani wróciła... — bąknął.

— Ach, tak? — Hella przysunęła się do mnie i ujęła moją dłoń. — To bardzo nieuprzejme z jego strony. Nigdy bym na

to nie pozwoliła, gdybym tylko wiedziała, że się ukrywamy. — Roześmiała się. — A on mi nic nie powiedział.

Jacques spojrział na nią.

— Nie wątpię, że Dawid omawia z panią bardziej fascynujące sprawy niż ta, dlatego ukrywa się przed starymi przyjaciółmi — powiedział.

Miałem tylko jedno pragnienie: wyjść stąd natychmiast, z nim powróci Giovanni.

— Nie jedliśmy jeszcze kolacji — wyjaśniłem próbując się uśmiechnąć. — Może spotkamy się później? — Mój uśmiech błagał go o zmiłowanie.

W tym samym momencie zadźwięczał dzwonek oznajmujący wejście klienta do sklepu.

— Ach, oto i Giovanni — wykrzyknął Jacques.

Rzeczywiście, wyczułem, że stoi za mną nieruchomo jak głaz i patrzy. Poprzez dłoń Helli wyczułem wielkie napięcie w jej całym ciele. Choć była opanowana, nie mogła zapobiec temu, by nie odmalowało się na jej obliczu. Kiedy odezwał się Giovanni, głos miał ochryply od gniewu, ulgi i powstrzymywanych łez.

— Gdzie ty się podziewasz! — krzyczał. — Myślałem już, że nie żyjesz! Że przejechał cię samochód albo że się utopiłeś! Coś ty robił przez ten cały czas?

Ku swojemu zaskoczeniu zdołałem się uśmiechnąć i zdumiałem się swoim spokojem.

— Giovanni — powiedziałem — pozwól, że przedstawię cię mojej narzeczonej. Mademoiselle Hella. Monsieur Giovanni. Dostrzegł ją, jeszcze zanim skończył zgłaszać swoje pretensje. Teraz podał jej rękę ze spokojną, zdumiewającą uprzejmością i wpatrywał się w nią czarnymi oczami, jakby nigdy przedtem nie widział żadnej kobiety.

— *Enchante, mademoiselle* — rzekł. Jego głos był martwy i lodowaty. Spojrzął przelotnie na mnie, a potem znów na Hellę. Przez chwilę staliśmy tak we czwórkę, jakbyśmy mieli zamiar pozować do zbiorowego portretu.

— Skoro już jesteście w komplecie — wtrącił Jacques — to myślę, że powinniśmy razem wypić drinka. Jednego małego drinka — dodał i uprzedził tym samym próbę uprzejmej odmowy

ze strony Helli. Wziął ją pod rękę. — W końcu nie każdego dnia spotyka się starych przyjaciół. — Wypchnął Giovanniego i mnie do przodu, a sam podążał z tyłu z Hellą. Dzwonek zadźwięczał złośliwie, gdy Giovanni otworzył drzwi. Wieczorne powietrze uderzyło w nas żarem. Skierowaliśmy się w stronę bulwaru, pozostawiając za sobą rzekę.

— Kiedy ja się decyduję zmienić mieszkanie — rzekł Giovanni — to zawiadamiam konsjerżkę, żeby przynajmniej wiedziała, dokąd odsyłać pocztę.

Zapłonął we mnie nagły gniew, gdy dostrzegłem, że Giovanni jest ogolony i ma na sobie czystą, białą koszulę z krawatem — bez wąpienia własność Jacquesa.

— Zdaje się, że nie masz powodów do narzekań — odpartem ostro. — Wiedziateś dobrze, do kogo się zwrócić.

Kiedy jednak zobaczyłem jego wzrok, gniew mnie szybko opuścił i najchętniej bym się rozpląkał.

— Nie jesteś miły — wytknął. — *Tu n'est pas chic du tout.* — Więcej nic nie powiedział. Kroczyliśmy w stronę bulwaru w milczeniu. Za plecami słyszałem głos Jacquesa. Przystanęliśmy na rogu, żeby na nich zaczekać.

— Kochanie — powiedziała Hella podchodząc do mnie — zostań i napij się czegoś, jeśli masz ochotę. Ja nie mogę, naprawdę nie mogę. Nie czuję się zbyt dobrze. — Zwróciła się do Giovanniego: — Proszę mi nie brać tego za złe, dopiero wróciłam z Hiszpanii, nie miałam jednej wolnej chwili, od kiedy wyśladłam z pociągu. Może innym razem, naprawdę, dziś m u s z ę się wyspać. — Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, ale on zdawał się jej nie dostrzegać.

— Odprowadzę Hellę do domu i zaraz wrócę — rzekłem. — Gdzie was znajdzie?

— Będziemy w pobliżu. Na pewno znajdziecie nas bez trudu. — Giovanni się rozśmiał.

— Bardzo mi przykro, że nie czuje się pani dobrze — rzekł Jacques do Helli. — Może więc innym razem. — Nachylił się nad jej niezdecydowane wyciągniętą ręką i powtórnie ją ucałował. Następnie się wyprostował i spojrzał na mnie. — Powinieneś kiedyś wpaść z Hellą do mnie na kolację. — Zrobił minę. —

Przed nami naprawdę nie musisz ukrywać swojej narzeczonej. — Święta racja — dorzucił Giovanni. — Ona jest naprawdę urocza. A my... — posyłając uśmiech Helli — będziemy się starać być też uroczy.

Chwyliłem Hellę za rękę.

— Dobrze. Zobaczymy się więc później.

— Gdyby mnie nie było tutaj, kiedy wrócisz — rzekł Giovanni miściwie i jednocześnie bliski płaczu — to będę w domu. Pamiętaj jeszcze, gdzie to jest? Niedaleko zoo.

— Tak, pamiętam. — Zacząłem się wycofywać tyłem, jakbym opuszczał klatkę z dzikimi zwierzętami. — Do zobaczenia. *À tout à l'heure.*

— *À la prochaine* — odpart Giovanni.

Czułem, że odprawdzają nas spojrzeniami. Hella milczała długo, prawdopodobnie bała się, podobnie jak ja, coś powiedzieć. Potem powiedziała:

— Nie mogę ścierpieć tego człowieka. Ciarki mnie przechodzą na jego widok. — A po chwili dodała: — Nie wiedziałam; że spotykacie się z nim tak często, kiedy mnie nie było.

— Tak często znowu nie — bąknąłem. Aby zająć czymś ręce i pozbiierać myśli, stanąłem i zapaliłem papierosa. Hella mnie obserwowała. Nie była podejrzliwa, tylko zaniepokojona.

— A kto to jest ten Giovanni? — spytała, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę. Zaśmiała się krótko. — Słuchaj, wpadło mi właśnie do głowy, że jeszcze cię nie spytałam, gdzie mieszkałeś. U niego?

— Mieszkał mi obaj w służbówce na peryferiach miasta — odpartem.

— To nieładnie z twojej strony, że bez uprzedzenia ulotniłeś się stamtąd na tak długo.

— O Boże! — zawołałem. — To przecież tylko mój współlokator. Skąd mogłem wiedzieć, że będzie mnie optakiwać jak nieboszczyka, gdy nie wrócę na parę nocy.

— Jacques mi opowiadał, że zostawieś go bez pieniędzy, bez papierosów, bez niczego i nawet nie poinformowałeś, że zamierzasz teraz być ze mną.

— Wielu rzeczy nie mówiłem Giovanniemu, ale takiej sceny

jeszcze mi nie zrobił. Musiał być chyba pijany. Porozmawiam sobie z nim później.

— Zamierzasz jeszcze do nich wrócić?

— Jeśli nie, to pojedę do tego pokoju. Myślałem już, żeby tam się wybrać. Wiesz dobrze, że muszę się ogolić. — Roześmia-tem się.

Hella westchnęła.

— Nie chciałabym, żeby twój koleczy gniewali się na ciebie. Wróć lepiej do nich i idźcie sobie na drinka. Obiecatesz im to w końcu.

— Zastanowię się. Nie ożeniłem się przecież z nimi.

— Ale fakt, że zamierzasz ożenić się z e m n ą, nie oznacza, że musisz łamać słowo dane przyjaciółom. To nawet nie oznacza, że ja muszę ich l u b i ć.

— Helli, świetnie wiem o tym.

Skręciliśmy z bulwaru i podążaliśmy do hotelu.

— On jest bardzo uczuciowy, prawda? — spytała, podczas gdy ja wpatrzony byłem w ciemną bryłę Senatu na końcu naszej ciemnej pnącej się lekko pod górę ulicy.

— Kto?

— Giovanni. Na pewno bardzo cię lubi.

— Jest Włochem. Włosi zachowują się teatralnie.

— Ten zwracałby na siebie uwagę nawet we Włoszech. —

Roześmiała się. — Jak długo z nim mieszkatesz?

— Parę miesięcy. — Wyrzuciłem niedopałek papierosa. —

Nie miałem pieniędzy, kiedy wyjechałaś. Wiesz, że ciągle jeszcze czekam na nie. Przeprowadziłem się więc do niego, bo tak było taniej. On miał wtedy posadę i prawie stale mieszkał u swojej dziewczyny.

— Ach, on ma dziewczynę?

— Miał — odpartem. — Miał też posadę. Niedawno stracił i jedno, i drugie.

— Biedny chłopiec. Nic dziwnego, że jest taki zagubiony.

— Da sobie radę — zapewniłem. Przybyliśmy na miejsce. Hella naciśnęła dzwonek.

— Czy bardzo się przyjaźni z Jacquesem? — dopytywała się dalej.

— Nie tak, jakby Jacques sobie tego życzył — odpowiedziałem.

Roześmiała się.

— Ciarki mnie przechodzą, gdy znajduję się w pobliżu mężczyzny, który tak nienawidzi kobiet jak właśnie Jacques.

— No, to będziemy trzymać go z daleka od ciebie. Nie chcemy przecież, aby ciarki przechodziły naszą dziewczynkę.

Ucałowałem ją w czubek nosa. W tym samym momencie coś zadudniło z głębi hotelu i drzwi otworzyły się z gwałtownym dygotem. Hella popatrzyła w ciemność.

— Zawsze się zastanawiam — rzekła — czy o d w a ż ę się tam wejść. — Później spojrzała na mnie. — No więc, napiszesz się czegoś na górze, zanim wrócisz do przyjaciół?

— Chętnie — odpartem. Weszliśmy na palcach do środka i delikatnie zamknęliśmy za sobą drzwi. Namacałem palcami przycisk i załatwało nas słabe, żółte światło. Jakiś głos zawołał coś niezrozumiale i Hella wykrzyknęła w odpowiedzi swoje nazwisko, próbując je wymówić z francuskim akcentem. Kiedy znaleźliśmy się na schodach, światło ponownie zgasło, a my zaczęliśmy chichotać jak dzieciaki. Na żadnym z podestów nie udało nam się odszukać kontaktu — nie wiem, dlaczego wydało nam się to tak zabawne, ale ciągle się śmialiśmy. Trzymając się siebie i stale chichocząc pokonałszy drogę do pokoju Helli na najwyższym piętrze.

— Opowiedz mi o Giovannim — poprosiła, lecz znacznie później, gdy leżeliśmy już w łóżku i obserwowaliśmy, jak czarna noc bawi się białymi, sztywnymi frankami. — On mnie interesuje.

— Mówisz mi to akurat teraz, nietaktowne stworzenie? Co to ma właściwie oznaczać, że on cię interesuje?

— Chcę wiedzieć, kim on jest, o czym myśli. Dlaczego ma taką twarz?

— A co jest z jego twarzą?

— Nic. Prawdę mówiąc, on jest bardzo przystojny. Ale w jego twarzy jest coś... coś staromodnego.

— Śpij. Wygadujesz bzdury.

— Gdzie go poznatesz?

— Ach, któregoś wieczoru w jakimś barze. Siedziałem tam ze znajomymi, wszyscy byliśmy pod gazem.

— Jacques też tam był?

— Nie pamiętam. Tak, chyba był. Zdaje się, że Giovanniego poznał tego samego wieczoru co ja.

— Dlaczego przeprowadziłeś się do niego?

— Powiedziałem ci już. Byłem bez forsy, a on miał ten pokój...

— To z pewnością nie był jedyny powód.

— No więc — dodałem — wydał mi się sympatyczny.

— A teraz nie jest już sympatyczny?

— Bardzo lubię Giovanniego. To miły facet, choć dzisiejszego wieczoru nie pokazał się z najlepszej strony. — Rozesmiąłem się. Pograżony w ciemnościach nocy, ośmielony ciąłem Helli i swoim, chroniony tonem swego głosu, poczułem wielką ulgę dodając: — Na swój sposób go kocham. Tak, naprawdę go kocham.

— Jemu się wydaje, że okazujesz to w sposób szczególny.

— Postuchaj. Oni zachowują się zupełnie inaczej niż my. Są znacznie bardziej wylewni. Ja tak nie potrafię. Naprawdę.

— Tak — mruknęła po namyśle. — Zauważyłam to.

— Co?

— Tutaj ludzie uważają za rzecz naturalną, że okazują sobie uczucia. Z początku to cię gorszy, ale potem człowiek zaczyna sądzić, że to całkiem miłe.

— To jest miłe — wtrąciłem.

— Wiesz, powinniśmy któregoś dnia zaprosić Giovanniego na kolację czy coś w tym rodzaju. Przecież cię w końcu potałowaliśmy w potrzebie.

— Dobry pomysł. Nie wiem, co teraz robi, ale znajdzie chyba wolny wieczór.

— Przebywa często z Jacquesem?

— Nie, nie sądzę. Myślę, że dziś wieczorem spotkał go raczej przypadkowo. — Umilkłem na chwilę. — Powoli sobie uświadamiam — mówiłem ostrożnie dalej — że tacy chłopcy jak Giovanni nie mają lekkiego życia. To nie jest kraj nieograniczonych możliwości, rozumiesz? Nikt się tu o nich nie trosz-

czy. Giovanni jest biedny, to znaczy, pochodzi z biednej rodziny, i naprawdę niewiele może tu zrobić, a w tym, co może robić, panuje straszna konkurencja. Poza tym zajęcie tego rodzaju nie daje tyle, aby na tym móc budować przyszłość. Dlatego też tak wielu z nich trafia potem na ulicę i staje się żigolakami lub gangsterami czy Bóg wie kim.

— Tak, w Starym Świecie panuje chłód.

— Och, w Nowym Świecie też jest całkiem chłodno — zauważyłem. — Tu chłód panuje, i koniec.

Rozesmiała się.

— Ale my, my mamy naszą miłość, a ta nas grzeje.

— Nie nam pierwszym przyszło to do głowy w łóżku. — Jakiś czas leżeliśmy bez słowa przytuleni do siebie. — Helli — szepnąłem wreszcie.

— Słucham?

— Gdy przyjdą pieniądze, spakujmy manatki i wynieśmy się z Paryża, dobrze?

— Chcesz wyjechać? Dokąd?

— Wszystkie jedno. Dokądkolwiek. Mam Paryża po dziurki w nosie i chciałbym jakiś czas pomieszkąć gdzie indziej. Pojedźmy na południe. Może tam świeci słońce?

— Pobierzemy się na południu?

— Helli, musisz mi uwierzyć, że nie potrafię nic zdziałać, nie zdecydować, nawet zebrać myśli, dopóki nie wyjedziemy z tego miasta. Nie chcę się tu żenić, nie chcę nawet myśleć o ślubie tutaj. Wyjedźmy stąd.

— Nie miałam pojęcia, że tak to odczuwasz.

— Mieszkałem przez wiele miesięcy w pokoju Giovanniego i nie zniósę tego dłużej. Muszę stąd wyjechać. Proszę cię.

Zaśmiała się nerwowo i odsunęła się nieco ode mnie.

— Nie rozumiem, dlaczego trzeba od razu wyjeżdżać z Paryża, jeśli nie chcesz dalej mieszkąć w pokoju Giovanniego.

Westchnąłem.

— Proszę cię, Helli. Nie mam teraz ochoty na długie wyjaśnienia. Może zostając w Paryżu, ciągle wchodziłbym Giovanniemu w drogę i... — Urwałem.

— A dlaczego miałoby ci to przeszkadzać?

— Wiesz, nie mogę w żaden sposób mu pomóc i nie zniosę tego, by patrzył na mnie jak na... na Amerykanina. Hellu, on inyśli, że jestem bogaty. — Zamilkłem na chwilę, usiadłem na łóżku i wyrząłem w noc. Hella mi się przygłądała. — Jak już mówiłem, to bardzo miły chłopak, ale bardzo uparty. Wbił sobie do głowy, że jestem bogiem. A ten jego pokój jest taki śmierdzący i brudny. Wkrótce nadejdzie zima, chłód... — Zwróciłem się do niej i wzięłem ją w ramiona. — Och, wyjedźmy po prostu stąd. Wyjaśnię ci później wiele rzeczy, później, kiedy już stąd wyjedziemy.

Nastato długie milczenie.

— Chciałbyś wyjechać natychmiast? — spytała.

— Tak. Jak tylko nadejdą pieniądze, wynajmiemy sobie dom.

— Jesteś pewien, że nie chcesz wrócić do Stanów?

Jęknąłem.

— Nie, jeszcze nie. Nie o to mi chodzi.

Pocałowała mnie.

— Dla mnie nie ma znaczenia, dokąd wyjedziemy. Dopóki jesteśmy razem. — Odsunęła mnie od siebie. — Niedługo będzie już świąć. Najwyższy czas, żeby się trochę przespać.

Do pokoju Giovanniego wybrałem się późnym wieczorem następnego dnia. Przedtem spacerowałem z Hellą nad rzeką, następnie odwiedziłem kilka barów, gdzie zbyt dużo wypłem. Kiedy wszedłem do pokoju, zapaliło się z trzaskiem światło. Giovanni siadł na łóżku i wykrzyknął przerażonym głosem:

— *Qui est là? Qui est là?*

Zatrzymałem się nieco osłepiony na progu, chwytając się z lekka.

— Nie krzycz, Giovanni. To ja — powiedziałem.

Giovanni spojrzął na mnie, odwrócił się do ściany i wybuchnął płaczem.

Mój Boże, pomyślałem i ostrożnie zamknąłem drzwi. Wyjąłem papierosy z kieszeni marynarki i powiesiłem ją na krześle. Z papierosami w ręku podszedłem do łóżka. Nachyliłem się nad Giovannim i wyszeptąłem:

— Kochanie, przestań płakać. Proszę cię, przestań!

Odwrócił głowę i spojrzął na mnie. Oczy miał czerwone i mokre, ale na ustach specyficzny uśmiešek, w którym mieszały się okrucieństwo, wstyd i zachwyt. Wyciągnął do mnie ręce, a ja pochyliłem się, odgarnąłem mu włosy z oczu.

— Pachniesz winem — stwierdził.

— Nie piłem wina. Czy to cię tak przeraziło? Czy dlatego płaczesz?

— Nie.

— No, to o co chodzi?

— Dlaczego uciekłeś ode mnie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Giovanni ponownie odwrócił się do ściany. Miałem nadzieję, łudziłem się, że nic nie będę czuć, ale teraz w odległym zakamarku serca poczułem ucisk, jakby ktoś dotknął mnie tam palcem.

— Zawsze ode mnie uciekałeś — zarzucił mi Giovanni. — Tak naprawdę nigdy cię tu nie było. Nie twierdź, że mnie zawsze okłamywałeś, ale wiem, że nigdy nie mówiłeś prawdy. Dlaczego? Czasami siedziałeś tu cały dzień, czytałeś, otworzyłeś okno, coś gotowałeś, ja cię obserwowałem, a ty nie odezwałeś się ani słowem. Kiedy na mnie spoglądałeś, twoje oczy w ogóle mnie nie dostrzegały. Tak przez cały dzień, podczas gdy ja pracowałem, żeby ten pokój ładniej dla ciebie urządzić.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem nad głową Giovanniego na białe kwadraty okna, które zatrzymywały słabe światło księżyca.

— Co ty robisz przez cały czas? Dlaczego nic nie mówisz? Jesteś potworem, słyszysz? Czasami, gdy się do mnie uśmiechałeś, nienawidziłem cię. Miałem ochotę cię uderzyć, zranić do krwi. Uśmiechałeś się do mnie, jak uśmiechasz się do każdego, opowiadałeś mi historijki, które opowiadasz każdemu, kłamstwa, same kłamstwa. Co ty ukrywasz? Myślisz, że nie wiem, że kochając się ze mną, nie kochałeś właściwie nikogo? N i k o g o ! A może każdego, ale na pewno n i e m n i e. Ja dla ciebie nic nie znaczę, nic! Dajesz mi tylko podniecenie, nie szczęście.

Poruszyłem się, szukając papierosów, w końcu uzmysłowiłem sobie, że trzymam je w ręku. Zapaliłem papierosa. Zaraz, pomy-

ślałem, zaraz coś powiem. Powiem coś, a potem na zawsze opuszczę ten pokój.

— Wiesz dobrze, że nie umiem być sam. Mówiłem ci to. W czym więc rzecz? Dlaczego nie możemy żyć wspólnie? Znów się rozpląkał. Patrzyłem, jak gorące tży spływają mu z policzków na brudną poduszkę.

— Jeśli nie możesz mnie kochać, to umrę. Zanim się pojawięś, też chciałem umrzeć. Opowiadałem ci o tym często. To okrutne zachęcić mnie do życia tylko po to, aby uczynić moją śmierć bardziej krwawą.

Chciałem tak wiele powiedzieć. Kiedy jednak otworzyłem usta, nie wykrzusiłem z siebie ani słowa. Nie wiem wciąż, co czułem do Giovanniego. Nie czułem nic. Czułem strach i litość, a także wzrastające pożądanie.

Giovanni usiadł na łóżku. Włosy ponownie opadły mu na oczy. Wyjął mi z ust papierosa i sam zaciągnął się dymem.

— Nigdy dotąd nie zetknąłem się z takim człowiekiem jak ty. Sam też taki nie byłem przedtem, zanim ty się pojawiłeś. Postuchaj, we Włoszech miałem kobietę i ona była dla mnie bardzo dobra. Kochała mnie, ona kochała m n i e. Dbała o mnie. Gdy wracałem z pracy w winnicy, zawsze na mnie czekała i nigdy się nie kłóciliśmy, nigdy. Byłem wtedy młody i nie miałem najmniejszego pojęcia o rzeczach, z którymi zetknąłem się później, także o tych strasznych rzeczach, których ty mnie nauczyłeś. Uważałem wtedy, że wszystkie kobiety są takie jak moja dziewczyna. Myślałem, że wszyscy mężczyźni są tacy jak ja. Myślałem, że jestem taki jak wszyscy mężczyźni. Nie czułem się ani nieszczyśliwy, ani samotny, bo ona była stale przy mnie. Nie chciałem umierać. Chciałem mieszkać zawsze w naszej wsi, pracować w winnicach, pić nasze wino i kochać się ze swoją dziewczyną. Opowiadałem ci kiedyś o swojej wiosce? Jest bardzo stara i leży na wzgórzu, na południu Włoch. Wieczorami, gdy zsiłszy wzdłuż muru, świat zdawał się przed nami zapadać, cały ten daleki, brudny świat. Wcale nie tęskniłem, aby go zobaczyć. Raz kochaliśmy się pod murem.

Tak, chciałem tam pozostać na zawsze, jeść dużo spaghetti, pić dużo wina, utyć i splodzić wiele dzieciaków. Na pewno bym ci się

128

nie spodobał, gdybym tam został. Już sobie wyobrażam, jak po wielu latach przejeżdżasz przez naszą wioskę swoim wstępnym, opastym amerykańskim samochodem, który byś wtedy na pewno miał. Wyobrażam sobie, jak się na mnie i na nas wszystkich gapiasz, jak próbujesz naszego wina i masz nas w dupie z tym pustym uśmiechem, który Amerykanie mają zawsze na ustach, i ty także. Odjeżdżasz w końcu z wyciem silnika i piskiem opon, a potem opowiadasz wszystkim napotkanym Amerykanom, że powinni koniecznie zobaczyć naszą małowinniczą wioskę. Tylko że o tamtejszym życiu, o tym, jak się toczy, płynnie i zamiera, jak jest piękne i straszne, nie będziesz miał zielonego pojęcia. Tak samo zresztą jak nie masz pojęcia o moim obecnym życiu. Wydaje mi się, że tam mógłbym być szczęśliwszy, nic bym sobie nie robił z waszych uśmiechów. Miałbym swoje własne życie. Wiele nocy nie spałem czekając tu na ciebie. Rozmyślałem o mojej wiosce, która jest tak daleko, i o tym, jak okropnie jest żyć w tym zimnym mieście pomiędzy znienawdzonymi ludźmi, w mieście, gdzie jest zimno i wilgotno, nigdy zaś, jak tam, sucho i ciepło, gdzie jest mamnikogo, z kim mógłbym porozmawiać, nikogo, kto by do mnie należał, gdzie znalazłem kochankę, który nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, niczym, co mógłbym zrozumieć albo posiadać. Ty nie wiesz, prawda, co to znaczy leżeć w nocy w łóżku i czekać na kogoś? Jestem przekonany, że nie wiesz. Ty w ogóle nie wiesz. Nie wiesz nic o tych strasznych rzeczach, dlatego stale się uśmiechasz i zgrywasz udając, że komeidia, którą gracie z tą krótkowłosą dziewczyną o twarzy jak księżyc w pełni, to miłość.

Giovanni upuścił papierosa na podłogę, gdzie się powoli dopalał. Ponownie zaniósł się płaczem. Rozglądałem się po pokoju i myślałem: dłużej tego nie zniosę.

— Opuściłem naszą wioskę pewnego pięknego dnia. Nigdy go nie zapomnę. Był to dzień mojej śmierci, żałuję, że to rzeczywiście nie był dzień mojej śmierci. Pamiętam, jak słońce paliło mnie w kark, gdy szedłem drogą ze wsi, ona prowadziła pod górę, a ja się przygarbiałem. Pamiętam wszystko dokładnie: bury pył pod nogami, obsuwające się kamyki, młode drzewka wzdłuż drogi, niskie domki mieniące się w słońcu wszystkimi kolorami. Pamiętam, że płakałem, ale nie tak jak teraz. Znacznie gorzej, bardziej

rozpaczliwie. Odkąd jestem z tobą, nie potrafię już nawet płakać w ten sposób. Wtedy po raz pierwszy w życiu chciałem umrzeć. Pochowałem właśnie na cmentarzu, na którym leży też mój ojciec i moi przodkowie, swoje dziecko, a swoją lamentującą dziewczynę pozostawiłem w domu u mojej matki. Tak, splotdziłem dziecko, ale urodziło się martwe. Kiedy je ujrzałem, było całe sine i poskręcane i nie wydało żadnego głosu, choć uderzałem je po pośladkach, przyskali święconą wodą i modlili się. Nie wydało z siebie żadnego głosu, bo nie żyło. To był chłopczyk i mógłby się stać pięknym, postawnym mężczyzną, być może nawet w typie tych, którzy tak fascynują ciebie, Jacquesa i Guillaume'a, całą waszą ohydną bandę uganiającą się i marzącą o nich dniami i nocami. Dziecko jednak nie żyło, moje dziecko, które splotdziłem z moją dziewczyną, moje dziecko nie żyło. Gdy zobaczyłem, że jest martwe, zerwałem ze ściany krzyż, splunąłem i ciskałem nim o podłogę. Moja matka i dziewczyna krzyczyły, ja wyszedłem z domu. Następnego dnia pochowaliśmy synka, a potem opuściłem wioskę, przybyłem do tego miasta, gdzie Bóg mnie pokarał za wszystkie grzechy i za to, że splunąłem na Jego świętego Syna, i gdzie też z pewnością umrę. Czuję, że już nigdy nie zobaczę mojej wioski.

Podniosłem się. Kręciło mi się w głowie. W ustach czułem smak soli. Pokój wirował mi przed oczami jak wtedy, gdy przyszedłem tu po raz pierwszy, bardzo dawno temu. Za swoimi plecami usłyszałem błaganie Giovanniego.

— *Chéri. Mon tres cher.* Nie opuszczaj mnie. Proszę, nie opuszczaj mnie.

Odwrociłem się i pochwyciłem go w ramiona, patrząc ponad nim na ścianę, na zakochaną parę spacerującą pośród róż. Łkał tak, jakby serce miało mu pęknąć, jak to się mówi. Moje serce musiało już pęknąć wcześniej, gdyż w przeciwnym razie nie mógłbym pozostać tak chłodny, nieporuszony i daleki.

Musiąłem coś powiedzieć.

— Giovanni — rzekłem — Giovanni.

Zaczął się uspokajać, słuchał. Mimo woli, choć nie po raz pierwszy, posłużyłem się przebiegłością desperata.

— Giovanni — rzekłem — zawsze wiedziałeś, że któregoś dnia

odejdę. Wiedziałeś dobrze, że moja narzeczona wróci kiedyś do Paryża.

— Nie opuszczasz mnie ze względu na nią — odparł. — Opuścisz mnie z całkiem innego powodu. Tak często kłamiesz, że zazwyczaj już wierzyć w swoje własne kłamstwa. Ja mam swoje uczucie. Ty nie opuszczasz mnie dla k o b i e t y. Gdybyś naprawdę kochał tę matkę, nie musiałbyś postępować ze mną tak okrutnie.

— Ona nie jest żadną „matką” — rzekłem. — Ona jest kobietą i niezależnie od tego, co ty myślisz, ja ją naprawdę kocham.

— Nie — Giovanni poderwał się z krzykiem — ty nie kochasz nikogo! Nikogo nigdy nie kochałeś i pewien jestem, że nikogo nie będziesz kochać. Kochasz swoją czystość, swój obraz. Zachowujesz się jak dziewczica, chodzisz z rękami przed sobą, jakbyś jakiś drogowenny kruszec, złoto, srebro lub drogocne kamienie, rubiny, może d i a m e n t y miał pomiędzy nogami. Nikomu ich nie dasz, nie pozwolisz nikomu tknąć, obojętnie, kobiecie czy mężczyźnie. Pragniesz pozostać n i e s k a l a n y. Uważasz, że jak przyszedłeś tu namydlony, to i tak stąd wyjdiesz i w międzyczasie, nawet przez pięć minut, nie będziesz ś m i e r d z i a ł.

Schwycił mnie za koltierz, brutalnie i jednocześnie czule, ślina przyskała mu z ust, a oczy pełne były łez. Choć uwidoczniły mu się kości twarzy, naprężyły się też mięśnie ramion i szyi.

— Chcesz opuścić Giovanniego, bo ci śmierzdzi. Gardzisz Giovannim, bo nie obawia się smrodu miłości. Chcesz go u ś m i e r c i ć w imię tych wszystkich swoich kłamliwych drobnych zasad moralnych. To ty, ty jesteś n i e m o r a l n y. Jesteś najbardziej niemoralnym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. Patrz, p a t r z, co ze mnie zrobiłeś! Uważasz, że mógłbyś to zrobić, gdybym cię nie kochał? Czy naprawdę powinieneś tak postępować z miłością?

— Giovanni, przestań! Na Boga, p r z e s t a ń! Co ty chcesz, żebyś zrobił? Nic nie poradzę na to, co czuję.

— Czy ty w i e s z, co czujesz? C z u j e s z coś w ogóle? Co czujesz?

— Teraz nie czuję nic. Nic. Chcę wyjść z tego pokoju, chcę odejść od ciebie, chcę zakończyć tę żalostną scenę.

— Chcesz ode mnie odejść. — Zasmiał się. Spojrzenie, jakim

mnie obrzucił, było tak bezdennie gorzkie, że aż niemal dobrodusznego. — Na koniec zaczynasz być uczciwy. A wiesz ty chociaż, dla czego chcesz ode mnie odejść?

Coś się we mnie zwało.

— Ja... ja nie mogę żyć z tobą.

— Ale możesz żyć z Hellą, co? Z tą dziewczyną o twarzy jak księżyc w pełni, która sobie wyobraża, że dzieci znajduje się w główkach kapusty albo w lodówce? Nie znam się zbyt dobrze na mitologii waszego kraju. Z nią możesz żyć?

— Tak — odpartem zmęczony — z nią mogę żyć.

Powstałem. Drżałem.

— Jakie życie możemy wieść w tym pokoju, w tym brudnym pokoiku? W ogóle jakie życie może wieść dwóch mężczyzn? Cała ta miłość, o której mówisz, czyż to po prostu nie twoje pragnienie czucia się silnym? Chciałbyś sobie wychodzić, być wielkim robotnikiem, przynosić do domu pieniądze, a ja mam tu zostać, zmywać, gotować i sprzątać tę norę. I dawać ci całusa, gdy przekroczysz próg, spać z tobą w nocy i być twoją małą dziewczynką. Oto czego pragniesz. To masz na myśli i to wszystko, o czym myślisz, mówiąc o swojej miłości do mnie. Twierdzisz, że pragnę cię zabić. A jak uważasz, co ty ze mną robisz?

— Nie próbuję wcale zrobić z ciebie dziewczynki. Gdybym chciał mieć dziewczynkę, tobym żył z dziewczynką.

— Więc dlaczego tego nie robisz? Boisz się, czy nie tak? Nie masz odwagi związać się z kobietą, czego naprawdę pragniesz, więc dlatego wzięłeś sobie mnie.

Był błady jak kreda.

— To ty bez przerwy mówisz, czego ja chcę. Ja zaś tylko mówię, kogo chcę.

— Ale ja jestem mężczyzną! — zawołałem. — Mężczyzną! Jak myślisz, co może się między nami wydarzyć?

— Bardzo dobrze wiesz — powiedział Giovanni wolno — i dlatego mnie właśnie opuszczasz. — Wstał, podszedł do okna i otworzył je. — *Bon!* — Uderzył pięścią w parapet. — Gdybym potrafił cię zmusić do pozostania, tobym to zrobił — krzyknął. — Gdybym nawet miał cię bić, związać, głodzić, zrobiłbym to, gdybym mógł cię przez to przy sobie zatrzymać. — Wiatr targnął

jego włosami, gdy odwrócił się w moją stronę. Pogroził mi palcem, groteskowo żartobliwie. — Któregoś dnia może pożalujesz, że tego nie zrobiłem.

— Jest zimno — rzekłem — zamknij okno.

— Teraz, gdy sobie idziesz — rozemniał się — chcesz, żeby zamknąć okno. *Bien sûr.* — Zamknął je. Stał się pośrodku pokoju patrząc na siebie. — Nie będziemy się kłócić więcej. To cię nie zatrzyma — powiedział. — We Francji istnieje coś takiego jak *separation de corps*, nie rozwód, rozumiesz, tylko rozstanie. Dobrze, rozstańmy się więc. Ale ja wiem, że należysz do mnie. Wierzę, muszę wierzyć, że do mnie wrócisz.

— Giovanni, ja nie wrócę. Wiesz dobrze, że nie wrócę.

Powstrzymał mnie ruchem ręki.

— Powiedziałem, że nie będziemy się kłócić. Amerykanie absolutnie nie mają wycucia dla przeznaczenia. Zupelnie nie rozpoznają przeznaczenia, kiedy się z nim zetkną. — Wyciągnął butelkę spod zlewu. — Jacques zostawił butelkę koniaku. Napijmy się po jednym, na drogę, jak to się chyba u was czasem mówi.

Ostrożnie napełnił dwa kieliszki. Obserwowałem go, więc widziałem, że drży — ze złości czy bólu lub obu powodów naraz. Podał mi kieliszek.

— *À la tienne* — rzekł.

— *À la tienne.*

Wypiliśmy. Nie mogłem się powstrzymać od pytania:

— Co zamierzasz teraz zrobić, Giovanni?

— Och, mam przecież przyjaciół. Coś wymyślę. Dziś wieczór na przykład jestem zaproszony do Jacquesa na kolację. I jutro też. On mnie bardzo polubił. Ciebie zaś ma za potwora.

— Giovanni — powiedziałem bezradnie — uważaj na siebie. Proszę cię, uważaj.

Uśmiechnął się ironicznie.

— Dzięki. Takiej rady powinienem mi raczej udzielić tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy.

Była to nasza ostatnia rozmowa. Przesiedziałem u niego do rana, po czym spakowałem swoje rzeczy i przeniosłem do Hellii.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakim mnie obrzucił na pożegnaniu. Pokój napełnił się światłem poranka i przypomniał mi wiele poranków, zwłaszcza ten pierwszy. Giovanni siedział nago na brzegu łóżka, trzymając w dłoniach kieliszek z koniakiem. Jego ciało było śmiertelnie białe, twarz wilgotna i szara. Stałem z walizką w drzwiach. Nacisnąwszy klamkę, spojrzałem na niego. Najchętniej błagałbym go o przebaczenie. Ale to byłoby zbyt wielkie wyznanie. Każda uległość w tym momencie zatrzymałaby mnie w tym pokoju na zawsze. Poniekąd nawet tego pragnąłem. Poczutem dreszcz przebiegający przeze mnie, jak początek trzęsienia ziemi, i przez sekundę miałem wrażenie, że tonę w jego oczach. Ciało Giovanniego, tak dobrze mi znane, jaśniało w świetle, elektryzowało i zagęszczało powietrzną przestrzeń pomiędzy nami. Coś wtedy zamajaczyło w moim umyśle, jakaś tajemnicza klapka otworzyła się na oścież bezgłośnie, aż zamartłem z przerażenia: niespodziewanie przyszło mi dopiero teraz do głowy, że uciekając przed jego ciałem potwierdzam i uwieczniam jego władzę nad sobą. Teraz jakby mnie cechowano, jego ciało wypalano jak piętno na moich myślach i snach. Giovanni przez cały czas nie odrywał ode mnie wzroku. Moja twarz była dla niego bardziej przezroczysta niż szyba sklepowej witryny. Nie uśmiechał się, nie miał ani poważnej miny, ani mściwej, ani też smutnej. Był spokojny. Czekał zapewne na to, że przemierzę tę przestrzeń i ponownie wezmę go w ramiona — czekał, jak ktoś na łóżku śmierci czeka na cud, który nie nastąpi, a w który nie ma się odwagi wątpić. Musiałem stamtąd wyjść, gdyż moja twarz zbytwno zdradzała rozterkę, jaka rozgrywała się w moim ciele. Stopy odmówiły donieść mnie znów do niego. Wiatr życia odwiewał mnie w dal.

— *Au revoir*, Giovanni.

— *Au revoir*, *mon cher*.

Odróciłem się i otworzyłem drzwi. Wydawało mi się, że zmęczone tchnienie jego oddechu jeży mi włosy i gładzi czoło niczym powiew obłędu. Przeszedłem przez wąski korytarz, oczekując w każdej chwili jego wołania za sobą, przemierzylem sien obok pokoiku śpiącej jeszcze konsjerżki i znalazłem się na porannych ulicach. Z każdym krokiem powrót stawał się coraz mniej

prawdopodobny. Mój umysł był pusty albo raczej przypominał olbrzymią znieczuloną ranę. Myślałem tylko: któregoś dnia tego pozajdę, kiedyś jeszcze gorzko zapłacę.

Na rogu, w słabej smudze porannego słońca, zacząłem szukać w portfelu biletu na autobus. Znalazłem trzysta franków, które pożyczylem od Helli, paszport, swój adres w Stanach Zjednoczonych, różne papiery, papierki, kartki, karteczki, zdjęcia. Na każdym skrawku papieru znajdowałem adresy, numery telefonów, notatki o spotkaniach, na które się umawiałem i na które poszedłem, a może i nie, notatki o ludziach, których sobie przypomniałem albo i nie, o nadziejach, które najprawdopodobniej się nie spełniły. Nie, na pewno się nie spełniły, gdyż w przeciwnym razie nie stałbym teraz na rogu tej ulicy.

Znalazłem w końcu cztery bilety w portfelu i poszedłem w stronę *arrêt*. Na przystanku stał policjant, niebieską czapkę miał zsuniętą na tył głowy, biała patka połyskiwała mu u boku. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się i zawołał:

— *Ça va?*

— *Qui, merci. A pan?*

— *Toujours. Ładny dzień, prawda?*

— Tak. — Głos mi zadrztał. — Nadchodzi jesień.

— *C'est ça.* — Powrócił znów do obserwowania bulwaru.

Przygładziłem ręką włosy i poczułem się idiotycznie, bo nie potrafiłem się opanować. Patrzyłem na przechodzącą kobietę, wracała z targu z siatką wypełnioną zakupami i litrową butelką czerwonego wina umieszczoną niebacznie na samym wierzchu. Była niemłoda, ale miała jasną, odważną twarz, silne, jędrne ciało i mocne, duże ręce. Policjant coś do niej krzyknął, ona odkrzyknęła, zapewne jakaś żartobliwą dwuznaczność. Policjant się roześmiał, wciąż jednak nie patrzył na mnie. Odprowadziłem kobietę spojrzeniem — szła pewno do domu, pomyślałem, do męża w brudnym niebieskim kombinezonie i do dzieci. Minęła narożnik, na który padała smuga słońca, i przeszła przez jezdnię. Nadjechał autobus, policjant i ja, jedyni oczekujący na przystanku ludzie, wsiedliśmy — on został na tylnym pomoście, z dała ode mnie. Nie był też już młody, lecz miał w sobie coś, co mnie frapowało. Siedziałem przy oknie i przyglądałem się mijającym

ulicom. Bardzo dawno temu siedziałem w innym autobusie w innym mieście i tak samo wyglądałem przez okno. Każdej dostrzeżonej twarzy, która pobieżnie zatrzymywała moją uwagę, przypisywałem jakieś życie, przeznaczenie, i chciałem w nich mieć swój udział. Oczekiwałem jakiegoś szeptu, obietnicy, zapowiadających możliwy ratunek. Tego ranka wydało mi się, że moje dawniejsze „ja” śniło wtedy najniebezpieczniejszy ze wszystkich snów.

Dni miały teraz jak szalone. Gwałtownie zrobiło się chłodno. Rzesze turystów zniknęły, ulotniły się jak za dotknięciem różdżki, zgodnie z rozkładem jazdy. W parkach liście z drzew opadały na głowy spacerowiczów i szeleściły pod stopami. Kamienie murów miasta, przedtem różnobarwnie oświetlone, blakły powoli, niemniej zdecydowanie, osiągając znów kolor szarego zwykłego kamienia. Stało się widoczne, że kamień jest twardy. Nad rzeką zaczęło ubywać wędkarzy, a któregoś dnia brzeg opustoszał zupełnie. Sylwetki młodych chłopców i dziewcząt zaczęły się do siebie upodabniać z powodu grubej bielizny, swetrów i szali, peleryn i kapturów. Starzy panowie wyglądali jeszcze starzej, stare kobiety — ociężalej. Barwy rzeki przybladły, zaczęły padać deszcze i woda w Sekwanie wzbierała. Słońce musiało się mocno wysilać, aby codziennie rozjaśnić Paryż choć na parę godzin, i było oczywiste, że wkrótce te starania zarzuci.

— Na południu będzie ciepło — twierdziłem.

Nadeszły pieniądze. Szukaliśmy z Hellią codziennie domu w Eze, Cagney-sur-Mer, Vence, Monte Carlo, Antibes czy Grasse. Rzadko pojawialiśmy się w naszej dzielnicy. Przesiadywaliśmy w pokoju Helli, często się kochaliśmy, chodziliśmy do kina lub spędzaliśmy długie, często melancholijnie wieczory w jakiejś restauracji na prawym brzegu rzeki. Trudno powiedzieć, co powodowało tę melancholię, która czasami rzucała na nas cień jak olbrzymie drapieżne ptaszysko. Nie sądzę, żeby Hella czuła się nieszczerliwa, bo uczepliłem się jej jak nigdy dotąd. Ale może niekiedy wyczuwała, że mój chwyt jest zbyt uporczywy, by można było mu ufać, a z pewnością zbyt uporczywy, by trwać dłużej.

Od czasu do czasu spotykałem gdzieś w naszej dzielnicy Giovanniego. Batem się tych przypadkowych spotkań, nie tylko dlatego, że był teraz stale z Jacquesem, lecz również dlatego, że nie podobał mi się jego wygląd. Ubrany był co prawda na ogół lepiej niż przedtem, w jego spojrzeniu dostrzegłem jednak coś nیکczemnego, a jednocześnie złowieszczonego, co było dla mnie tak samo nie do zniesienia jak jego śmiech z dowcipów Jacquesa czy też maniera, maniera pedata, w którą zaczynał wpadać. Nie chciałem wiedzieć, co łączyło go z Jacquesem, ale nadszedł dzień, kiedy złośliwe i triumfalne oczy Jacquesa mi to oznajmiły. Podczas tego krótkiego spotkania o zmroku, na bulwarze, w tłumie śpieszących wokół nas ludzi, Giovanni doprawdy wyglądał oszalałym i dziewczęco i był bardzo pijany. Zupełnie jakby chciał mnie zmusić do wypicia czary jego goryczy. Nienawidziłem go za to.

Następnym razem spotkałem go rankiem. Kupował akurat gazetę. Rzucił mi bezcelne spojrzenie, po czym odwrócił się demonstracyjnie. Patrzyłem, jak znika w oddali na bulwarze. Po powrocie do domu opowiedziałem o tym Helli i usłowałem żartować.

Po pewnym czasie przestałem go widywać z Jacquesem, za to coraz częściej z miejscowymi ulicznikami, których sam kiedyś określał jako „*lamentable*”. Nie był już tak dobrze ubrany i niczym się od nich nie odróżniał. Szczególnie zaprzyjaźnił się z owym wysokim, dziobatym chłopakiem, imieniem Yves, z którym zetknęliśmy się podczas naszego pierwszego poranka, gdy pojechalśmy na śniadanie do Hal. Pamiętam, że stał wtedy przy automacie do gry w kręgle, a potem rozmawiał z Jacquesem. Któregoś wieczoru, gdy nieźle podchmielony włożyłem się po ulicach bez celu, natknąłem się na tego chłopaka i zaprosiłem na jednego. Choć nie stawiałem żadnych pytań, dowiedziałem się, że Giovanni nie jest już z Jacquesem i może znów dostanie dawną pracę, w barze u Guillaume’a. W niecały tydzień później znalaziono Guillaume’a martwego w jego mieszkaniu nad barem. Został uduszony sznurem od szlafroka.

Był to wielki skandal. Gdybyście byli państwo wtedy w Paryżu, musielibyście z pewnością o nim słyszeć, jak też zauważyć zdjęcie Giovanniego, które wszystkie gazety opublikowały natychmiast po jego ucieczce. Artykuły na pierwszych stronach poświęcone były morderstwu, rozprawiano o nim, wiele lokali w stylu baru Guillaume'a zamknięto. (Nie na długo zresztą.) Policjanci w cywilu przeczesywali dzielnicę, kontrolowali dokumenty, bary oczyszczono z *tapettes*. Poszukiwania Giovanniego nie dawały jednak rezultatów. Wszystkie poszlaki, a w szczególności fakt jego zniknięcia, wskazywały, że to on był mordercą. Podobny skandal, zanim przycichnie, zawsze grozi wstrząsem państwu państwa. Należy więc koniecznie możliwie prędko znaleźć jakiegoś wyjaśnienie, jakiegoś rozwiązanie i jakąś ofiarę. Większość mężczyzn zatrzymanych w związku z tym przestępstwem, nie została arestowana pod zarzutem popełnienia mordu. Aresztowano ich za to, co Francuzi z delikatnością, moim zdaniem sardoniczną, określają *les gouts particuliers*. Takie „upodobania” nie są co prawda we Francji karalne, ale mimo to zdecydowanie potępiane przez gros społeczeństwa, które z absolutnym brakiem sympatii odnosi się do przywódców narodu i wszystkich „lepiej urodzonych”. Kiedy znaleziono zwłoki Guillaume'a, przerażeni się nie tylko chłopcy trudniący się uliczną prostytucją. Znacznie bardziej od nich bali się mężczyźni, którzy włączyli się po ulicach, aby ich sobie kupić, i których kariery, pozycje i plany życiowe zostałyby zagrożone, gdyby wyszły na jaw ich skłonności. Ojcowie rodzin, synowie z dobrych domów, chutiliwi awanturnicy z Belleville zainteresowani byli jak najbardziej, aby całą aferę jak najszybciej zakończono, by wszystko mogło wrócić do normy i aby srogi bicz publicznej moralności nie spadł na ich grzbieity. Dopóki trwało śledztwo, nie wiedzieli, jaką mają obracać postawę: głośno krzyczeć, że są męczennikami, czy pozostać tymi, którymi w gruncie rzeczy są — zwykłymi obywatelami wstrząśniętymi do głębi zbrodnią i niecierpliwie czekającymi, aby sprawiedliwości stało się zadość i ład moralny w kraju został przywrócony.

Dobrze się składało, że Giovanni był cudzoziemcem. Podczas, gdy wciąż pozostawał na wolności, prasa, jakby za cichą zgodą, z każdym dniem atakowała go coraz obelżywiej, coraz cieplej zaś odnosiła się do osoby Guillaume'a. Przypominano, że razem z Guillaume'em wymarł jeden z najstarszych rodów Francji: w niedzielnym dodatku rozpisywano się o jego rodzinie, jego stara arystokratyczna matka, która, nawiasem mówiąc, nie dożyła końca procesu, zapewniała o rzetelności syna, ubolewała nad rozległą korupcją we Francji, co sprawia, że tego rodzaju zbrodnia może tak długo pozostawać nie ukarana. Społeczeństwo, oczywiście, bardziej niż ochoczo zgadzało się z tą opinią. Nie było to tak niewiarygodne, jak mi się z pewnością zdawało, ale nazwisko Guillaume'a zaczęło w fantastyczny sposób kojarzyć z historią Francji, z francuskim honorem i francuską chwałą i niemal stało się symbolem francuskiej męskości.

— Postuchaj — rzekłem do Helli. — On był tylko wstrętnym starym pedalem. Oto czym był naprawdę.

— Tak, tylko skąd mogą to wiedzieć czytelnicy gazet? Jesli był pedalem, to na pewno tego nie rozgłaszał, towarzystwo zaś, w którym się obracał, stanowiło zamknięty krąg.

— Ależ ktoś to wiedział. Spośród tych, którzy wypisują podobne bzdury, wielu musi to wiedzieć.

— Nie ma chyba sensu oczerniać zmarłego — odparła spokojnie Hella.

— Czy nie należy powiedzieć prawdy?

— Mówią przecież prawdę. Pochodził z bardzo ważnego rodu i został zamordowany. Wiem, o co tobie chodzi. Jest też inna prawda, której się nie wyjawia. Gazety tego nie robią, nie są od tego.

— Biedny, biedny, biedny Giovanni — westchnąłem.

— Myślisz, że on to zrobił?

— Nie wiem. W każdym razie na to wygląda. Był tam owej nocy. Widziano go, jak wchodził na górę, a nikt sobie nie przypomnia, żeby schodził na dół.

— Czy on tej nocy tam pracował?

— Chyba nie. Wstąpił na drinka. Widocznie Guillaume i on znówu się przyjaźnili.

— W czasie mojej nieobecności zawarłeś naprawdę dziwaczne znajomości.

— Nie uważałaś ich za tak dziwaczne, gdyby nie doszło do morderstwa. Poza tym nikt z tych ludzi nie był moim przyjacielem, z wyjątkiem Giovanniego.

— Mieszkałeś z nim. Powinieneś wiedzieć, czy jest zdolny do popełnienia morderstwa.

— Niby z jakiej racji? Mieszkaś z mną. Czy ja mogę popełnić morderstwo?

— Ty? Oczywiście że nie.

— A skąd w i e s z? Nie wiesz tego. Skąd wiesz, czy jestem taki, jak mnie widzisz?

— Ponieważ — nachyliła się i pocałowała mnie — cię Kocham.

— Och! Ja też kochałem Giovanniego.

— Nie tak, jak ja ciebie Kocham.

— A może ja już popełniłem morderstwo, a ty nic nie wiesz?

— Dlaczego się tak denerwujesz?

— T y nie byłabyś zdenerwowana, gdyby twój przyjaciel był oskarżony o morderstwo i się ukrywał? Dlaczego dziwisz się, że jestem podniecony? Co twoim zdaniem powinienem robić? Śpiewać kolędy?

— Nie krzycz. Nie miałam pojęcia, że on dla ciebie tak wiele znaczył.

— To taki miły chłopak — stwierdziłem w końcu. — Dręczy mnie myśl, że znalazł się w tarapatkach.

Hella podeszła i delikatnie położyła mi dłoń na ramieniu.

— Wkrótce wyjedziemy z tego miasta, Dawidzie. Nie będziesz musiał się już tym przejmować. Przecież ludzie nieraz miewają kłopoty. Tylko sobie nie wmawiaj, że to twoja wina. To nie jest twoja wina.

— Wiem doskonale, że to nie moja wina! — wykrzyknąłem, ale mój głos i wzrok Helli przywołały mnie do porządku. Z przerażeniem zauważyłem, że bliski jestem płaczu.

Giovanni przebywał na wolności prawie tydzień. Co wieczór, gdy obserwowałem z okna Helli zapadający nad Paryżem zmrok, myślałem o nim, ukrywającym się gdzieś, może pod mostem,

przerażonym i zziębniętym, i nie wiedzącym... z sobą począc. Ciekaw byłem, czy znalazł choć przyjaciół, którzy by go ukryli. Zdumiewające, że w tak małym i tak dokładnie kontrolowanym przez policję mieście mógł się tak długo ukrywać. Czasami obawiałem się, że przyjdzie do mnie — błagać o pomoc albo mnie zabić. Prawdopodobnie jednak uznał za niegodne prosić mnie o pomoc i bez wątpienia doszedł tymczasem do wniosku, że nie jestem wart, aby mnie zabijać. Szukałem wsparcia u Helli. Co noc starałem się pogrzebać w niej całą swoją winę i strach. Konieczność bycia aktywnym paliła mnie jak gorączka, ale jedyną formą aktywności pozostawał seks.

Wreszcie, pewnego wczesnego ranka, schwyłano Giovanniego na jednej z barek, które cumowały u brzegu rzeki. Gazety zdążyły już obwieścić, że uciekł do Argentyny, więc wielkie było zdziwienie, gdy okazało się, że nie zdołał dotrzeć dalej niż nad Sekwanę. Brak „przebojowości” nie przysporzył mu sympatii społeczeństwa. Uznano go za przestępcę najdurniejszego z durnych, za partacza. Nikt nie wątpił, że zabióstwo Guillaume'a popełniono na tle rabunkowym. Giovanni zabrał co prawda wszystkie pieniądze, które Guillaume miał przy sobie, ale kasy w lokalu nawet nie tknęła i zapewne nie przyszło mu do głowy, że w zamarku szafy ukryty był inny portfel z wieloma tysiącami franków. Skradzione pieniądze miał przy sobie w momencie aresztowania. Nie zdołał ich wydać. Od wielu dni nic nie jadł, był wycieńczony, błądy i marnie wyglądał. Jego podobizna widniała na wszystkich kioskach gazetowych w całym Paryżu. Wyglądał na nich młodo, sprawiał wrażenie oszołomionego, przerażonego i zdeprawowanego, jakby nie pojmował, że oto on, Giovanni, posunął się do tego i że dalej nie pójdzie, że szafot zakończy jego krótką drogę. Już teraz zdawał się stawać dęba i każdy cały jego ciała buntował się wobec tej lodowatej wizji. Znów odniosłem wrażenie, jak wiele razy przedtem, że szuka we mnie pomocy. Gazety doniosły nielitościwemu światu, jak żałował swego, czynu, błagał o litość, zaklinał Boga i tkając przysięgą, że nie chciał tego zrobić. Z pikantnymi szczegółami poinformowano nas też „jak” to zrobił, ale nie „dlaczego”. Owe

„dlaczego” było zbyt ponure, aby gazety mogły to podać, i zbyt skomplikowane, aby Giovanni potrafił to ująć w słowa.

Byłem chyba jedyną osobą w Paryżu, która wiedziała, że on tego nie chciał zrobić, i która potrafiła ze szczegółów podawanych przez gazety wyczytać, dla czego to zrobił. Przypomniał mi się ów wieczór, kiedy go zastałem w domu, a on opowiedział mi, w jakich okolicznościach Guillaume wyrzucił go z pracy. Znówu usłyszałem jego głos, ujrzałem jego gwałtowne ruchy i zobaczyłem jego tży. Znałem tę brawurową odwagę, wiedziałem, że Giovanni chętnie występuje jako *debrouillard*, rzucając wyzwanie każdemu, widziałem, jak wkracza dumnie do baru Guillaume'a. Giovanniemu musiało się chyba wydawać po przygodzie z Jacquesem, że skończyło się jego terminowanie, że skończyła się miłość i że z Guillaume'em może uczynić wszystko, czego zechce. Rzeczywiście, mógłby wszystko zrobić, ale nie mógłby wtedy być sobą. Guillaume to wiedział. Jacques nie omisszał go zapewne poinformować, że Giovanni nie żyje już z *le jeune Américain*. Być może wraz ze swoją świtą przybył na jedną czy dwie prywarki w domu Jacquesa. Orientował się więc, jak zapewne i całe towarzystwo, że Giovanni, będąc obecnie wolny i bez zobowiązań, rzuci się w wir hulanki i ekscesów — każdemu z nich to się zdarzyło. Musiał to być triumf dla wszystkich w barze, kiedy Giovanni wparował sam do baru.

Potrafię sobie nawet wyobrazić przebieg rozmowy:

— *Alors, tu es revenu?* — mówi Guillaume z uwodzicielskim, szyderczym i wszystko mówiącym spojrzeniem.

Giovanni zauważa, że ten nie życzy sobie, by mu przypominano jego ostatni wybuch wściekłości, i że stara się być miły. Ale twarz Guillaume'a, jego głos, zachowanie, zapach są dla Giovanniego nie do wytrzymania. Przed sobą ma prawdziwego, a nie wymaginowanego Guillaume'a. Kiedy musi się w odpo-wiedzi uśmiechnąć, zbiera mu się na wymioty. Guillaume jednak tego nie dostrzega i zaprasza go naturalnie na drinka.

— Myślałem, że może potrzebujesz barmana — mówi Giovanni.

— Czyżbyś szukał pracy? Myślałem, że twój Amerykanin kupił ci roponośne pole w Teksasie.

— Nie. Mój Amerykanin... — robi ruch ręką — ... odfrunął. — Śmieją się obaj.

— Amerykanie zawsze fruują. Nie można ich traktować serio — objaśnia Guillaume.

— *C'est vrai*. — Giovanni wypija trunek nie patrząc w jego stronę. Wygląda na okropnie zakłopotanego i pogwizduje pewno nieświadomie, aby sobie dodać animuszu. Guillaume natomiast nie może oderwać od niego wzroku ani zapanować nad swoimi rękami.

— Przyjdź później, jak będę zamykał. Pomówimy o tej pracy — dodaje na koniec.

Giovanni kiwa głową i wychodzi. Wyobrażam sobie, że potem na ulicy spotyka koleżków, pije z nimi, śmieje się, stara zebrać odwagę. Mijają godziny. Wiele by dał, żeby ktoś mu powiedział, by nie wracał do Guillaume'a, nie dawał mu się dotknąć. Kiedy jednak go przekonują, że Guillaume jest bardzo bogaty i że od takiej głupiej starej cioty można wiele wycygnąć, jeśli się tylko umie sprytnie postępować.

Nikt się nie pojawia na bulwarze, kto mógłby z Giovannim porozmawiać i go potatować. Czuje, że umrze.

Zbliża się pora, kiedy trzeba wracać do baru. Idzie tam samotnie. Przed drzwiami się waha. Najchętniej by zawrócił, uciekł. Tylko że nie ma dokąd. Patrzy wzdłuż długiej, ciemnej i krętej ulicy, jakby szukał kogoś. Nikogo nie ma. Wchodzi więc do baru. Guillaume zauważa go natychmiast i daje dyskretny znak, żeby poszedł na górę. Idzie po schodach na uginających się nogach. Stoi w pokoju Guillaume'a, pośród jego jedwabnych ubrań, szminek, perfum, i spogląda na tóżko.

Wkrótce pojawia się Guillaume i Giovanni próbuje się uśmiechnąć. Piją. Guillaume staje się natarczywy, sfiaczaty i spotniały, a przy każdym dotknięciu jego ręki Giovanni coraz bardziej się wzdraga i odsuwa z wściekłością. Guillaume znika na chwilę, po czym wraca ubrany w swój pretensjonalny szlafrok. Każę Giovanniemu się rozebrać.

W tym momencie chyba Giovanni uświadamia sobie, że dłużej tego nie znieśie, że nie zdola się do tego zmusić. Przypomina sobie o pracy. Próbuje rozmawiać, być rzeczowy, rozsądny, ale

oczywiście jest już za późno. Guillaume osaczył go naszym morze i myślę, że udręczony niemal do obłędu Giovanni czuje, że tonie, że został pokonany. Guillaume dopiął swego. Myślę, że gdyby do tego nie doszło, Giovanni by go chyba nie zabił.

Osiągnąwszy rozkosz, podczas gdy Giovanni leży jeszcze dławiając się, Guillaume staje się ponownie człowiekiem interesu. Spacery po pokoju, tam i z powrotem, przytacza doskonałe argumenty, dlaczego to nie może go zatrudnić. Wśród wszystkich tych powodów, które wymyśla, ten prawdziwy pozostaje ciągle ukryty, choć obaj, każdy na swój sposób, go widzą: Giovanni, naszym gasnąca gwiazda ekranu, stracił się przyciągania. Wszystko o nim wiadomo, jego tajemnica została odkryta. Giovanni z pewnością to czuje, a wściekłość narastająca w nim miesiącami teraz zbiera zwielokrotniona wspomnieniem rąk i ust Guillaume'a. Przez chwilę przypatruje mu się w milczeniu, następnie zaczyna krzyczeć. Guillaume nie zostaje mu dłużny.

Z każdym słowem Giovanniemu coraz bardziej huczy w głowie i czarne placki fruują mu przed oczami. Za to Guillaume jest w siódmym niebie i aż zaciera ręce z zadowolenia — już dawno nie otrzymał tak wiele za nic. Rozgrywa tę scenę do końca. Delektuje się tym, że twarz Giovanniego staje się purpurowa, a głos ochrypli, z nie skrywaną uciechą obserwuje twardniejące mięśnie na jego szyi. Mówi coś w przeświadczeniu, że role się odwróciły. Mówi jednak o jedno zdanie za dużo, o jedną niewagę, o jedną kpinę za dużo i w ułamku sekundy rozpoznaje po własnym zamilknięciu, po oczach Giovanniego, że się zagalopował, że powiedział coś, czego się nie da cofnąć. Giovanni na pewno nie chciał tego zrobić. Chwycił go i zaczął bić. Przy tym dotknięciu przy każdym ciosie czuł, jak zaczyna spadać z jego serca nieznośny ciężar. Teraz z kolei Giovanni czuł się zachwycony. W pokoju wszystko przerzucone zostało do góry nogami, tkaniny podarte na strzępy, duszno było od zapachu perfum. Guillaume usiłował wydostać się z pokoju, ale Giovanni podążał w ślad za nim, teraz z kolei Guillaume'owi przyszło się podać. I może właśnie w tej samej chwili, gdy dopadł wreszcie drzwi i miał już nadzieję, że uda mu się uciec, Giovanni skoczył za nim, złapał pasek od szlafroka i okrcił mu na szyi. Potem

tylko trzymał, szlochając i odczuwając coraz większą lekkość w miarę, jak Guillaume stawał się coraz cięższy, zaciskał pętlę i przeklinał. Wreszcie Guillaume padł na podłogę i Giovanni wpadł z powrotem do swego nędznego pokoju, na ulicę, w świat, w teraźniejszość i w cień śmierci.

Wynajęliśmy w końcu ten duży dom, a ja tymczasem uzmysłowilem sobie, że nie mam prawa tu przyjeżdżać. Kiedy go znaleźliśmy, nie miałem nawet ochoty na oględziny. Nic innego jednak nie miałem do roboty. Nie chciało mi się robić nic innego. Zastanawiałem się, prawdę mówiąc, czyby nie zostać w Paryżu na czas procesu, a może nawet odwiedzić Giovanniego w więzieniu. Wiedziałem jednak, że to nie ma sensu. Jacques, pozostający w stałym kontakcie z adwokatem i ze mną, odwiedził Giovanniego raz i oznajmił mi to, co sam doskonale wiedziałem — że ani ja, ani nikt inny nie może już dla niego nic uczynić.

Może chciał umrzeć. Przyznał się do morderstwa na tle rabunkowym. Prasa się rozpisywała o okolicznościach, w jakich Guillaume wyrzucił go z pracy. Z doniesień tych odnosiło się wrażenie, że Guillaume był dobroduszny, może odrobnie ekscentrycznym filantropem i jego jedynym błędem było to, że bezwzględnemu i niewdzięcznemu awanturnikowi — Giovanniemu — okazał zbyt wiele serca. Wkrótce cała sprawa zniknęła z pierwszych stron gazet. Giovanniego zaś przeniesiono do więzienia, gdzie oczekiwał na proces.

Poszedłem z Hellą na rozprawę. Myślałem, z całą pewnością myślałem tak na początku, że jeśli nie mogę zrobić nic dla Giovanniego, to powinienem przynajmniej zrobić coś dla Helli. Łudziłem się, że Hella uczyni też coś dla mnie. Chybaby się tak i stało, gdyby dni nie wlokły mi się tak wolno jak dni w więzieniu. Nie potrafiłem wymazać Giovanniego z pamięci i skazany byłem na informację, których sporadycznie dostarczał mi Jacques.

Oczekiwanie na proces Giovanniego było jedyną rzeczą, jaką przypominam sobie z tamtej jesieni. Wreszcie postawiono go przed sąd, uznano za winnego i skazano na śmierć. Przez całą zimę liczyłem dni. Rozpoczął się koszmarny tego domu.

Wiele napisano o miłości, która przeobraża się w nienawiść, o sercu stygnącym wraz z zanikiem uczucia. Zastanawiająca przemiana. Znacznie straszniejsza niż wszystko, o czym kiedykolwiek czytałem, straszniejsza niż to, co potrafiłbym ująć w słowa.

Teraz już nie pamiętam, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że Hella przestała mnie interesować, jej ciało mnie już nie pociąga, a jej obecność denerwuje. Stało się to nagle — choć wydaje mi się, jakby trwało od dawna. Zaczęło się od tego, że wzdragałem się, gdy muskała moje ramię czubkiem pierśi, podając mi kolację. Czulem, że się wzdragam. Susząca się w łazien-pachnąca, iż zatowałem, że pierze ją zbyt często, stała się nagle nieestetyczna i nieczysta. Jej ciało, które musiało być zaszlaniane tymi idiotycznymi skośnymi kawałkami materiału, zaczęło mi się wydawać groteskowe. Czasami obserwowałem je nagie i w ruchu i pragnąłem, aby było jędrniejsze i twardsze. Jej pierśi wprawiały mnie w wielkie przerażenie, a kiedy w nią wnikałem, myślałem, że już nigdy nie wydostanę się żywy. Wszystko, co przedtem było rozkoszne, wywoływało teraz we mnie nie-smak.

Myślę, myślę, że nigdy w życiu nie bałem się tak bardzo jak wtedy. Kiedy moje palce zaczynały niechęć puszcząć Hellę, odnosiłem wrażenie, jakbym zawisł nad przepaścią i trzymał się Helli, by ratować własne życie. Jak tylko moje palce się śliz-gały, czułem pęd, powietrze pod sobą i to, że wszystko zawzię-cie się we mnie kurczy, podpywa w górę broniąc się przed po-wolnym upadkiem.

Może to dlatego, pomyślałem, że za dużo jesteśmy sami, więc przez pewien czas stale gdzieś wyruszaaliśmy, jeździliśmy często do Nicei, Monte Carlo, Cannes czy Antibes. Nie byliśmy jed-nak bogaci, a południowa Francja jest zimną rajem wyłącznie dla krezusów. Chodziliśmy do kina albo przesiadywaaliśmy w opustoszałych barach ostatniej kategorii. Odbywaliśmy długie spacery, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Prawdopodobnie nie dostrzegaliśmy już rzeczy, na które chcielibyśmy sobie zwrócić uwagę. Piliśmy zbyt dużo, zwłaszcza ja. Hella po po-

wrocie z Hiszpanii opalona, pewna siebie i promienna zaczęła powoli wszystko to tracić. Zrobiła się blada, nieufna i niepewna. Przestała się dopytywać, co się dzieje, gdyż rozumiała, że albo tego nie wiem, albo nie chcę powiedzieć. Obserwo-wała mnie, zdawałem sobie z tego sprawę, zrobiłem się czujny i zniecierpliwiony. Gdy patrzyłem na jej spiętą twarz, nie mogłem dać sobie rady z poczuciem winy.

Zdani na autobusy, często przytuleni sennie do siebie przesiadywaaliśmy o zimowym brasku w poczekalniach lub marzli-wym na rogu ulicy jakiegoś całkowicie opuszczonego miasta. Gdy o szarym świcie wracaliśmy do domu, byliśmy zupełnie wykończeni i kładliśmy się od razu do łóżka.

Z nie wyjaśnionych powodów mogłem się kochać nad ranem. Zapewne wiązało się to z nerwowym wyczerpaniem albo też nocne wędrówki wyzwały we mnie dziwne, niepołamane podniecenie. Nie było to jednak to, co przedtem. Czegoś brakowało. Brakowało zdumienia, siły i radości, brakowało spo-koju.

Miewałem okropne sny. Czasami budziłem się na odgłos własnego krzyku, czasami budziła mnie Hella, wystraszona moimi jękami.

— Chciałabym — powiedziała któregoś dnia — abys powiedział mi, co cię tak dręczy. Wyduś to z siebie, pozwól sobie pomóc.

Zmieszany potrząsnąłem głową ze smutkiem i westchną-łem. Siedzieliśmy w dużym pokoju, w którym teraz stoję. Ona siedziała w fotelu pod lampą i trzymała otwartą książkę na kolanach.

— Jesteś kochana — rzekłem. — Nic mnie nie dręczy. To przejdzie. Po prostu chyba nerwy.

— To Giovanni — odparta. Obserwowałem ją.

— Czy nie myślisz przypadkiem — pytała ostrożnie — że postąpiłeś wstrętnie zostawiając go w tym pokoju? Obwiniasz się za to, co się z nim stało. Kochanie, przecież ty nie mogłeś mu w żaden sposób pomóc. Przystań się zadrepczać.

— Był taki piękny — powiedziałem. Nie chciałem tego po-

wiedzieć. Czulem, że zaczynam się trząść. Obserwowała mnie, gdy szedłem do stołu — także wtedy stała tam butelka — napełnioną sobie kieliszek.

Nie mogłem przestać mówić, choć się obawiałem, że lada chwila powiem za dużo. A może chciałem powiedzieć za dużo?

— Mam takie uczucie, że to ja pchnąłem go pod gilotynę.

Chciał, żebym został z nim w tym pokoju, błagał, żebym został. Nie mówiłem ci o tym, że tamtego wieczoru, kiedy poszedłem po swoje rzeczy, strasznie się pokłóciłem. — Zamilkłem i po- ciągnąłem z kieliszka. — On się popłakał.

— Kochał cię — rzekła Hella. — Dlaczego mi tego nie mówię? Nie zdawałeś sobie z tego sprawy?

Odwrociłem głowę. Twarz mnie paliła.

— To nie twoja wina — powtórzyła Hella. — Nie pojmujesz tego? Nie mogłeś mu przecież zabronić zakochać się w tobie. Nie mogłeś go powstrzymać od zabójstwa tego wstrętnego człowieka.

— Nic o tym nie wiesz — bąknąłem. — Nic o tym nie wiesz.

— Wiem, co czujesz.

— Nie wiesz, co ja czuję.

— Dawidzie, nie rób przede mną uników. Proszę cię, nie rób uników. Pozwól sobie pomóc.

— Hellu, kochanie. Wiem, że chciałabyś mi pomóc, ale musisz mieć trochę cierpliwości. Wszystko będzie w porządku.

— Mówiłeś już tak wiele razy — stwierdziła zmęczona. Patrzyła bacznie na mnie przez chwilę, a potem spytała: — Nie uważasz, że powinniśmy wrócić do domu, Dawidzie?

— Do domu? Po co?

— A po co tu siedzimy? Jak długo chcesz jeszcze tu siedzieć i zamęczać się? Nie pytasz, co ja czuję w związku z tym? — Wstała i podeszła do mnie. — Proszę cię, ja chcę wrócić do domu. Chcę wyjść za mąż. Chcę mieć dzieci. Chcę, żebyśmy gdzieś zamieszkali, chcę ciebie. Dawidzie, po co marnować czas?

Odsunąłem się od niej gwałtownie. Stała za moimi plecami nieruchomo.

— O co chodzi, Dawidzie? Czego ty chcesz?

— Nie wiem! Nie wiem!

— Coś przede mną ukrywasz. Dlaczego nie mówisz prawdy?

Chcę poznać prawdę!

Odwrociłem się do niej.

— Hellu, bądź cierpliwą, bądź cierpliwą choć przez jakiś czas.

— Chcę być — wykrzyknęła — ale gdzie ty jesteś? Uciekasz gdzieś ode mnie i nie umiem cię odnaleźć. Gdybyś tylko pozwolił się do siebie...

Rozplakana się. Trzymałem ją w ramionach i nie czulem nic. Całowałem jej słone łzy, szeptałem coś, nie wiem co. W chwili później poczułem, że jej ciało napręża się, napręża, by zetknąć się z moim, i poczułem, że moje ciało się kurczy, oddala. Wiedziałem, że oto zacząłem długie spadanie. Gwałtownie odsunąłem się od niej, aż zachwiała się jak marionetka na sznurku.

— Dawidzie, proszę cię, pozwól mi być kobietą. Jest mi obojętne, co ze mną zrobisz. Jest mi obojętne, czego zażądasz. Zapuszczę sobie włosy, przestanę palić, wyrzucę książki. —

Spróbowała się uśmiechnąć, a mnie serce krwawiło z bólu. — Pozwól mi tylko być kobietą, weź mnie. To wszystko, czego pragnę. Wszystko! Reszta mnie nie obchodzi. — Przysunęła się do mnie bliżej. Stałem w bezruchu. Dotknęła mnie, uniosła głowę z rozpacziwą i przejmującą wzruszającą ufnością. — Nie odrzucaj mnie, Dawidzie. Pozwól mi zostać z tobą.

Pocałowała mnie, wpatrując się w moją twarz. Moje wargi były zimne. Nie czulem nic. Pocałowała mnie raz jeszcze, a ja przymknąłem oczy czując, że mocne łańcuchy wciągają mnie w ogień. Wydawało się, że moje ciało nie przebudzi się pod wpływem jej ciepła, jej natarczywości, jej rąk. A kiedy się na koniec przebudziło, ja je opuściłem. Z wysokości, gdzie powierze wokół było zimniejsze niż lód, obserwowałem swoje ciało w ramionach obcej osoby.

Tego samego wieczoru albo niedługo potem opuściłem śpiącą Hellę i wybrałem się samotnie do Nicei.

Odwiędziłem wszystkie bary tego skrzętego się miasta i nad ranem, zaślepiony alkoholem i pożądaniem, wspierałem się po schodach któregoś z ciemnych hotelików w towarzystwie ja-

kiegoś marynarza. Następnego dnia okazało się, że marynarzowi jeszcze nie skończyła się przepustka i że ma w mieście przyjaciół. Złożyliśmy więc im wizytę i zostaliśmy tam na noc. Spędziliśmy wspólnie jeden, a potem drugi dzień. W ostatnią noc jego urlopu staliśmy popijając w zatoczonym barze. Naprzeciwko wisiało lustro. Byłem porządnie pijany. Nie miałem już prawie grosza przy duszy. Nagle dostrzegłem w lustrze twarz Helli. Przez chwilę myślałem, że postradałem zmysły, i obejrzałem się za siebie. Sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej, bardzo drobnej i niepozornej.

Dłuższy czas nie odezwaliśmy się do siebie. Marynarz gapił się na nas.

— Czy ona aby nie zabłądziła? — spytał mnie w końcu.

Hella spojrziała na niego i uśmiechnęła się.

— Zabłądziłam nie tylko tu — rzekła.

Marynarz spojrzął na mnie.

— No więc — zwróciłem się do Helli — teraz już wiesz.

— Myślę, że od dawna już wiedziałam — odparła, odwróciła się i zaczęła się oddalać. Chciałem pobiec za nią, ale marynarz mnie złapał.

— Czy ty... czy ona...?

Kiwnąłem głową. Jego twarz z otwartymi ustami wyglądała bardzo zabawnie. Puścił mnie, a ja rzuciłem się w stronę drzwi, gdzie dopadł mnie jego śmiech.

Szliśmy długo, w milczeniu, lodowatymi ulicami. Miasto było jak wymarłe. Wydawało się niepojęte, że nastanie poranek.

— Wracam do kraju — oznajmiła Hella. — Byłoby lepiej, gdybym nigdy z niego nie wyjechała.

— Jeśli zostanę tu dłużej — wyjaśniła później tego ranka pakując walizkę — to zapomnę, co to znaczy być kobietą.

Była okropnie lodowata, boleśnie piękna.

— Nie sądzę, by jakakolwiek kobieta mogła o tym zapomnieć — mruknąłem.

— Są kobiety, które zapomniały, że bycie kobietą to nie tylko upokorzenie czy gorycz. Ja tego jeszcze ciągle nie zapomnia-

łam — dorzuciła — na złość tobie. Nie zamierzam zapomnieć. Uciekam z tego domu, od ciebie, tak szybko, jak tylko taksówki, pociągi i statki mnie stąd wywiozają.

Jej krzątanimina w tym pokoju, który na początku naszego pobytu tutaj służył za naszą sypialnię, świadczyła o gorączkowym pośpiechu osoby zdecydowanej na ucieczkę. Biegała od otwartej walizki na łóżku do komody, potem do szafy. Stałem w drzwiach i patrzyłem na nią. Jak chłopczyk, który posiął się w małtki i stoi przed nauczycielem. Słowa, które pragnąłem wypowiedzieć, zatykały mi jak zielska gardło i unieruchomiły usta.

— Proszę, abys przynajmniej w jedno uwierzyła — wykrztusiłem w końcu. — Jeśli naprawdę kogoś okamywałem, to nie ciebie.

Odwróciła się w moją stronę ze straszonym wyrazem twarzy.

— To ze mną rozmawiałeś! To ze mną chciałeś przyjechać do tego okropnego domu na pustkowiu! To ze mną chciałeś się zenić!

— Chciałem powiedzieć, że oszukiwałem siebie.

— Ach tak? Rozumiem. To oczywiście wszystko zmienia.

— Chciałem tylko przez to powiedzieć — krzychałem — że nie miałem zamiaru cię skrzywdzić, choć tak wyszło.

— Nie krzyczy! — rzekła Hella. — Niedługo już mnie tu nie będzie. Możesz sobie wtedy pokrzyknąć do tych wzgórz tam, do chłopów, jak to jesteś winny, jak kochasz być winny.

Znów zaczęła krążyć pomiędzy walizką i komodą, ale odrobinię wolnej. Włosy miała wilgotne, opadały jej na czoło, twarz spocona. Pragnąłem wziąć ją w ramiona, pocieszyć. Lecz nie byłoby to żadne pocieszenie, tylko tortura, dla obojga.

Nie patrzyła w moją stronę, chodząc ze wzrokiem utkwionym w poszczególne części pakowanej garderoby, jakby nie była pewna, czy do niej należy.

— Wiedziałam o tym — powiedziała — wiedziałam. To właśnie mnie tak zawstydzła. Ilekroć na mnie patrzyłeś, wiedziałam. Ilekroć leżałeś ze mną w łóżku, wiedziałam. Nie mogłeś wtedy powiedzieć mi prawdy? Nie pojmujesz, jak niewłaściwą rzeczą było czekanie, aż ja się o tym dowiem? Spy-

chanie na mnie całego ciężaru. Miałam prawi o oczekiwaniu, że się dowiem tego od ciebie, kobiety zawsze czekają, że to mężczyzna powie. A może nigdy o tym nie słyszałeś? Milczałem.

— Nie musiałabym siedzieć tutaj tak długo, nie musiałabym się teraz zadreżać pytaniem, jak na Boga wytrzymałam tę długą podróż do domu. Już dawno byłabym tam i tańczyłabym sobie z jakimś facetem, który próbowałby mnie uwieść. A ja dałabym się mu uwieść, dlaczego by nie? — Z uśmiechem zdziwienia spojrzęła na kłęb nylonowych pończoch, zanim ostrożnie włożyła je do walizki.

— Może wtedy o tym nie wiedziałem? Wiedziałem tylko, że muszę uciec z pokoju Giovanniego.

— No i uciekłeś. A teraz ja uciekam. To tylko biedny Giovanni... stracił głowę.

Był to wredny dowcip, który powiedziała, aby mnie zranić. Próbowała się też złośliwie uśmiechnąć, ale to jej się nie udało.

— Nigdy tego nie zrozumiałem — rzekła na koniec podnosząc ku mnie wzrok, jakbym mógł jej pomóc zrozumieć. — Ten podły bandyta zniszczył ci życie. I moje także. Amerykanie nie powinni nigdy jeździć do Europy — chciała się uśmiechnąć, ale zaczęła płakać — bo potem nigdy nie będą szczęśliwi. A co wart jest nieszczęśliwy Amerykanin? Szczęście to wszystkim, co mamy. — Łkając rzuciła się w moje ramiona po raz ostatni.

— Nie wierz w to — szepnąłem — nie wierz. Mammy coś więcej, mieliśmy o wiele więcej. Tylko... tylko... czasami to trudno znieść.

— Boże, tak cię kochałam! Przy każdym napotkaniem mężczyźnie będę musiała myśleć o tobie. — Znow próbowała się rozśmiać. — Jakiś ty biedny! Jacy wy wszyscy jesteście biedni! Jaka ja jestem biedna!

— Helu, Helu! Pewnego dnia, gdy będziesz szczęśliwa, spróbuj mi przebaczyć.

Odsunęła się ode mnie.

— Ach, ja już nawet nie wiem, co to jest szczęście. Nie wiem, co to przebaczenie. Jeśli kobiety mają być prowadzone przez

mężczyzn, to co się stanie, jeśli tych mężczyzn zabraknie? Co się wtedy stanie?

Podeszła do szafy, wyjęła z niej płaszcz, pogrzebała w torebce, znalazła puderniczkę i patrząc do małego lusterka, starannie osuszyła oczy i pomalowała sobie usta.

— Istnieje różnica pomiędzy chłopcami i dziewczynkami, tak jak się mówi w tych małych niebieskich książeczkach. Dziewczynki pragną chłopców, ale chłopcy...! — Zatrzasnęła puderniczkę. — Nigdy w życiu nie pojmę, czego oni chcą. Teraz wiem, że nigdy mi tego nie powiedzą. Nie sądzę, żeby wiedzieli jak.

Przygładziła włosy rękami, odgarnęła je z czoła i teraz z uszmiokowanymi wargami i w grubym czarnym płaszczu wyglądała znów na kobietę zimną, wspaniałą i gorzko bezradną, przerażającą.

— Zrób mi drinka — powiedziała. — Możemy wypić za stare dobre czasy, zanim przyjedzie taksówka. Nie, nie życzę sobie, żebyś mnie odprowadzał na dworzec. Mam nadzieję, że w drodze do Paryża i potem, przez morderczy ocean, będę mogła nieprzerwanie pić.

Piliśmy w ciszy przygotowaniu, że w każdej chwili usłyszymy skrzywienie opon na żwirze. Usłyszeliśmy je wreszcie, zobaczyliśmy światła reflektorów i dobiegł nas dźwięk klaksonu uruchomionego przez szofera. Hella odstawiła kieliszek, otuliła się płaszczem i ruszyła w kierunku drzwi. Podążyłem za nią z walizką. Wspólnie z kierowcą upchnęliśmy bagaże w samochód; cały czas zastanawiałem się gorączkowo, co powinienem powiedzieć na pożegnanie, aby zneutralizować posmak gorczy. Nic jednak nie przychodziło mi do głowy. Hella też nie odzywała się słowem. Stała wyprostowana pod ciemnym zimowym niebem i patrzyła przed siebie. Gdy wszystko było gotowe, podszedłem do niej.

— Naprawdę nie chcesz, żebym pojechał z tobą na dworzec, Helu?

Spojrzała na mnie i wyciągnęła dłoń.

— Żegnaj, Dawidzie.

Pochwyciłem tę dłoń. Była zimna i sucha jak jej wargi.

— Żegnaj, Hellu.

Wsiadła do taksówki. Patrzyłem na samochód jadący jazdem i wyjeżdżający na ulicę. Pomachałem w ostatnim geście pożegnania, ale Hella nie zareagowała.

Horzont przed moim oknem zaczyna jaśnieć, szarość nieba przemienia się w fioletowy błękit.

Spakowałem walizki i posprzątałem dom. Klucze leżą przede mną na stole. Pora, żebym się przebrał. Wkrótce, gdy horzont stanie się jeszcze jaśniejszy, pojawi się na zakręcie autobusu, którym pojadę do miasteczka, na dworzec, do pociągu zmierzającego do Paryża. Nadal jednak nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Na stole leży też niebieska koperta — list, w którym Jacques informuje mnie o terminie wykonania wyroku na Giovannim.

Nalewam sobie małego drinka i obserwuję własne odbicie w szybie, które staje się coraz bladejsze. Jakbym rozplątywał się w niccość na własnych oczach — ten fakt zaczyna mnie bawić i uśmieczać się do siebie.

Teraz zapewne otwierają się bramy przed Giovannim, aby znów zamknąć się z łoskotem, bramy, które już nigdy potem się dla niego nie otworzą ani nie zamkną. A może jest już po wszystkim? A może się dopiero zaczyna? Może Giovanni wciąż siedzi w celi i wraz ze mną obserwuje nadejście poranka? Może właśnie teraz dochodzi go szept z końca korytarza, trzej mężczyźni w czerni zdejmują buty, jeden z nich niesie pęk kluczy. Całe więzienie jest ciche, czeka, zastygło w grozie. Trzy piętra niżej cichnie krzątająca na kamiennej posadzce, cichnie na chwilę, ktoś zapala papierosa. Czy on umrze sam? Nawet nie wiem, czy śmierć w tym kraju jest pojedynczym, czy masowym aktem? I co powie księdzu?

— Rozbierz się — coś mi mówi — już najwyższy czas.

Przechodzę do sypialni, gdzie na łóżku leżą rzeczy, które mam włożyć. Obok stoi ciągle jeszcze otwarta walizka. Zaczynam się rozbiierać. W pokoju wisi lustro, duże lustro. Widzę niezwykle wyraźnie to lustro.

Twarz Giovanniego pojawia się przede mną jak nieoczekiwana latarnia ciemną, ciemną nocą. Oczy jego — jego oczy błyszczą jak u tygrysa, patrzą prosto przed siebie i obserwują zbliżanie się ostatniego wroga. Każdy włosk na jego ciele się jeży. Nie potrafię odczytać wyrazu jego oczu: jeśli to przerażenie, to nigdy dotąd takiego przerażenia nie widziałem, jeśli zaś udręka, to podobnej udręki jeszcze dotąd nie odczuwałem. Podchodzą, klucz obraca się w zamku. Dopadli go. Krzyknął. Patrzą na niego z dystansu. Wloką go do drzwi celi, korytarz rozciąga się przed nim jak cmentarz przeszłości, więzienie zaczyna wirować. Giovanni może zaczyna jęczeć, a może nie wy-daje głosu? Podróż rozpoczyna się. A może krzyczy nadal? Krzyki odbijają się echem od kamieni i żelaza. Widzę, jak zwiertają się mu nogi, usta i pośladki drżą, tajemniczy młot zaczyna walić. Poci się, a może ma skórę suchą. Ciągną go, a może idzie o własnych siłach. Ich uchwyt jest żelazny, jego ręce już do niego nie należą.

Wzdłuż korytarza, po żelaznych schodach prowadzących do serca więzienia, a stąd do służbówki księdza. Pada na kolana. Pali się świeca, Najświętsza Dziewica spogląda na niego.

Święta Mario, Marko Boża.

Ręce mi się poca, ciało staje się otępiate, pobladłe i suche.

Dostrzegam to kątem oka w lustrze.

Święta Mario, Marko Boża.

Żarliwie całuje krucyfiks. Ksiądz delikatnie podnosi krzyż. Potem podnosi Giovanniego. Podróż się rozpoczyna. Ruszają w kierunku innych drzwi. Jęczy. Chce splunąć, ale zaschło mu w ustach. Nie może prosić, żeby mu pozwolono pójść za potrzebą — zresztą za kilka sekund nie będzie to mieć już żadnego znaczenia. Wie, że za drzwiami, które się zbliżają, czeka gilotyna. Te drzwi to brama, której tak długo szukał chcąc uciec z tego brudnego świata, od tego brudnego ciała.

— Już najwyższy czas.

Postać w lustrze zmusza mnie do odwrócenia się i spojrzenia. Dostrzegam własną postać, którą skazano na śmierć. Jest chuda, koścista i obojętna, ucieleśnienie tajemnicy. Nie wiem,

co w tym ciełe się tuczę, czego to ciało szuka. Zostało uwiecznione w lustrze, tak jak w czasie, i zmierza ku odślonięciu.

Kiedy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, rozumowałem jak dziecko, myślałem jak dziecko, lecz kiedy dorosłem, porzuciłem dziecięce odruchy.

Pragnę, aby spełniła się ta przepowiednia. Pragnę zbić lustro i być wolny. Spoglądam na swoje przyrodzenie, moje kłopotliwe przyrodzenie, i zadaję sobie pytanie, jak je można okupić, jak mógłbym uchronić je od gilotyny. Droga do grobu już się zaczęła, droga do rozkładu osiągnęła już półmetek. Jednak klucz do zbawienia, które nie może uratować mego ciała, ukryty jest we mnie.

Drzwi są przed nim. Wokół niego panuje ciemność, a w nim samym — cisza. Potem drzwi się uchylają, a on stoi samotny i cały świat odpada od niego. Skrawek nieba w górze zdaje się krzyczeć, choć on nie słyszy żadnego dźwięku. Ziemia usuwa mu się spod nóg, zostaje rzucony na twarz, w ciemność, i rozpoczyna się jego podróż.

Odchodzę wreszcie od lustra i przykrywam swą nagość, którą muszę utrzymać świętą, choć nigdy nie będzie tak upodlona, którą muszę wiecznie szorować solą swego żywota. Wierzę, muszę wierzyć, że wielka łaska Boga, która przywiodła mnie do tego miejsca, zdoła mnie też stąd wywieść.

W końcu wychodzę na światło ranka i zamykam za sobą drzwi domu. Przechodzę przez drogę i wrzucam klucze do skrzynki pocztowej właścicielki. Spoglądam wzdłuż ulicy, w stronę, gdzie stoi parę osób, mężczyzn i kobiet, oczekujących na pierwszy autobus. Wyglądają na ożywionych pod budzącym się niebem, a widnokrag za nimi zaczyna płonąć. Poranek obciąża mi barki strasznym brzemieniem nadziei, biorę niebieską kopertę, którą przysłał mi Jacques, i drę ją powoli na kawałeczki. Obserwuję, jak tańczą na wietrze, jak unosi je wiatr. Gdy jednak się odwracam i zaczynam iść w stronę czekających ludzi, wiatr odwiewa parę strzępków z powrotem ku mnie.